Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 4 (1295) ROK XXVI 22 STYCZNIA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

Ryzykantka

Rozmowa z Renatą Rentowską

Sopranom lirycznym nawet z koloraturą trudno jest się wyróżnić i zdobyć pozycję gwiazdy w teatrze, bo takich głosów jest najwięcej w każdym teatrze muzycznym. RENACIE RENTOWSKIEJ udało się nie tylko zaznaczyć, że istnieje i śpiewa, ale zdobyć opinię najciekawszej i najpracowitszej sopranistki młodego pokolenia w kraju.

Po sukcesie na II Ogólnopolskim Konkursie Wokalistyki Operowej im. A. Didura w Bytomiu (pierwsza z trzech drugich nagród), prasa łódzka i ogólnopolska przyniosła wiadomość o kolejnym zwycięstwie konkursowym młodej śpiewaczki. Na jednym z najpoważniejszych w świecie — XVIII Międzynarodowym Konkursie Wokalnym w Tuluzie, Rentowska otrzymała specjalną Nagrodę Kompozytorów Francuskich i doskonałe recenzje.

Z artystką rozmawiamy nie tylko o konkursowych laurach, ale i o jej nietypowej pracy na dwóch scenach: Teatru Muzycznego w Łodzi i Państwowej Opery Śląskiej w Bytomiu

— Wiadomo, że zwycięstwo w liczącym się konkursie wokalnym jest dla młodej śpiewaczki ogólnopolskim zauważeniem i początkiem kariery. Pani ma już ten krok poza sobą. Był on dawno zaplanowanym posunięciem w dążeniu do celu?

— Konkretnego celu nie było, ale w podświadomości dążyłam do tego, aby uczestniczyć w konkursach wokalnych w kraju i za granicą. W 1981 roku wzięłam udział w konkursie organizowanym dla młodych śpiewaków z całej Polski — Ogólnopolskim Konkursie Wokalistyki Operowej im. Adama Didura w Bytomiu. To trudny konkurs z uwagi na obowiązujący i narzucony na wszystkie trzy etapy repertuar, nie dający możliwości wybrania arii najbardziej leżącej w głosie. Trzeba natomiast pokonać trudności tych arii, które są wyszczególnione przez jury. Śpiewa się tylko dwie arie operowe bez pieśni, dlatego m. in. konkurs jest trudny, bo jak wiadomo arie są z reguły trudne technicznie i czasowo długie.

— Niewiele jest śpiewaczek, które lubią konkursowe zmagania, bo wymagają one nie tylko świetnego przygotowania wokalnego, repertuarowego, ale i szczególnych predyspozycji psychicz-

8

Góral pod Łodzią

(o badylarzach)

czytaj strona 5

Foto: M. Zajdler

Trudniej, choć mimo wszystko lepiej

Rozmowa z członkami ZSMP w WZPB im. 1 Maja w Łodzi

Myślę, że aby można było mówić o pracy organizacji młodzieżowej w fabryce należy na początku zapytać o jej wpływy wśród całej młodzieży Waszego zakładu, a więc o to — jaki organizacja posiada autorytet? Jak udało się ZSMP w zakładach „1 Maja" przetrwać ten dosyć długi i trudny okres krytyki Związku?

ANDRZEJ: — W okresie, o którym mówimy, a więc w ostatnich dwu latach organizacja nasza zmalała i to poważnie. Myślę, że obok innych czynników miało na to wpływ również powstanie „Solidarności". Uważam, że może dobrze, iż tak się stało, gdyż odeszli od nas, zrezygnowali z przynależności do ZSMP, głównie ci, którzy od dawna nic w organizacji nie robili. Płacili jedynie składki, a i z tym bywało różnie.

— Czy ten ubytek w liczebności organizacji odbił się na jej autorytecie?

ANDRZEJ: — Trudno o krótką i jednoznaczną odpowiedź. Autorytet bowiem to szerokie pojęcie. Jeśli miałbym porównywać, to muszę stwierdzić, że było z nim w tych tzw. dobrych latach siedemdziesiątych gorzej niż dzisiaj. Organizacja funkcjonowała w ramach otrzymywanych poleceń. Teraz pragniemy sami stworzyć coś autentycznego dla siebie i z myślą o całej młodej załodze.

Autorytet kojarzony jest często z władzą, z możliwością wywierania wpływu na sprawy istotne dla ludzi. Stąd nasze działania zmierzające ku temu, aby być obecnymi w instytucjach władzy w przedsiębiorstwie. Muszę jednak przyznać, że kampania wyboru ławników nam się nie udała. Są dwie przyczyny tej przegranej: po pierwsze — zbyt późno przystąpiliśmy do tego, a po drugie — wiele osób, które pragnęlibyśmy z ramienia ZSMP rekomendować, odmówiło nam kandydowania.

TERESA: — Nie to jednak, że myśmy się za późno „obudzili" było powodem odmowy kandydowania przez te osoby. Ludzie nie czuli się na siłach walczyć o swoją pozycję, bo dość powszechną była niewiara w to, że ich głos będzie się liczył, że będzie brany na serio pod uwagę.

— A więc już na półmetku przegrana. Słyszałem jednak, że to Was nie zniechęca. Zamierzacie zabiegać o to, aby głos przedstawicieli ZSMP liczył się w gremiach rozmaitych instytucji władzy w zakładzie. Po co?

ANDRZEJ: — Głównie po to, abyśmy mogli działać w kierunku rozbijania nieudolnych, skostniałych komórek administracji, abyśmy mogli skutecznie zwalczać biurokrację.

ANDRZEJ II: — Nie tylko po to. Również nie po to, aby pomagać w robieniu kariery przez młodych, o co nas niektórzy pomawiają. Chodzi nam głównie o to, aby młodzi uczestniczyli ze swoim liczącym się głosem wszędzie tam, gdzie decyduje się o ich sprawach i o przyszłości zakładu.

— Wynika więc z tego, że o ten autorytet o którym mówimy zamierzacie walczyć. To chyba dobrze. Ale ilu Was jest, jaką reprezentujecie realnie siłę?

ANDRZEJ: — Odeszło z naszej organizacji ponad dwieście osób. Około jednej trzeciej członków.

— A czy ci, którzy zostali w ZSMP, to już jest ta grupa, na którą możecie liczyć?

ANDRZEJ: — Tak jeszcze nie jest. Dlatego postanowiliśmy — nazywając rzecz po imieniu — dokonać weryfikacji w naszych szeregach.

— Ilu Was zostanie?

ANDRZEJ: — Ilu zostanie, taka będzie organizacja. A ilu zostanie, to trudno dziś powiedzieć

TERESA: — Ustaliliśmy, że nie powinniśmy dopuścić do sytuacji takiej, że w naszych szeregach przeważaliby ci, którzy do ZSMP nastawieni są konsumpcyjnie, na wyciąganie tylko korzyści z przynależności do organizacji.

— Jakiej konkretnie postawy oczekujecie od członków swojej organizacji?

TERESA: — Na tyle otwartej, aby chcieć coś też dać od siebie innym. Z tymi, którzy przychodzą do ZSMP z potrzeby przyśpieszenia przydziału mieszkania, umorzenia spłaty kredytu MM, wyjazdu na obóz, bo jest to taniej niż na wczasy nie stworzymy takiej organizacji, jaką winna ona być.

— Jak to rozumieć?

TERESA: — Że ZSMP ma być związkiem walczącym.

— Czy to znaczy, że tym samym odwołujecie się do tradycji ZMW i ZMP, bo to były organizacje walczące? One jednak działały przeszło dwadzieścia lat temu. O co dziś chcecie walczyć?

ŚWIETŁANA: — Związek walczący to m. in. taki, który zdoła się odciąć od wcześniejszej filozofii głoszącej, że siła organizacji leży w statystyce. Było nas 3 mln i maniono nas obietnicami, że będziemy w stanie wszystko dokonać. Tymczasem dziś w zakładach musimy się opierać na garstce. Walczący to znaczy stawiający sprawy jednoznacznie tak jak młodzi potrafią. Jest to postawa mało dyplomatyczna „nierozsądna", której wielu starszych nie chce zrozumieć. Jeśli walczymy o to, aby zdobyć miejsca w gremiach kierowniczych, to głównie dlatego, aby doskonalić ich działalność. To czasami zmusza nas nawet do agresywności.

— Czy Wasze pokolenie jest generacją walczącą, pragnącą zmieniać świat, czy tylko Wy macie tego rodzaju ambicje?

ANDRZEJ II: — Myślę, że nie tyl-

4

Przegląd prasy

CZY KAŻDY URZĘDNIK MUSI BYĆ BIUROKRATĄ?

Oczywiście, że nie musi. Ale przecież w naszej społecznej świadomości, czyli przynajmniej w świadomości większości Polaków, funkcjonuje takie przekonanie. Piszą również o tym Barbara W. Olszewska i Magda Wojciechowska w „POLITYCE" (nr 2 z 8 stycznia 1983 r.) w artykule „Fachowcy od papierków". Przypominają one, że tematem znacznej części rysunków satyrycznych są właśnie urzędnicy, którzy są na ogół utożsamiani z biurokratami. Właśnie w tej naszej świadomości utrwaliło się równanie: urzędnik równa się biurokrata.

Ilu mamy urzędników? Autorki usiłują odpowiedzieć na to pytanie. Z pomocą przychodzi im GUS. Według ustaleń GUS mamy w Polsce przeszło 135 tysięcy ludzi zatrudnionych w administracji centralnej i terenowej, w tym w administracji centralnej jest zatrudnionych 18 334 osób, drugie tyle w ich terenowych ekspozyturach, a 100 tysięcy urzędników w województwach i gminach. W urzędach wojewódzkich 24 tysiące osób, a 76 tysięcy w urzędach gminnych. Do tego jednak trzeba dodać 20 tysięcy osób pracujących w służbie rolnej i wojewódzkich biurach planowania przestrzennego i to byłoby wszystko.

Otóż nie wszystko. Jest to tylko ta część, która pracuje w administracji państwowej, a więc jest niezbędna dla sprawnego funkcjonowania państwowych urzędów. Obok tego jest jeszcze administracja gospodarcza — równie niezbędna dla funkcjonowania gospodarki. Że niezbędna — to nie ulega wątpliwości. Ale czy pracuje tam rzeczywiście tylu ludzi, ilu potrzeba, aby wszystko funkcjonowało sprawnie. Czy przypadkiem nie za dużo? Bo nie ukrywajmy, że wielu z nas tak właśnie uważa.

Tymczasem *„Prof. Zygmunt Rybicki* — piszą B. W. Olszewska i M. Wojciechowska — *jest zdania, że mało i że to powszechne u nas mniemanie o rozbudowanej administracji jest mitem, który wynika z ogólnie rozsiewanej niechęci do państwa. — Polska administracja* — mówi — *jest jedną z najmniejszych na świecie, a GUS przychodzi mu w sukurs z odpowiednią statystyką. W ZSRR i Bułgarii — na 10 tys. mieszkańców przypada przeciętnie 63 urzędników państwowych, w Czechosłowacji — 57, w Danii, Finlandii, Holandii, Norwegii, Szwecji i W. Brytanii — ponad 200 osób (...). Tymczasem u nas tylko 39".*

Autorki cytują też wypowiedź prezydenta m. Łodzi — Józefa Niewiadomskiego, który przyznaje, że odnosi czasem takie wrażenie, iż ma za mało urzędników, ale nie umiałby dokładnie określić, ilu mu byłoby potrzeba. I mówi on dalej: *„Uważam że tak jak minister zdrowia i opieki społecznej określa, ilu potrzeba lekarzy na 10 tys. mieszkańców, tak i minister administracji powinien ustalić na podstawie badań naukowych ilu potrzeba urzędników, aby dobrze załatwiali sprawy ludzi".*

Tak więc ludzie kompetentni twierdzą, że mamy mało urzędników, a petenci, którzy chodzą po urzędach ze swoimi sprawami i mają kłopoty z ich załatwianiem, dochodzą do odmiennego wniosku. Dlaczego?.

Bierze się to stąd przede wszystkim, że w potocznej świadomości zaciera się różnica między administracją państwową a gospodarczą. Dla petenta jest to po prostu administracja i błędy oraz niedociągnięcia jednej jest gotów przypisywać również i drugiej, a także odwrotnie. Również liczebność administracji gospodarczej petent gotów jest przenosić na administrację państwową. *„W 1981 r. na przykład* — piszą obie autorki w „Polityce" — *w gospodarce państwowej, w samych przedsiębiorstwach, nie licząc zjednoczeń — zatrudnionych ich było* (oczywiście urzędników — przyp. L. B.) *około 411 tys. Na 1000 pracowników na stanowiskach robotniczych przypadało 79 pracowników administracyjno-biurowych".* Nie ulega więc wątpliwości, że tu znajdują się przerosty. B. W. Olszewska i M. Wojciechowska cytują wypowiedź prof. Józefa Kalety z „Razem", który uważa, że urzędnicy stanowią od 30 do 40 procent wszystkich zatrudnionych w przedsiębiorstwach produkcyjnych i muszą ulec koniecznej redukcji. Jest to zabieg bolesny, ale niezbędny. Póki reforma gospodarcza nie wytworzy mechanizmu regulującego stan zatrudnienia w administracji. Czy go w ogóle wytworzy?

Administracja państwowa przeżyła już taką operację, kiedy likwidowano powiaty 18 tysięcy osób odeszło z administracji państwowej. Teraz przy reorganizacji niektórych ministerstw i urzędów centralnych odeszło, jak utrzymują optymiści 3 tysiące osób, a jak chcą pesymiści 1 500. Dokładnych danych autorkom nie udało się ustalić. Ale już wśród tych, którzy musieli odejść z administracji w 1982 roku tylko 22 proc. przekwalifikowało się, pozostali poszli do innych urzędów. *„Dla przykładu: spośród 46-tysięcznej rzeszy pracowników zlikwidowanych zjednoczeń jedna trzecia przeszła do zrzeszeń gospodarczych, a drugie tyle — do ministerstw i urzędów centralnych".*

Może jednak rzeczywiście mamy zbyt dużo urzędników, którzy nie potrafią nic poza tym robić?

„W administracji szczebla centralnego — piszą B. W. Olszewska i M. Wojciechowska — *66,5 proc. ogółu urzędników posiada wyższe wykształcenie. W urzędach wojewódzkich ma je 50 proc. pracowników, w dzielnicowych i miejskich — ponad 20 proc. Natomiast w urzędach gmin oraz miast wyższymi studiami legitymuje się zaledwie 10.5 proc. pracowników. Z reguły są to naczelnicy, zastępcy lub sekretarze urzędów".*

Autorki przyczyn biurokracji upatrują przede wszystkim w kwalifikacjach urzędników, w ich „niedouczeniu", braku kompetencji, co powoduje odwlekanie decyzji, przesyłanie spraw wątpliwych i kłopotliwych do innych urzędów, wyręczanie się kolegą w sprawach, gdzie wymagana jest odpowiedzialność. *„Całe mnóstwo spraw leżących formalnie w kompetencji urzędu gminnego — trafia do nas"* — powiedział jeden z dyrektorów UM Łodzi — Stanisław Michalak.

Okazuje się, że Łódź w sprawach administracyjnych była dla publicystek „Polityki" autorytetem. A tymczasem —

„ŁÓDŹ BYŁA I JEST PARTYKULARZEM" — NAPISAŁ TADEUSZ GICGIER

w „ŻYCIU LITERACKIM" (nr 2 z 9 stycznia 1983 r.) — *„Nigdy nie doceniano tu znaczenia własnej tradycji, obowiązywało natomiast i dalej obowiązuje „zadęcie ogólnopolskie", czego wymownym dowodem są łódzkie tygodniki".*

Cieszy mnie zawsze, kiedy w pozałódzkich pismach czytam o Łodzi. Cieszę się nawet wówczas, kiedy o Łodzi piszą nie najlepiej, bo lepsze jest to od milczenia. Cieszę się również, kiedy w pozałódzkich pismach publikują łodzianie. Tadeusz Gicgier publikuje ostatnio sporo. Pisuje w „Życiu Literackim". W „TYGODNIKU KULTURALNYM" (nr 1 z 2 stycznia 1983 r.) ukazały się jego wiersze, w „NAD WARTĄ" fraszki. Należy tylko pogratulować! I życzyć innym, aby tyleż publikowali poza Łodzią.

Będziemy chętnie odnotowywali te publikacje. Tym bardziej, że niektórzy łódzcy autorzy omijają jakoś łamy „Odgłosów". Ich sprawa. Każdy ma prawo publikować w takim piśmie, które woli od innych, jeśli godzą się go tam drukować. Dziwi mnie tylko fakt, że niektórzy opowiadają o braku niektórych łódzkich autorów na łamach naszego tygodnika. Przypomina mi się wtedy stary żydowski dowcip o Icku, który oglądał w telewizji losowania Toto-Lotka i miał żal do Pana Boga, że znów nie wygrał. Wówczas Bóg się zdenerwował i rzekł do Icka: — Icek, ty mi daj szansę, wypełnij wreszcie kupon!

Kiedy czytam coś o Łodzi, z czym się nie zgadzam, lub co mi się nie podoba, jestem w sporym kłopocie. Zareagować, podjąć polemikę, to można się będzie spotkać z zarzutem partykularyzmu. A to przykry zarzut, bo oznacza zamykanie się w kręgu spraw własnych, brak umiejętności wiązania ich ze sprawami ogólnymi, odcinanie się od tych ogólnych spraw. Ale z drugiej strony, jeśli człowiek z czymś się nie zgadza i może swój sprzeciw wyrazić, a nie zrobi tego, to sam powinien przyznać się do tchórzostwa. Tak więc, nie wypada mi nic innego, jak napisać, że nie podobał mi się reportaż Marka Kasza „Żółta Łódź Fabryczna" w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM" (nr 1 z 2 stycznia 1983 r.). Jest bowiem reportażem powierzchownym, wydumanym, z błędami merytorycznymi. Pisał zresztą o tym w poprzednich „Odgłosach" Jerzy P. Ja mogę tylko dodać, że Marek Kasz zupełnie nie orientuje się w łódzkiej topografii. Napisać, że Kolumna-Las leży koło Tuszyna, to tak samo, jakby napisać, że Bielany leżą koło Targówka.

Może to i drobnostka, ale czasem drobny, a oczywisty błąd podważa zaufanie do całości. Ale istotniejszą wadą reportażu Marka Kasza jest to, że zawiera on tylko kilka obiegowych sądów, parę mitów, kilka nieporozumień i w gruncie rzeczy mógłby odnosić się przynajmniej do kilku miast w Polsce, gdyby to i owo zmienić. Tą metodą można opisywać wszystko i nic. Ma oczywiście Marek Kasz prawo tak pisać, a ja mam prawo do tego, aby wyrażać swoje niezadowolenie z takiej metody i sposobu pisania.

Wracając jednak do Tadeusza Gicgiera i jego artykułu w „Życiu Literackim" — „Łódź — śladami antenatów". Jest on owszem o Łodzi, ale też i o znakomitym łodzianinie, sympatycznym człowieku, który był wykładowcą UŁ, pracownikiem Archiwum Miejskiego w Łodzi, wiceprzewodniczącym Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi, dyrektorem Biblioteki im. Ludwika Waryńskiego — o Romanie Kaczmarku.

„Prof. Kaczmarek wspomina pierwsze miesiące po wyzwoleniu, kiedy organizowała się w Łodzi wyższa uczelnia — pisze Tadeusz Gicgier. — *Profesorowie wykładali wtedy w swych prywatnych mieszkaniach, w hotelach, zajęcia z młodzieżą odbywały się także w kinach i innych salach. Nie było książek, skryptów, nie było ławek, a studenci siadali po prostu na podłodze. Za miejsce zebrań poszczególnych katedr służyła kawiarnia Cyganeria. Rektorat urzędował w Grand Hotelu, tam też zbierały się rady wydziałów. Była to wielka improwizacja, bo Łódź doczekała się wreszcie swojej Alma Mater. Ci, którzy się z nią związali, wkładali w tę pracę dużo serca i nie zważali na prymitywne warunki. Z dumą dziś się wspomina, że pierwszym rektorem nowo powstałego Uniwersytetu Łódzkiego został prof. Tadeusz Kotarbiński".*

Roman Kaczmarek pochodzi ze słynnej rodziny łódzkiej Drewnowiczów. *„Moja prababka* — mówi — *z domu Drewnowiczówna, była żoną znanego łodzianina, Józefa Daszkowskiego, który brał udział w powstaniu 1863 r. i był tokarzem kul oddziałów powstańczych".*

I dalej Roman Kaczmarek wspomnia:

— *„A później wybrano mnie do władz miejskich. W latach 1960—1963 pełniłem funkcję wiceprzewodniczącego Rady Narodowej i pod moją pieczą znalazły się sprawy kultury, nauki i oświaty. Był to dla mnie, człowieka powiązanego ściśle z przeszłością Łodzi, okres bardzo ciekawy. Drewnowiczowie zapisali się w dziejach miasta, teraz ja mogłem kontynuować tę rodową tradycję. Sporządziłem listę prezydentów miasta, od jego zarania do czasów dzisiejszych. Wynika z niej, że obecny prezydent jest z kolei 86 w historii Łodzi".*

„DLACZEGO SPRZEDAJE BUTY DORADCA PREZESA SZCZEPAŃSKIEGO"?

— pyta na pierwszej stronie „PRZEGLĄD TYGODNIOWY" (nr 2 z 9 stycznia 1983 r.), a Grażyna Krzyżanowska stara się uzyskać w rozmowie z doc. dr Zbigniewem Lewandowiczem odpowiedź na to pytanie. Pamiętacie doc. Z. Lewandowicza i jego umoralniająco-upolityczniające pogadanki w DTV za czasów propagandy sukcesu? Otóż teraz dr Z. Lewandowicz *„Pozostaje na utrzymaniu żony — z wykształcenia informatyka, która prowadzi ajencyjny sklep z obuwiem dziecięcym".*

Z rozmowy z Grażyną Krzyżanowską wyłania się zupełnie interesujący człowiek. Zawsze miał wątpliwości, walczył, nie zgadzał się, miał swoje zdanie.

— *„...w październiku pięćdziesiątego dziewiątego roku na naradzie pierwszych sekretarzy wojewódzkich z pierwszym sekretarzem KC, Władysław Kruczek pierwszy sekretarz z Rzeszowa postawił zarzut, że KC przysyła do komitetów wojewódzkich rewizjonistów i tu padło moje nazwisko* — mówi Z. Lewandowicz. — *Stanąłem przed Centralną Komisją Kontroli Partyjnej, gdzie szczegółowo wyjaśniłem, co i w jaki sposób mówiłem. Członkowie komisji uznali moje racje merytoryczne, ale uważali, że lektor nie powinien wszystkiego mówić. Otrzymałem ustne upomnienie, lektorem mogłem być nadal".*

Z. Lewandowicz pracował w Komisji Planowania, skąd odszedł w 1973 roku, później był w Instytucie Morskim i w 1976 dowiedział się przypadkiem od koleżanki, że jego stanowisko pracy będzie zlikwidowane i *„wtedy przyszła propozycja od prezesa Szczepańskiego"*, choć obaj panowie widzieli się tylko raz, kiedy byli *„sobie przedstawieni przed gmachem Telewizji".* Prezes miał nosa. Bo, co by się o Z. Lewandowiczu nie chciało powiedzieć, to jest to człowiek przedsiębiorczy, zdolny, pełen energii i zapału, umiejący wywiązywać się z postawionych przed nim zadań. W kwietniu 1979 roku prezes M. Szczepański postawił przed Z. Lewandowiczem zadanie: zbudować do 2 lipca tegoż roku 140 metrów londyńskiej ulicy obustronnie zabudowanej — Baker Street. Oczywiście w Polsce, w Warszawie, na Woronicza. Termin był zabójczy. Firma Reynolds, która to zamówiła, była przekonana, że polscy specjaliści terminu nie dotrzymają, a ona zbierze dolary jako kary konwencjonalne. Czysty interes. Ale Polacy zrobili, co trzeba na czas. Reynolds mógł zacząć kręcić film o Sherlocku Holmesie. I to wszystko dzięki zapobiegliwości, energii i pomysłowości Z. Lewandowicza.

— *„W kwietniu siedemdziesiątego dziewiątego roku zaczął się dla mnie gorączkowy okres. Niemal codziennie byłem w innym mieście, docierałem do wszystkich znajomych, którzy mogli mi pomóc"* — powiada Z. Lewandowicz. Nic więc dziwnego, że G. Krzyżanowska poczuła się w obowiązku zadać na koniec rozmowy pytanie: — *„Dlaczego zatem stoi pan na uboczu"?*

— *„Jeszcze stoję* — odpowiada Z. Lewandowicz — *zrzucam z siebie gorzki bagaż wcześniejszych doświadczeń, ale reforma to wielki, skomplikowany proces i wierzę, jestem przekonany, że będę miał w nim swój udział".*

ANNA BŁAZUCKA MYLI SIĘ

co stwierdzam z przykrością. Przeprowadziła w „ARGUMENTACH" (nr 1 z 2 stycznia 1983 r.) rozmowę z Janem Serce. I zaraz na wstępie stwierdza: *„spędziłam z tobą jedenaście wieczorów".* Otóż tych wieczorów na ekranie było 10, a skoro Jan S. dziwi się, że Anna B. ma ochotę po tym wszystkim na 12 wieczór, to coś się uroczej felietonistce pokiełbasiło z wrażenia.

I po raz drugi pokiełbasiło się, kiedy dobrze lat nie policzyła. Jan S. przyznaje się do 43 lat. W 1956 roku miał więc lat 17, jakoś nie bardzo mi się chce wierzyć, że mógł wówczas *„razem z kumplami z Żerania"* robić porządek pod Politechniką w Warszawie. Po prostu nie miał jeszcze czasu na skumplowanie się z robotnikami z Żerania. Był dla nich gówniarzem.

LUCJAN BOGUSZ ■

25 LAT „ARGUMENTÓW"

Tygodnik „Argumenty" obchodzi 25-lecie. Z tej okazji w warszawskim Domu Dziennikarza odbyło się spotkanie zespołu czasopisma, publicystów i dziennikarzy wielu redakcji, przedstawicieli wydawnictw i organizacji społecznych. Jubileusz „Argumentów" zbiegł się z siedemdziesięcioleciem ruchu ateistycznego i wolnomyślicielskiego oraz 25 rokiem działalności Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej.

Przyłączamy się do gratulacji!

JUBILEUSZ ELENY CEAUSESCU

W Bukareszcie odbyły się uroczystości z okazji jubileuszu członkini Politycznego Komitetu Wykonawczego KC RPK, I zastępcy premiera, Eleny Ceausescu.

Rumuńska agencja Agerpres informuje o przebiegu uroczystości w siedzibie KC RPK, przytacza życzenia, jakie z okazji jubileuszu składali Elenie Ceausescu działacze partyjni i państwowi z Nicolae Ceausescu — przywódcą partii i narodu rumuńskiego.

Opublikowano treść posłania Politycznego Komitetu Wykonawczego KC RPK do Eleny Ceausescu w związku z rocznicą jej urodzin. W posłaniu eksponuje się zasługi Jubilatki położone na polu oświaty, nauki, kultury i polityki.

Agencja Agerpres przypomina ostatnio opublikowane za granicą prace Eleny Ceausescu: w Wielkiej Brytanii, nakładem wydawnictwa „Pergamon Press" ukazała się praca członka Akademii Nauk SRR, dr Eleny Ceausescu zatytułowana „Stereospecyficzna polimeryzacja izoprenu", w Rzymie natomiast opublikowano niedawno pracę pt. „Nowe badania w dziedzinie związków mikrocząsteczkowych".

Obydwie wymienione prace spotkały się z żywym zainteresowaniem zachodnich specjalistów z dziedziny chemii polimerów i kauczuku syntetycznego.

IRAN — REWOLUCJA NA ROZSTAJNYCH DROGACH

Przywódca Iranu, ajatollah Chomeini, podjął decyzję o dokonaniu zmiany na stanowisku prokuratora generalnego, co obserwatorzy polityczni odczytali jako kolejną próbę zreformowania i ograniczenia samowoli muzułmańskich władców kraju. Nowym prokuratorem został Jousef Sanei Rabbani, muzułmański duchowny, znany z uczciwości. Chomeini stwierdził m. in., iż „zna dobrze Sanei od 30 lat. Kocha go jak własnego syna i jest przekonany, że jest to najgodniejszy kandydat na tak wysokie stanowisko". Chomeini zwrócił także uwagę, że wielu wyższych przedstawicieli sądownictwa irańskiego „jest zmęczonych pracą ponad siły i dlatego też powinni objąć funkcje wymagające mniejszego wysiłku" Jednocześnie Chomeini ostrzegł wszystkich funkcjonariuszy państwowych, by pamiętali, że ich postępowanie ocenia naród; według Chomeiniego przykładem oddanych sprawie religijnych przywódców są: Ardebili — przewodniczący Sądu Najwyższego, prezydent Chamenei oraz rzecznik parlamentu, Rafsandżani.

Z czteroletnim opóźnieniem Chomeini wykorzystał swój autorytet, by zwolnić kilku skorumpowanych sędziów muzułmańskich, wprowadzić bardziej umiarkowany ton rządu oraz ograniczyć represje. Zdaniem opozycji, Chomeini pragnie w ten sposób zmniejszyć własną odpowiedzialność, a co więcej, działa w przekonaniu, iż aktualna sytuacja w kraju pozwala mu na podjęcie takich kroków W wyniku dominacji prawicowego kleru muzułmańskiego „rewolucja irańska znalazła się na trudnych i niebezpiecznych rozstajnych drogach", lewicowe ugrupowania natomiast nie są w stanie się zjednoczyć.

Rzecznik parlamentu, Hashemi Rafsandżani — natychmiast pośpieszył wyjaśnić, że decyzje ajatollacha nie są bynajmniej oznaką jego słabości. Dążenie duchowego przywódcy Iranu do zreformowania życia w kraju „nie powinno być mylnie interpretowane; nie jest to bynajmniej powtórzenie poglądów liberałów" — powiedział Rafsandżani. Zarówno liberałowie, jak i większość działaczy opozycji irańskiej, utrzymują, iż Chomeini stara się obecnie umacniać swój autorytet po czterech latach władzy, egzekwowanej drogą egzekucji, tortur i chaosu gospodarczo-społecznego. Bani-Sadr, którego Chomeini zwolnił z funkcji prezydenta kraju w czerwcu 1981 roku, zmuszając go do ucieczki do Francji, powiedział: „Chomeini kłamie, twierdząc, że nic o tym nie wiedział — ten człowiek nie jest wart kierowania krajem i musi usunąć się".

W kołach politycznych sądzi się, że decyzje Chomeiniego nie oznaczały wyłącznie próby usprawiedliwienia się. Zakładają one powołanie komitetu na najwyższym szczeblu, który miałby czuwać nad „islamizacją", ale bez przegięć we wszelkich instytucjach państwowych oraz położenie kresu „inkwizycji" na modłę irańską; Chomeini stwierdził także, że w wielu przypadkach żołnierze irańskich sił zbrojnych padli ofiarą „całkiem niemuzułmańskiej indoktrynacji". Obserwatorzy wyrażają opinię, iż tego rodzaju posunięcia Chomeiniego świadczą o stosunkowej stabilizacji kraju, wzroście pewności siebie władz oraz przekonaniu o gładkim przekazaniu władzy młodszemu następcy ajatollacha. Jeden z obserwatorów powiedział: „Jest sprawą oczywistą, że obecnie o wiele bardziej niż wcześniej możemy sobie pozwolić na utracenie kilku przyjaciół w imię wzrostu prestiżu Imama". Muzułmańskie władze Iranu najoczywiściej są przekonane, że po śmierci Chomeiniego nie dojdzie do ich załamania W Teheranie trwają obecnie konsultacje muzułmańskich ekspertów, którzy bez zbytniego rozgłosu debatują nad kwestią powołania następcy Chomeiniego; prawdopodobnie będzie to ajatollach Hossein Ali Montazari lub Rada Najwyższych Ajatollachów. Kwestia wyboru duchowego następcy Chomeiniego lub też rady, w skład której wejdzie kilku ajatollachów, ma kluczowe znaczenie dla przetrwania obecnego rządu irańskiego Sam Chomeini oświadczył niedawno: „Naszemu krajowi obecnie nie zagraża brak stabilizacji. To dzięki opatrzności Allacha umocniliśmy nasz kraj mimo wszelkich problemów, z jakimi musimy się borykać" Tego rodzaju sformułowania są niezwykle ważne, szczególnie dla tych, którzy kontynuować będą polityczne posłannictwo Imama.

■

W styczniu 1945 roku z żołnierzami 2 Białoruskiego Frontu

W lipcu 1944 roku wojska radzieckie i wraz z nimi Wojsko Polskie wkroczyły na ziemie polskie i doszły do Wisły. W styczniu 1945 r. wielka ofensywa Armii Radzieckiej wyzwoliła dalsze ziemie polskie. 17 stycznia 1945 roku wolną była Warszawa, 19 stycznia — Łódź.
Konstanty Rokossowski, w lipcu 1944 roku dowodził wojskami 1 Białoruskiego Frontu, w ramach którego walczyli żołnierze Wojska Polskiego. Radzieccy i polscy żołnierze wyswobodzili wówczas Chełm Lubelski, Lublin i inne polskie miasta. Zdobyli też prawobrzeżną część Warszawy — Pragę.
18 listopada 1944 roku marszałek Konstanty Rokossowski został dowódcą 2 Białoruskiego Frontu. Wojska tego Frontu, a wraz z nimi żołnierze Wojska Polskiego wyzwalali północne ziemie Polski po Bałtyk i Szczecin. Konstanty Rokossowski urodził się w 1896 roku. W czasach pierwszej wojny światowej służył w 5 Kargopolskim Pułku Dragonów. W czasie wojny domowej walczył w Armii Czerwonej. Od 1919 roku jest członkiem partii bolszewików. Walczył na Zabajkalu i w Mongolii.
W czasie drugiej wojny światowej dowodził frontami: Briańskim, Dońskim, Centralnym, 1 i 2 Białoruskim. W latach 1945—1949 był naczelnym dowódcą Północnej Grupy Wojsk Radzieckich stacjonujących w Niemczech. Od 7 listopada 1949 roku został marszałkiem Polski i ministrem obrony narodowej. W 1956 roku wrócił do służby w Armii Radzieckiej. Był wiceministrem obrony ZSRR. Zmarł w 1968 roku.
W 1973 roku ukazała się w Polsce książka Konstantego Rokossowskiego „Żołnierski obowiązek" (w 1979 jej drugie wydanie nakładem Wydawnictwa MON). Z książki tej wybraliśmy fragmenty opisujące walki żołnierzy 2 Białoruskiego Frontu w dniach ofensywy styczniowej 1945 roku.

KONSTANTY ROKOSSOWSKI

Kwatera Główna twardo określiła termin natarcia: 2 i 1 Fronty Białoruskie ruszają rano 14 stycznia, a 1 Front Ukraiński — dwa dni wcześniej — 12 stycznia.

Cała kadra dowódcza zrobiła wszystko, aby mimo przyśpieszenia terminu jak najlepiej przygotować wojska do operacji. Nie zdążyło tylko przybyć uzupełnienie.

Natarcie poprzedzane było półtoragodzinnym przygotowaniem artyleryjskim, przy nasyceniu dwieście do dwustu czterdziestu luf artylerii i moździerzy na kilometr frontu na odcinku głównego uderzenia. Piechota miała nacierać za wałem ogniowym. Razem z piechotą szły czołgi bezpośredniego wsparcia. (...)

14 stycznia, kilka godzin przed rozpoczęciem przygotowania artyleryjskiego, przybyłem wraz z członkami rady wojennej, dowódcami artylerii, wojsk pancernych, armii lotniczej i szefem wojsk inżynieryjnych Frontu na punkt obserwacyjny. Nadszedł świt, lecz nic nie widać: wszystko okrywa całun mgły i mokrego śniegu. Pogoda wstrętna, a synoptycy nie obiecują żadnych zmian na lepsze. Zbliżał się już czas startu bombowców, które miały wykonać uderzenie na przedni skraj obrony nieprzyjaciela. Po zasięgnięciu rady generała Wiersaynina odwołuję wszelkie działania lotnictwa. Pogoda zawiodła! Jak dobrze, że nie bardzo liczyliśmy na nią, aczkolwiek do ostatniej chwili żywiliśmy nadzieję na wykorzystanie samolotów.

Wszyscy, którzy powinni byli wiedzieć o dokonanych zmianach, zostali natychmiast powiadomieni i przygotowali się do działań według wariantu wykluczającego wsparcie z powietrza.

Mgła i śnieg nadal ograniczały widoczność. Nie można było jednak czekać z natarciem, aż się rozpogodzi.

O oznaczonej godzinie rozkazuję dać sygnał. Kilka tysięcy dział i moździerzy, setki wyrzutni rakietowych otworzyło ogień. (...)

Mgła stała się jeszcze gęstsza, wzmogła się zawieja. Z pola walki dochodził nieustanny grzmot. Nasz punkt obserwacyjny miał łączność ze wszystkimi armiami pierwszego i drugiego rzutu, a także ze związkami taktycznymi pozostającymi w dyspozycji Frontu. W każdej chwili mogliśmy uzyskać niezbędne informacje o rozwoju wydarzeń. Wiedząc jednak z doświadczenia, jak ważną jest rzeczą nie odrywać dowódców w pierwszych godzinach walki od kierowania wojskami, zabroniłem wzywania ich do telefonu lub aparatu telegraficznego. Nie ulegało przy tym wątpliwości, że jeśli potrzebna będzie pomoc lub zarysuje się istotne powodzenie — dowódca armii sam zwróci się do mnie.

A w ogóle to nie pozostawaliśmy bez informacji. Napływały one z różnych źródeł. Chyba najbardziej wiarygodnych wiadomości dostarczali artylerzyści: wszak prowadzili ogień zgodnie z potrzebami piechoty. Obraz walki rysował się dość jasno. Mimo zaciętego oporu nieprzyjaciela nasze wojska wszędzie wbijały kliny w jego obronę. Najtrudniej było wypierać hitlerowców z rejonów umocnionych i węzłów oporu. Wszyscy dowódcy armii powzięli rozsądną decyzję: obchodzić te rejony, pozostawiając część sił do ich blokowania.

Wreszcie zaczęły napływać meldunki od armii działających w pierwszym rzucie. Zarysowało się powodzenie na całym odcinku frontu, na którym wykonywano główne uderzenie. Już w ciągu pierwszych piętnastu minut po rozpoczęciu przygotowania artyleryjskiego piechota wszędzie prawie bez walki opanowała pierwszą transzeję. O drugą transzeję trzeba było walczyć, ale została również zdobyta. W miarę posuwania się w głąb, opór nieprzyjaciela wygasał.

Gęsta mgła utrudniała wykorzystanie całej potęgi ognia artylerii. Piechota atakowała współdziałając w zasadzie tylko z czołgami i działami bezpośredniego wsparcia. W drugiej połowie dnia nieprzyjaciel zaczął przechodzić do kontrataków, z użyciem czołgów, ale mimo to nasze wojska wszędzie posuwały się do przodu. Tocząc ciężkie walki na kierunku głównego uderzenia, armie pierwszego rzutu — 48 armia, 2 armia uderzeniowa, 65 i 70 — nie zdołały wykonać zadania dnia. Udało im się jedynie włamać pięć do ośmiu kilometrów w obronę nieprzyjaciela. Większe powodzenie miały wojska generała Batowa: korpusy Aleksiejewa i Erastowa przełamały pierwszy pas obrony nieprzyjaciela, zdobyły Nasielsk i obeszły silny pułtuski rejon umocniony. Natarcie kontynuowano w nocy. Oczywiście, na rozwinięciu powodzenia poważnie odbiło się to, że nie mogliśmy wykorzystać lotnictwa, a także trudności w kierowaniu artylerią i ograniczona — ze względu na gęstą mgłę — możliwość użycia czołgów. Faktycznie wraz z zakończeniem przygotowania artyleryjskiego zasadniczy ciężar walki spoczął na piechocie, która współdziałając z czołgami bezpośredniego wsparcia i towarzyszącymi jej działami kontynuowała przełamywanie obrony. Bardzo pomogły jej działa pancerne SU-76.

Na prawym skrzydle Frontu, na odcinku 50 armii — jak meldował generał Bołdin — nieprzyjaciel, zachowując poprzednie ugrupowanie, zaciekle bronił rubieży wzdłuż Kanału Augustowskiego, udaremniając wszystkie nasze próby zepchnięcia go na poszczególnych kierunkach. W pasie 3 armii po zakończeniu przygotowania artyleryjskiego udało się z nieznacznymi stratami opanować dwie transzeje, i pokonując wciąż narastający opór, posunąć się do końca dnia trzy do siedmiu kilometrów.

Biorąc pod uwagę wszystkie niedociągnięcia, jakie dały o sobie znać w pierwszym dniu walk, dowódcy armii i my również wnosiliśmy poprawki do planu dalszych działań. Chcę podkreślić, że nasze zasadnicze siły, przeznaczone do rozwinięcia powodzenia, na razie w walkach nie uczestniczyły. Nie nadszedł jeszcze czas. Czekało nas trudne zadanie forsowania Wisły w dolnym biegu, ze znajdującymi się na jej brzegach silnymi punktami oporu, takimi jak: Toruń, Bydgoszcz, Grudziądz, Malbork i Elbląg.

Od rana nieprzyjaciel podjął zaciekłe kontrataki. Bołdin nadal meldował, że Niemcy uporczywie bronią rubieży wzdłuż Kanału Augustowskiego (od 50 armii nie żądaliśmy przełamania obrony nieprzyjaciela, wiązała tylko jego siły, działając na szerokim froncie). Podciągnęli tu w ciągu nocy poważne siły i przeszli do natarcia przeciwko 3 armii, wprowadzając do walki oddziały dywizji pancernej „Grossdeutschland", a także świeże oddziały piechoty, wspierane potężnym ogniem artylerii i moździerzy. Generałowi Gorbatowowi przypadło więc ciężkie zadanie — własnymi siłami odeprzeć uderzenia. Kierunek ten miał bardzo ważne znaczenie zarówno dla nas, jak i dla nieprzyjaciela. Gdyby udało mu się osiągnąć tu powodzenie, wyszedłby na skrzydło i tyły całego zgrupowania uderzeniowego naszego Frontu. Oto dlaczego Niemcy tak zaciekle atakowali oddziały 3 armii. Trzeba oddać sprawiedliwość jej żołnierzom i oficerom: walczyli dzielnie i udaremniali wszystkie podejmowane przez nieprzyjaciela próby przełamania się przez ich ugrupowanie bojowe. Aleksander Wasiljewicz Gorbatow wspaniale wykazał w tych walkach całą swoją umiejętność kierowania wojskami, a jego podwładni — wysoki poziom mistrzostwa bojowego i wytrwałość.

Na kierunkach działań 48 armii, 2 armii uderzeniowej, 65 i 70 armii nieprzyjaciel wprowadził do walki wszystkie siły, jakimi tu dysponował, aby zlikwidować wyrwy powstałe w jego obronie. Hitlerowcy podejmowali jeden kontratak za drugim, każdy bardziej zaciekły od poprzedniego. Musieli jednak po kolei wycofywać się ze swoich punktów oporu i rejonów obrony.

Pogoda pozostawała bez zmian i uniemożliwiała lotnictwu, a nawet pojedyńczym samolotom, udzielenie pomocy piechocie.

Radosną wiadomość otrzymaliśmy od sąsiada z lewej strony. Szef sztabu 1 Frontu Białoruskiego, Malinin, zakończył swoją informację słowami: — Co wy tam drepczecie w miejscu, nasze czołgi zbliżają się już do Berlina!

Oczywiście co do Berlina, był to żart. Ogólnie jednak rzecz biorąc, pod koniec drugiego dnia natarcia ich armie pancerne posunęły się daleko do przodu.

O działaniach lewego sąsiada mieliśmy szczegółowe informacje. Ale od sąsiada z prawej strony nie otrzymaliśmy żadnych wiadomości. Jedynie Bołdin powiadomił, że sąsiadująca z nimi lewoskrzydłowa armia 3 Frontu Białoruskiego zajmuje obronę na poprzedniej rubieży — pod Augustowem i na północ od miasta.

Nie chcieliśmy, ale jednak w celu przyśpieszenia przełamania obrony nieprzyjaciela trzeba było wprowadzić do walki korpusy pancerne w pasach 48 armii, 2 armii uderzeniowej i 65 armii. Od razu zmieniło to bieg wydarzeń. Nieprzyjaciel, który roztrwonił swoje siły w kontratakach, nie wytrzymał tego uderzenia. Front jego obrony na głównym kierunku został przełamany, a nasze wojska ruszyły do przodu — na Bydgoszcz, Grudziądz i Malbork.

Nadszedł trzeci dzień operacji, 3 armia nadal odpierała uderzenia hitlerowców, którzy za wszelką cenę usiłowali osiągnąć swój cel na tym kierunku. 16 stycznia, w drugiej połowie dnia, poprawa pogody umożliwiła wkroczenie do akcji naszego lotnictwa, które poważnie pomogło armii w odpieraniu ataków nieprzyjaciela. Wprowadzenie do walki części sił 49 armii, pomiędzy 50 i 3 armię, przyczyniło się do polepszenia ogólnego położenia na tym odcinku frontu i stworzyło armii Gorbatowa warunki do kontynuowania natarcia. Przebyła ona do wieczora pięć kilometrów, wspaniale wykonując zadanie dnia.

W ciągu trzech dni napiętych walk wojska 1 Frontu Białoruskiego przełamały obronę nieprzyjaciela na całym odcinku od Łomży do ujścia Narwi, z wyjątkiem odcinka 50 armii, gdzie nieprzyjaciel nadal zażarcie się bronił. Zgodnie z naszym planem, rano 17 stycznia w pasie 48 armii wprowadzono w wyłom 5 armię pancerną gwardii z drugiego rzutu Frontu. Wsparte specjalnie wyznaczonymi dywizjami lotnictwa bombowego i myśliwskiego czołgi ruszyły do przodu, na Malbork, zmiatając i niszcząc po drodze stawiające opór oddziały nieprzyjaciela. Jednocześnie na kierunku olsztyńskim wprowadzono w wyłom 3 korpus kawalerii gwardii, którym dowodził bojowy, energiczny generał N. Oslikowski.

W ślad za armią pancerną nacierała 48 armia i 2 armia uderzeniowa, które zamierzały z marszu sforsować Wisłę i nie pozwolić umocnić się na niej cofającemu się nieprzyjacielowi.

Wydarzenia rozwijały się zgodnie z dyrektywą Kwatery Głównej.

20 stycznia 1945 roku, kiedy nasze wojska zbliżały się już do Wisły i przygotowywały do forsowania jej z marszu, Kwatera Główna rozkazała 3 i 48 armię oraz 2 armię uderzeniową i 5 armię pancerną gwardii skierować na północ i północny wschód w celu rozwinięcia działań przeciwko wschodniopruskiemu zgrupowaniu nieprzyjaciela.

Rozkaz ten był dla nas całkowitą niespodzianką. Do gruntu zmieniał nasze plany, oparte na dyrektywie Kwatery Głównej z 28 listopada 1944 roku. Stawiała ona 2 Frontowi Białoruskiemu zadanie:

„Przejść do natarcia i, rozgromiwszy mławskie zgrupowanie nieprzyjaciela, nie później niż w 10 lub 11 dniu natarcia opanować rubież: Myszyniec, Wielbark, Nidzica, Działdowo, Bieżuń, Bielsk, Płock, a następnie nacierać na Nowe Miasto i Malbork.

Główne uderzenie wykonać z przyczółka różańskiego siłami czterech armii ogólnowojskowych, jednej armii pancernej, jednego korpusu zmechanizowanego w ogólnym kierunku na Przasnysz, Mławę, Lidzbark Welski. Ubezpieczenie sił głównych od północy zapewnić natarciem jednej armii ogólnowojskowej na Myszyniec.

Drugie uderzenie — siłami dwóch armii ogólnowojskowych i jednego korpusu pancernego, wykonać z przyczółka serockiego w ogólnym kierunku na Nasielsk, Bielsk. W celu współdziałania z 1 Frontem Białoruskim w rozgromieniu warszawskiego zgrupowania nieprzyjaciela 2 Front Białoruski powinien częścią sił wykonać uderzenie, obchodząc Modlin od zachodu".

Zarówno dyrektywa, jak i osobiste wskazówki naczelnego dowódcy szły w kierunku ścisłego współdziałania 2 Frontu Białoruskiego z 1 Frontem Białoruskim.

Dokument ten w sposób niezbity świadczył, że 2 Front Białoruski miał spełnić ważną rolę w operacji, która weszła do historii pod nazwą operacji Wisła — Odra. Nawiasem mówiąc, we wszystkich pracach poświęconych wielkiej wojnie narodowej, nie wiadomo z jakich powodów przemilcza się udział naszego Frontu w tej operacji, przy czym sprawę przedstawia się tak, jakoby 2 Frontowi Białoruskiemu od samego początku natarcia, od 14 stycznia 1945 roku, postawiono zadanie rozgromienia wschodniopruskiego zgrupowania nieprzyjaciela.

Fakt, że 20 stycznia nasze główne siły zostały skierowane na północ, stanowi dowód giętkości i operatywności kierownictwa Kwatery Głównej. Przekonawszy się, że wojska 3 Frontu Białoruskiego nie nadążają, bez zwłoki wprowadziła ona poprawki do przyjętego poprzednio planu.

Po dokonaniu zwrotu na północ i północny wschód stosunkowo szybko posuwaliśmy się ku morzu. Aby zatrzymać wojska 2 Frontu Białoruskiego, nieprzyjaciel począł ściągać na ten kierunek siły z południowego odcinka swojej obrony, która biegła wzdłuż Kanału Augustowskiego; pozostawił tam tylko słabą osłonę. Dowództwo 50 armii przegapiło ten manewr i nadal nadsyłało do sztabu Frontu meldunki o tym, że nieprzyjaciel trzyma się mocno. Dopiero po dwóch dniach rozpoznanie walką dowiodło, że przed armią pozostało puste miejsce. Ostatnie nieliczne grupki hitlerowców pośpiesznie wycofywały się na północ. Takiego przeoczenia nie można było wybaczyć dowódcy armii. Dowodzenie 50 armią objął dotychczasowy jej szef sztabu, generał F. Ozierow. Wspominam o tej sprawie, ponieważ w wielu pracach została ona niesłusznie naświetlona.

Błędna informacja kosztowała nas drogo. Musieliśmy przed czasem wprowadzić do walki 49 armię, która w innym wypadku mogła być wykorzystana o wiele lepiej.

A 50 armia musiała forsownymi marszami doganiać przeciwnika, który zdołał się od niej oderwać.

Prowadząc pościg za nieprzyjacielem, związki taktyczne 3 armii 30 stycznia przekroczyły granicę polsko-niemiecką sprzed roku 1939 i wkroczyły na terytorium byłych Prus Wschodnich. W walkach pokonały one tutaj silnie umocnioną rubież zbudowaną na wiele lat przed wojną. Ujrzeliśmy tam betonowe transzeje, schrony bojowe, zapory z drutu kolczastego, stalowe wieże, artyleryjskie kaponiery. Niemniej jednak wojska posuwały się naprzód w takim tempie, że nieprzyjaciel nie zdążył w sposób właściwy obsadzić tej rubieży. Dlatego żołnierze 3 armii pokonali ją prawie z marszu. Pomyślnie nacierały również związki taktyczne 48 armii, obchodząc te rejony, w których nieprzyjaciel zdołał zorganizować obronę.

Korpus kawalerii N. Oslikowskiego ruszył gwałtownie do przodu i wpadł do Olsztyna, dokąd na krótko przedtem przybyło kilka niemieckich transportów kolejowych z czołgami i artylerią. Kawalerzyści zdobyli te transporty brawurowym atakiem (oczywiście w szyku pieszym), oszołomiwszy nieprzyjaciela ogniem dział i karabinów maszynowych. Jak się okazało, były to niemieckie jednostki, które przerzucano ze wschodu, aby zamknąć wyrwę uczynioną przez nasze wojska.

W rejonie miasta doszło do uporczywych walk z przerzuconymi tutaj ze wschodu i północnego wschodu oddziałami hitlerowskimi. Kawalerzyści i wspierający ich czołgiści znaleźliby się niechybnie w opałach, gdyby w porę nie przyszły im z pomocą związki taktyczne 48 armii. Rozgromiwszy nieprzyjaciela, kawalerzyści i piechota zdobyli ogromne trofea oraz kilka tysięcy jeńców. Na linii Olsztyna wojska Frontu pokonały drugi pas umocnionego rejonu. Droga w głąb Prus Wschodnich stała otworem.

KTÓRĘDY DO PRZODU?

Jak mając mniej — osiągać więcej?

Oczywiście, że lepiej być bogatym i zdrowym niż biednym i chorym. Ale jak się nie jest? A taki jest właśnie stan nasz aktualnie — zubożenia przez kryzys i obolałości w następstwie konfliktów politycznych.

Nie chcemy się pogodzić z tym stanem, i to dobrze. Ale sprzeciwem, buntem, niezadowoleniem zmienić tego się nie da. Tym bardziej, że nasza niezamożność uwarunkowana jest obiektywnie faktem, iż nasz potencjał wytwórczy i usługowy jest dosłownie średni — wynosi około połowy mocy ekonomicznej wysoko rozwiniętych krajów kapitalistycznych w przeliczeniu na jednego mieszkańca. I nic nie zapowiada, że stan ten może ulec szybkim istotniejszym zmianom Czeka nas kilka lat przywracania wydajności sprzed kryzysu, a i potem trudno oczekiwać „cudu gospodarczego" nad Wisłą.

W takiej sytuacji można siąść i płakać nad niesprzyjającym nam losem, bądź mieć za złe rządowi czy ustrojowi. Tak jedno jak drugie nie może niczego poprawić prócz złudnej poprawy indywidualnego samopoczucia.

Można — i nawet trzeba — szukać rozwiązań dylematu sprowadzającego się do następującego pytania: jak mając mniej potencjału ekonomicznego osiągać tyle samo lub więcej jak w wysoko rozwiniętych krajach kapitalistycznych satysfakcji z zaspokojenia potrzeb?

Słabiej rozwinięte kraje kapitalistyczne znajdują wyjście z podobnej do nas sytuacji dość proste, jeśli nie wręcz prostackie. Otóż tamtejsze elity kapitału i władzy zapewniają sobie podobny jak w najwyżej rozwiniętym kapitalizmie standard życiowy — kosztem nędzy, zacofania, bezrobocia większości członków społeczeństwa. Okazuje się to jednak kłopotliwe nie tylko dlatego, że niehumanitarne — ten moralny niepokój uprzywilejowane elity tamtejsze są w stanie ścierpieć. Ale dlatego, że wcześniej lub później owocuje konfliktami, rewoltami, groźbą rewolucji społecznej. Losy elit firmowanych przez cesarza Haile Selasię w Etiopii, szacha Rezę Pahlavi w Iranie, gen. Somozę w Nikaragui, a i współczesne walki w Salwadorze i napięcia w innych słabo i średnio rozwiniętych krajach kapitalistycznych, są na tyle znaczące, by podważyć użyteczność tamtejszego wzorca poprawy warunków życiowych. Wzorca sprowadzającego się do wygospodarowywania z mniejszego potencjału gospodarczego, wysokiego standardu życiowego mniejszej niż w wysoko rozwiniętych krajach kapitalistycznych części społeczeństwa.

Zauważmy, że były i w Polsce próby posłużenia się tym rozwiązaniem, szczególnie wyraziste w drugiej połowie minionej dekady. Trzeba to wypominać i przypominać, nie brak bowiem chętnych do zachowania standardu uprzywilejowującego elitarne grupki, osiągniętego przez nie w latach siedemdziesiątych. Ograniczania rozliczeń do indywidualnego ukarania tych którzy w sposób najoczywistszy osiągnęli dostatki w drodze ewidentnej kradzieży — bez generalnego rozprawiania się ze sprzecznym z regułami socjalizmu uprzywilejowywaniem warunków życiowych mniejszości w obliczu rażących niedostatków odczuwanych przez większość. Niczym w anegdotycznej walce z molami przez celowanie kulkami naftaliny w pojedyńcze sztuki tego rodzaju szkodników, miast wytępienia zjawiska przez zlikwidowanie źródła jego odradzania się.

Jest to zaś o tyle konieczne, że z niższego przez najbliższe lata dochodu narodowego trzeba by wydzielać większy niż uprzednio odsetek na utrzymanie standardu osiągniętego przez wąskie grupki w latach siedemdziesiątych. A zatem i w dwójnasób pogłębiać niedostatki odczuwane przez większość. Poddanie się tego rodzaju tendencjom mogłoby szybciej zaowocować konfliktem społecznym, bardziej ostrym i groźnym niż uprzednie. Trzeba więc je kompromitować i przezwyciężać — co staram się czynić nie tylko niniejszym.

Praktyka zanegowała również w sposób oczywisty już raczej nadzieje, iż lepszy ustrój — socjalizm — umożliwi szybkie dogonienie i przegonienie wysoko rozwiniętego kapitalizmu w bezwzględnej wydajności potencjału gospodarczego. W tonażu, metrażu, kilometrażu itp wskaźnikach globalnej produkcji. Te nadzieje, będące swoistym wydaniem romantyzmu socjalistycznego, i ich odzwierciedlenie w planach „wielkich skoków", spowodowały — oprócz klęsk gospodarczych i rozczarowań społeczeństwa — głębokie zaniedbania w racjonalnym planowaniu i działaniu. To znaczy takim, które by uwzględniało umiarkowaną skalę naszych obiektywnych możliwości, a zarazem specyfikę ustrojowych wymogów socjalizmu, zakładających wszak preferowanie potrzeb-konieczności ogółu wobec potrzeb-aspiracji elit. Wszystko bowiem wydawało się możliwe, na wszystko miało starczyć dzięki wysokim tempom wzrostu gospodarczego i przyrostu produkcji. Przypomnijmy, że nasilające się od zarania lat siedemdziesiątych objawy kryzysów — surowcowych, energetycznych, finansowych itp. — w kapitalizmie, były najpierw przyjmowane jako dodatkowe potwierdzenie możliwości dogonienia i przegonienia tamtejszych wysoko rozwiniętych krajów. Im tempo wzrostu miało wciąż spadać — nam natomiast rosnąć. Nie zabrakło nawet dzieł rysujących wizję przyszłości na podstawie ekstrapolacji wskaźników wzrostu — tu wysokich, tam malejących — z wyliczeniem, kiedy poszczególne kraje socjalistyczne będą mijać potęgi gospodarcze Zachodu.

Stąd i nie zajmowano się na serio wypracowywaniem racjonalniejszych niż w kapitalizmie sposobów spożytkowania uprzemysłowienia dla zaspokajania potrzeb bytowych. Sedno tego sposobu myślenia można streścić następująco: socjalizm wkrótce będzie wytwarzać tożsamą, a następnie większą ilość dóbr, i to umożliwiać będzie pełniejsze niż w najwyżej rozwiniętym kapitalizmie zaspokojenie potrzeb każdego i wszystkich.

Aliści tempo zaczęło spadać także i u nas, skutki zaś tego okazały się dotkliwsze niż w rozwiniętym kapitalizmie, porównywalne zaś do słabiej i średnio rozwiniętych społeczności tamtego świata. Ponadto przysłowiowa sytuacja „nim tłusty schudnie..." sprawia, że w społeczeństwie naszym bagatelizuje się potocznie zjawiska kryzysowe w kapitalizmie i uważa, że ponieważ im jest lepiej, więc kryzysu tam nie ma.

Polemizuję z tym sposobem myślenia, bowiem twierdzę, iż tkwi w nim pułapka. Złudzenie, iż celowe i możliwe jest jednak dogonienie przynajmniej — już bez przeganiania — przodujących społeczności kapitalistycznych. Wydobycie się zaś z powtarzalnej skłonności do kryzysowo-konfliktowych zaplątań wymaga uwzględnienia, że kapitalistyczne potęgi gospodarcze mają na tyle dawne i duże przewagi — technologiczne, organizacyjne, kapitałowe, materiałowe itp. — by dość długo wygrywać z każdym, kto próbuje się z nimi ścigać na tej samej, ilościowej płaszczyźnie. Wygrać z nimi można tylko wtedy, gdy nastawimy się na inne rozwiązanie zarysowanego na wstępie dylematu: jak z mniejszej ilości środków osiągnąć większą satysfakcję z realnego podnoszenia stopy życiowej wszystkich i każdego?

Ale czy możliwe jest osiągnięcie z mniej — więcej?

Odwrotnie, z więcej — mniej, i byle dureń potrafi.

Każdy zaś postęp cywilizacyjno-ustrojowy wygrywał dzięki racjonalniejszemu gospodarowaniu uboższymi początkowo środkami. Kto wątpi, niech sięgnie do porównań świetności Rzymu i Bizancjum ze skromnością pierwszych wieków społeczności feudalnych. A i podobnych relacji między schyłkiem monarchii feudalnych z rodzącymi się państewkami kapitalistycznymi. Doświadczenia socjalizmu potwierdzają uniwersalność tej prawidłowości.

Sądzę, że w znajdowaniu wyjścia z sytuacji pozornie bezwyjściowej pomocne być może posłużenie się następującą łamigłówką-układanką: — bez namysłu można ułożyć trójkąt równoboczny z trzech zapałek; — dla ułożenia następnego wystarczy dodanie dwu; — po to jednak, by dysponując „mniejszym przyrostem" w postaci kolejnej jednej zapałki osiągnąć większe wyniki w postaci czterech trójkątów równobocznych trzeba (gdy się nie zna łamigłówki) solidnie pogłówkować — by znaleźć rozwiązanie przez uwzględnienie, że oprócz płaszczyzny istnieją jeszcze dwa wymiary przestrzeni.

Otóż twierdzę, że winniśmy i musimy przełamać nawyk myślenia „w bok" — żywiołowego współzawodnictwa na płaszczyźnie ilościowej narzucanej przez rozwinięty kapitalizm. Przezwyciężyć przez wypracowywanie i wdrażanie modelu postępu rokującego, iż dysponując mniejszą ilością dóbr potrafimy pełniej zaspokoić potrzeby bytowe przez inny niż w kapitalizmie sposób wyzwalania od niedostatku i zapewniania dostatku.

Czy to jest możliwe?

Kewal Varma, hinduski publicysta wnikliwie obserwujący nasze kłopoty i życzliwy dla Polaków, stwierdził w rozmowie ze mną, iż obawia się, że nie potrafimy przezwyciężyć powszechnej już w naszym narodzie skłonności do utożsamiania postępu z upowszechnieniem zachodnich wzorców dostatku. I przez to grożą nam następne — jak to nazwał — kryzysowe konwulsje.

Ja również się tego obawiam. Ale by nie poprzestawać na nieprzystojnym strachu wynikającym ze świadomości potencjalnych zagrożeń, agituję za zmianą sposobu myślenia, a zatem i działania.

Eksponuję rolę świadomości nie bez kozery. Warunki naszego życia są bowiem wprawdzie zdeterminowane obiektywnym stanem naszego potencjału gospodarczego i niekorzystnymi zmianami w światowej polityce. Ale istnieje możliwość wpływania na pomyślniejszy dla nas bieg wydarzeń przez wykorzystanie sfery od nas samych zależnej: naszej świadomości i woli działania. Zdolności odrzucenia nierealnych marzeń, by żyć tak jak w rozwiniętym kapitalizmie — podobnie, jak tworzący ten ustrój burżua odrzucili konsekwentnia tego, co nadzwyczaj ponętku funkcjonujący jeszcze dość długo w ówczesnych centrach feudalizmu. I wygrania dzięki temu — podobnie jak wcześniej wygrali burżua, i odpowiednio prekursorzy feudalizmu, i uprzednich formacji. Na tym bowiem polegał, polega i polegać będzie postęp społeczny — na zdolności zastępowania tego, co nadzwyczaj ponętne, lecz wąsko dostępne, przez sposoby życia czyniące życie bardziej godnym i wygodnym dla większej niż uprzednio liczby ludzi.

I dlatego właśnie niezbędne jest nastawienie się nie tylko na to, by produkować więcej, ale — i to głównie — by lepiej, racjonalniej zaspokajać nasze potrzeby. By mając mniej — osiągać więcej.

MARIUSZ GULCZYŃSKI

Trudniej, choć mimo wszystko lepiej

Dokończenie ze strony 1

ko my, ale znaczna część młodzieży. Młodzi szukają swojego miejsca, walczą o nie Nie zawsze poszukują właściwie. Nie zawsze właściwe są też formy walki. To prowadzi do porażek, niewiary, depresji.

Nie zawsze możemy wszystkim młodym ludziom pomóc. Także przegrywamy. Wciąż poszukujemy właściwych metod działania.

— A przecież był Zjazd ZSMP, który miał udzielić odpowiedzi na pytania: Jaka organizacja? Jak i którędy do przodu? Czy odpowiedzi wtedy udzielone są już nieaktualne?

SWIETŁANA: — Do Uchwał Zjazdu wciąż powracamy, chociaż minęły już od jego obrad dwa lata. Wracamy do wypracowanej tam linii i modelu...

— A mimo to działać Wam nie jest łatwo. A może na coś czekacie? Może na to, aż ktoś coś zainicjuje, a Wy się potem dołączycie?

ANDRZEJ II: — To nie jest tak. Nie oczekujemy na to, aby nas ktoś poprowadził za rękę. ZSMP nie trzeba dziś prowadzić ani za rękę, ani pod rękę. Choć pewne wsparcie, pomoc, chociażby ze strony PZPR byłoby nam potrzebne.

— To są Wasze oczekiwania, a czy wiecie czego inni oczekują od ZSMP?

ANDRZEJ: — Najwięcej młodych potrzebuje pomocy, o której mówiliśmy: kredyty, mieszkania itp. Część młodych oczekuje od organizacji czegoś zupełnie innego, np. walki ze skostniałą administracją, z tym wszystkim, co hamuje drogę do umownie określonego „nowego".

ANDRZEJ II: — Myślę, że tych drugich wcale nie jest tak mało. To wszyscy ci, którzy naszą organizację widzą jako forum dla obrony własnych racji, własnego zdania, tym bardziej jeśli te racje nie są jedynie racjami jednostkowymi, ale znajdują potwierdzenie społeczne.

— Czy znacie racje młodych nie tylko tych, którzy są z Wami, czy blisko Was, ale i tych pozostałych, tzw. niezorganizowanych?

ANKA: — Wiele na te tematy w zakładzie dyskutowaliśmy. Ja z tych dyskusji wyciągnęłam jeden wniosek, a mianowicie taki, że dla większości cała ideologia i polityka to sprawa pełnych półek, to pełne garnki i w miarę swobodne życie. W kolejkach uczą się takiej polityki i filozofii. Wielu mówiło także o sprawach zakładu, ale znów przez pryzmat pensji, podwyżek. Problemy młodych, tak jak i starszych, obracają się w trójkącie: towar, pieniądz, życie. Po pracy na dyskusję, na zebranie szkoleniowe nikt nie przyjdzie. W ludziach brak zapału, wiary, a w niektórych nawet nadziei.

ANDRZEJ II: — Pod presją tych problemów Związek spychany jest do zajmowania się sprawami gospodarczymi, socjalnymi ludzi młodych. Tymczasem ZSMP musi być, musi pozostać organizacją polityczną, ideową.

ŚWIETŁANA: — W przeszłości ocenę stopnia politycznego charakteru Związku dokonywano przez pryzmat ilości odbytych zebrań szkoleniowych. Dziś wielu jeszcze tak chciałoby nas oceniać. Tymczasem musimy poszukiwać nowej formuły dla spełnienia politycznej roli Związku. Poprzez ekonomikę też poznajemy wiele ze spraw polityki. Podejmowanie spraw socjalnych ekonomicznych wcale nie musi oznaczać uciekania w sfery apolityczności.

ANDRZEJ II: — Tylko że wnioski z tego typu uczenia się polityki przez ekonomikę nie zawsze bywają optymistyczne, a czasami nawe gorzkie. Dla przykładu podam, że wstęp do klubu „Maxim" kosztuje około 1.500 zł. Dla kogo są dziś tego rodzaju kluby? Chyba nie dla takich jak my. A potem dziwimy się, że młodzi z rezerwą podchodzą do terminu „realny socjalizm". A jak może być naczej skoro jedni żyją ponad socjalizmem, a innych za ciężko zapracowane pieniądze stać na tak niewiele...

— Wiadomo, że ZSMP nie będzie konkurencyjnym w stosunku do tego klubu, więc jak zamierzacie przyciągnąć innych do siebie?

ANKA: — To będzie trudne. Ja też kiedyś stałam z boku. Do organizacji przyszłam prawie przypadkowo. Ale poznałam w niej ciekawych ludzi, zaprzyjaźniłam się z nimi i zostałam. Nie zawsze hasło: „koło ZSMP (a wcześniej ZMS) kolektywem przyjaciół" nic nie znaczyło. Bywało i inaczej, że znaczyło właśnie wiele.

ANDRZEJ II: — Ta przyjaźń przetrwała czasami znikome efekty wspólnego działania, bo przecież bywało i tak, że wysiłek szedł na marne. Robiliśmy na przykład wspólnie skwerek, w dwa dni później przyjechał spychacz i po skwerku, po całej naszej społecznej pracy.

ANKA: — Ale więzy między ludźmi zostały.

ANDRZEJ II: — Żal też w ludziach został. Takie przykłady odpychały ludzi od organizacji, budziły wątpliwości.

ANKA: — Zgoda. Ale kiedy już mówimy o niszczeniu efektów czyjegoś tam działania, to dam inny przykład Byłam kiedyś wiceprzewodniczącą odpowiedzialną za sprawy organizacyjne. Biegałam od wydziału do wydziału, nakłaniałam młodych do naszej organizacji Szło wtedy na ilość. A teraz ja słyszę od Andrzeja, że trzeba zrobić „czystkę" wśród tych, którzy jeszcze nie odeszli I przyznam się, że trochę żałuję tamtej bieganiny, trochę szkoda tamtego wysiłku, nawet jeśli uznać, że kurs był zły. Dlatego jestem zdania, że powinniśmy pracować z każdym, kogo szkoda byłoby stracić. A takich jest wielu.

ANDRZEJ II: — Pozycja stojącego z boku jest wygodna. Prawdą jest jednak i to, że nie wszyscy chcą w niej dalej trwać. Nie bardzo jednak wiedzą co z sobą począć, gdzie pójść. Z tymi trzeba rozmawiać, próbować pozyskiwać, zaś rozstawać się z tymi, którzy prócz słów krytyki nic od siebie innym nie oferują.

ANDRZEJ: — Postulat słuszny tylko, że najpierw musi ktoś, chociażby grupa 50 osób coś zrobić, aby zachęcić resztę, tych stojących obok. Musimy wiedzieć na kogo możemy liczyć.

ŚWIETŁANA: — A nie lepiej zamiast czynić „czystkę" ograniczyć się na początek do pracy z tą grupą najbliżej stojących, z tymi pięćdziesięcioma, wiedząc, że ta reszta, te 80 proc. biernych członków nie jest naszym inicjatywom przeciwna. Że jak się przekonają, to na pewno dołączą. Czy trzeba się od razu z nimi rozstawać?

ANDRZEJ: — Kogo preferować np. w sprawie patronatu budowlanego, aktywistę czy tego biernego członka?

ANDRZEJ II: — Myślę, że winniśmy przyjąć zasadę, że musimy pomagać tym najbardziej i rzeczywiście tej pomocy potrzebującym.

ANKA: — Powie ktoś — przyszedł do zarządu, bo ma potrzebę. Ale dlaczego my nie trafiliśmy wcześniej do niego? Bo zamknęliśmy się w wąskiej grupie aktywu.

ANDRZEJ: — Zgadzam się — jest nas mało jest nas garstka skupiona głównie wokół zarządu. Na wydziałach aktyw można policzyć na palcach. Taka jest prawda, takie są realia na dziś.

ANKA: — I w tych realiach ty proponujesz jeszcze „czystkę". Jestem przeciwna.

— Myślę, że dylematu, który tu powstał w tej chwili nie rozstrzygniemy. Jest to problem bardzo stary, tak stary jak powojenny ruch młodzieżowy. Zawsze marzyła się kierownictwu tego ruchu organizacja kadrowa gotowa zawsze i o każdej porze do działania. Zarazem chciano, aby awangarda miała silne oparcie w młodzieży. Kiedy wydawało się, że jest dobrze — obniżano kryteria, zapisywano na zbiorowe listy chętnych, a potem ustawionym w szeregu na akademii hurtem wręczano legitymację. W każdej sytuacji kryzysowej podnosiło się wołanie „lepiej mniej, ale lepiej". Tak już było.

Powiadacie, że trzeba się rozstać z tymi lub innymi. A jak zamierzacie *pozyskiwać nowych członków, skoro tak wielu z tych, którzy Was* nie znają, którzy nie wiedzą prawie nic o ZSMP organizację Waszą neguje. Skąd to się bierze?

ANDRZEJ: — Może dlatego, może stąd, że z takim trudem wywalczamy sobie autorytet, że tak niewielu zyskujemy sobie jeszcze sojuszników. Wielokrotnie jeszcze nasze działania w zakładzie napotykają na sceptycyzm czy nawet niechęć ze strony starszych, innych organizacji działających w fabryce.

ANKA: — Ja upatrywałbym przyczyn także w szkole, to znaczy w tym, że nasza organizacja jest tam nie znana.

ŚWIETŁANA: — Przez całe dobre dwa lata środki masowego przekazu prowadziły nie tylko antypropagandę Związku, ale wręcz robotę szkodliwą dla ZSMP. Mówiło się, że ZSMP to organizacja totalitarna, zuniformizowana. Naszych członków pokazywało się jedynie jako tłum ludzi w białych koszulach i czerwonych krawatach skorych na każde zawołanie do oklaskiwania władzy.

Nie będę twierdziła, że nie popełnialiśmy błędów. To byłoby jednostronne i nieprawdziwe, jak ta szkodliwa dla Związku propaganda. Myślę, że w wielu przypadkach udało nam się od tych błędów uciec, zwalczyć je.

ANDRZEJ II: — Może jest tak dlatego, że zbyt rzadko pytamy tych malkontentów o to, co zrobili, aby w ZSMP było lepiej, aby organizacja była silna i taka, jaką chcieliby ją widzieć?

— ZSMP funkcjonował kiedyś w ramach tzw. nomenklatury. Dla przykładu przewodniczący zarządu zakładowego wchodził „z urzędu" w skład KSR. Dziś te gwarancje ZSMP utracił. Czy jest Wam bez nich łatwiej czy trudniej?

ŚWIETŁANA: — Myślę, że jeśli nawet trudniej, to mimo wszystko lepiej. Bo jeżeli dziś wybrano do samorządu członka naszej organizacji to znaczy o wiele więcej niż dawne kilka miejsc w KSR z rozdzielnika czy „z urzędu"

ANDRZEJ: — U nas w zakładzie w poprzednich wyborach do rady pracowniczej przegraliśmy. Po jej „odwieszeniu" nowych wyborów nie było. Tak więc nas tam nie ma. Stąd też tak duże nadzieje wiążemy z nowymi związkami zawodowymi. Nasi członkowie wchodzą w skład grupy inicjatywnej. Jeśli wejdą do władz, będą tam bronili interesów wszystkich ludzi młodych w zakładzie.

— Na ile obliczacie swoje szanse?

TERESA: — Na to, aby tę kampanię wygrać, a nie przepaść w niej, jak w poprzednich, potrzebujemy poparcia nie tylko tego szczupłego grona aktywu, ale w miarę możliwości większej grupy młodzieży. Od tego poparcia zależą nasze szanse. A jak będzie naprawdę — zobaczymy.

Rozmowę tę traktuję jako wstępną. Jestem ciekawy rozwiązania problemów, o których była mowa, ciekawy tego, jak będzie naprawdę. Postanowiłem znów odwiedzić młodych z ZSMP w WZPB „1 Maja", aby przekonać się jak sobie poradzą.

Rozmowę prowadził i opracował:
KAROL JÓZEF STRYJSKI

Foto: M. Zajdler

Góral pod Łodzią

RYSZARD BINKOWSKI

Stępień z Gadki Nowej powiedział, że we wsi jest solidarność. Jak się ludzie skrzykną, jak pogadają ze swoją gminną władzą w Pabianicach, to solidarnie można wszystko zrobić, i to szybko. I jakby władza w Warszawie, tak się dogadała ze wszystkimi, jak ta lokalna z Gadką Nową, to byłoby już porozumienie narodowe, i w ogóle byłoby dobrze. Ale ta mowa Stępnia nie poszła w telewizji, bo pewnie miejsca zabrakło na antenie, jak to się mówi.

Gadka Nowa leży na rogatkach Łodzi, gdzie nie spojrzysz to szklarnie, tunele foliowe. Ziemia licha, więc rolnictwo też nie pierwszej jakości. Hanka Buczkowa, córka Filipów, powiada, że ich wieś nazywano kiedyś „przydatkami". Chyba do Gadki Starej, gdzie byli i są do dziś solidni rolnicy, na dużych gospodarstwach. A dla mieszkańców Gadki Nowej rozparcelowano na drobniutkie kawałki pastwisko majątku z Rudy Pabianickiej. I dlatego mieszkańców zwano początkowo koziorzami, bo trzymali te zwierzęta na ubogich wygonach. Wojtek Buczek, mąż Hanki, chciał widocznie podtrzymać tradycje, bo sprowadził z Poznania kozę z koźlęciem i w niedzielne przedpołudnie uwiązał przed tym pięknym domem, na którego ścianach błyszczy mozaika z tłuczonych talerzy. Ludzie mówią, że Buczek w dobrych gierkowskich czasach musiał objechać wszystkie knajpy w województwie, żeby natłuc tyle talerzy. Ale on wcale nie pije. Natomiast teść Filip strzeli kielicha, ale swój honor ma. W tę niedzielę teść z rozpaczy rwał ostatni włos z głowy. No bo ludzie idą do kościoła, pozdrawiają słowem bożym, a tu przed tym pięknym domem, przed tymi szklarniami pasie się owo nędzne zwierzę, zwane żydowskim. Wymię temu wezbrało, cycki sterczą na sztorc. A w cholerę, powiedziała Hanka, jak chłop kupił, niech się męczy z dojeniem. Potem, na szczęście i nieszczęście zarazem, kozy uwiązano między szklarniami, gdzie była bujna, soczysta, tłusta trawa. Nażarły się, dostały biegunki i skończyła się hodowla. W zamian Wojtek sprowadził z Nowego Targu czarnego barana. Żona mówi, że natura ciągnie wilka do lasu. Ale tego barana też już nie ma...

— A szklarni też nie było — ciągnie młoda Buczkowa. — Po wojnie prawie wszyscy ze wsi pracowali w łódzkich fabrykach, bo te marne kawałki ziemi nie mogły wyżywić rodzin. Później ten i ów zaczął prowadzić warzywa, przeważnie w małych inspektach. Moi rodzice też pracowali w mieście, mieliśmy 2,5 ha ziemi i dwie krowy. Z czasem, tak jak inni, ojciec postawił dwie szklarnie i zwolnił się z pracy. Byłam panienką, chodziłam do technikum ogrodniczego, ale trochę się wstydziłam, jak ojciec przywiązywał do siodełka dwa kosze, prawie pół metra pomidorów, i musiałam to ciągnąć przez wieś, ładować do tramwaju przy Skrajnej, a potem handlować na rynku. To zabierało masę czasu, bo lepsze pomidory sprzedawało się kupcowi na miejscu, a z tymi gorszymi trzeba się było męczyć na rynku.

— Ale chyba się opłacało?

— No tak, zbudowaliśmy dom. I jak wyszłam za mąż za tego mojego górala, było od czego zaczynać. Ale wtedy ojciec powiedział: „męczcie się sami", zapisał nam gospodarstwo i poszedł do pracy w mieście. Posypały się dzieci, jest trójka drobiazgu, jeszcze nie chodzą do szkoły. Szczęście, że mama jest w domu, że ojciec pomoże, bo inaczej to byśmy się nie wyrobili. Bo teraz jest we wsi odwrotnie: rzadko kto pracuje w mieście, ale za to tak się wgryźli w swoje gospodarstwa, że trudno o wynajęcie człowieka do pracy. Za dwa tysiące na dniówkę nie przyjdzie...

Ludzie wywozili w skrzynkach warzywa na rynek, dłubali w tych małych inspektach, i powoli dorabiali się jakoś. Te ładne domy i szklarnie są owocem kilkudziesięciu lat ciężkiej pracy. A piękna asfaltowa droga biegnąca przez Gadkę Nową jest zasługą władzy. Nie, Binkowski nie zgłupiał, nie ładuje do mózgów nowej propagandy sukcesu. To się wiąże z tym, co powiedział na wstępie Stępień. Otóż w gminie Pabianice naczelnikiem jest Mirosław Krata, inżynier rolnik, chłopski syn. To jest taki facet, co w najgorszych czasach, wbrew wszystkim, zamiast SKR-owi sprzedawał ziemię chłopom. Jak mu raz nie szło zakładanie chodników w Ksawerowie, bo na trasie rosły wielkie dęby i nie miał ich kto wyciąć, naczelnik poszedł do księdza, ten wygłosił kazanie, poruszył sumienia i za parę dni już kładziono chodniki. Krata dba o drogi, gmina pod tym względem jest najlepsza w województwie. Poza tym naczelnik nie pozwala się wozić autem. Wsiada na swoją dwukołową jawkę, jeździ po gminie i wszystko, cholera, widzi. W której szklarni szyby wybite, gdzie rów nie oczyszczony, gdzie pole nie obsiane i gdzie rosną chwasty lub perz gotowy prosto do „Herbapolu".

A drugą władzą jest sekretarz partii, Marchewka, też chłopski syn, były nauczyciel. Jak trzeba coś załatwić, chłopi walą najpierw do niego. Marchewka zwołuje na naradę odpowiednie „czynniki" i sprawę się załatwia od ręki.

A trzecią władzą bardzo lubianą przez chłopów (wbrew złej opinii w kraju) jest prezes GS, Stasiak. No, ale ten to nawet prowadzi własne gospodarstwo, więc jak ma chłopa nie rozumieć. I dlatego magazyny GS nigdy nie świecą pustkami. Stasiak interesantów załatwia sprawiedliwie, czy to zahukana staruszka, czy zamożny rolnik specjalista, podsuwa krzesło, wysłuchuje i jak się daje, to w dziesięć minut sprawa załatwiona.

A w Nowej Gadce władzą jest sołtys Jan Stępień i podsołtys Zbigniew Walaszek. Ci dwaj pierwsi zaczęli chodzić koło tego sklepu. No bo jest kawałek ziemi pod budowę, a tymczasem ludzie stoją na mrozie lub w deszczu przed brzydkim blaszanym kioskiem, w którym sprzedawca nie ma jak się ruszyć. Za dwa dni do wsi przyjechali Krata, Marchewka i Stasiak. Mówią, że jak ludzie chcą w czynie budować, to materiały mogą dostać od razu. A najbardziej zapalczywy sekretarz Marchewka wyłożył:

— Ziemia wasza, robota wasza, sklep dla was, a korzyść obopólna. Nie ma się co oglądać na różne szczeble i czekać na stempelek ministra.

No jasne, albo jest samodzielna władza w gminie, albo jej nie ma! I jak zaczęli wbijać kołki na placu, to się nagle ożywił Wojtek Buczek. On wrósł już w tę wieś, ale przecież był obcy, spod Nowego Sącza. Tam była bieda, ale silne tradycje społecznikowskie, a w rodzinie wujek Kulas, stary działacz ludowy, partyzant chłopski. No i Wojtek zaczął wozić swoim traktorem materiały budowlane z GS i żwir ze żwirowni. Przyszła mu do głowy myśl, którą podzielił się z sąsiadami, że jak materiałów jest pod dostatkiem, to warto przywieźć tyle, żeby starczyło na postawienie czegoś solidnego. Nawieźli więc cementu na zapas, zresztą za zgodą prezesa Stasiaka, i w ciągu sześciu tygodni, bez udziału murarza i majstra z zewnątrz stanął piękny pawilon sklepowy z białej cegły. Każdy mieszkaniec przepracował po 160 godzin. Sklep jest świetnie zaopatrzony w dniu reporterskiej wizyty kobiety kupowały bez kłopotów masło roślinne i jakąś „drobnicę". Ale najważniejsze, że obok sklepu są już wykopane i zalane betonem fundamenty pod przestronny Dom Rolnika, który zaczną budować na wiosnę. Ucieszony tym wspólnym sukcesem Buczek mówi z zapałem:

— Mamy już załatwioną ziemię i zrobimy dla chłopaków boisko do piłki nożnej. Ale nie mamy jeszcze dobrej drogi do sklepu do Ksawerowa, gdzie jest filia GS. Wezmę swój traktor, kilku sąsiadów też się przyłączy, wywieziemy z POM darmową szlakę, rozsypiemy a gmina przyrzekła że utwardzi drogę i zaleje asfaltem.

— O matko święta! — załamuje ręce Buczkowa. — Ja się teraz nie obrobię, bo ten góral będzie siedział w czynach społecznych!

A sama, psiakrew, też się tym zaraziła! Pojechała do prezesa Stasiaka z Małecką i innymi kobietami i mówią, że w ramach Koła Gospodyń Wiejskich zawiązały komitet budowy dziecińca wiejskiego. Prezes kazał im usiąść, zadzwonił gdzieś i pyta, czy z tej rozbieranej tuczarni da się coś wykroić na słupki. Tak jest, można pociąć stare poręcze. A więc, macie kobiety, te słupki. Są jednak trudne do życia przepisy, więc naczelnik nie może nie dać z funduszu gminy na jakieś tam ogrodzenie. Kobiety poszły do sekretarza partii Marchewki, a ten, jako były nauczyciel, jest facetem oblatanym. Mówi, że dzieciniec i dzieci to przecież oświata. Należy więc przelać pieniądze na oświatę, a z oświaty na dzieciniec. I tak w Gadce Nowej mamy już ładnie ogrodzony dzieciniec, są już załatwione urządzenia, huśtawki, karuzele, na których wiosną będą się bawić wiejskie dzieci.

Teraz należy wyjaśnić rzecz najistotniejszą a mianowicie, kto to tak współdziała z Urzędem Gminy i KG PZPR. Otóż Gadka Nowa to jest wieś ogrodnicza, bezpartyjna i w całości należąca do rozwiązanej „Solidarności Wiejskiej". Przez cały czas wieś pracowała: nie strajkowała, nie okupowała gmachów użyteczności publicznej. Do nowego Związku Rolników nie zapisała się, bo nie wypisała się ze starego. Ale cudów nie oczekuje, na emigrację wewnętrzną nie jedzie, tylko w stanie wojennym bierze się do solidnej roboty, pomaga władzy gminnej. Wynikają z tego dwa wnioski. Pierwszy, że na samym dole, we wsiach, „Solidarność Wiejska" wyraźnie odcinała się od „góry" i nie robiła władzy na złość. Drugi, że jeszcze w stanie wojennym w gminach i wsiach najlepiej potrafiono budować coś, co się nazywa porozumieniem narodowym.

— Czy nie lubię telewizji? Ja wiem, że w rolnictwie najważniejsza jest specjalizacja, ale jak w telewizji pokazują nagrodzonego hodowcę, co z 1 ha sprzedaje 1500 kg żywca, to ja nie wierzę. Bo to jest 12 tuczników, które nie urosną na burakach i kiszonkach. Trzeba dla nich 50 metrów żyta i prawie 100 metrów kartofli. W jakim kraju na świecie zbiera się tyle z hektara? A poza tym, to ja się sparzyłem na zielonym świetle dla hodowców świń. Jesienią 1981 roku był przelicznik 1:5, z którego zresztą państwo się wycofało, bo np., żeby chłop kupił babie pralkę, musiał sprzedać państwu 50 metrów żyta, co na wolnym rynku kosztuje 200 tys. zł. Ale ja potrzebowałem trochę maszyn na te moje pięć hektarów, więc nabyłem sześć macior i zawarłem umowę na dostawę warchlaków do SKR w Rzgowie. 15 stycznia 1982 roku odstawiłem pierwsze 15 szt. Okazało się, że świnie były ważne do 1 stycznia, a teraz maszynę można kupić tylko za zboże. Z miesiąc się nachodziłem, żeby odebrać swoje pieniądze za te warchlaki. Zlikwidowałem maciory, teraz mam tylko parę tuczników i prosiąt. Jak nie będzie stabilizacji, to w mniejszych gospodarstwach chłopi zaczną hodować tylko dla siebie, na własne potrzeby...

Wojtek Buczek ma trzydzieści cztery lata, figurę taką bardziej postawną, śniadą twarz, figlarne błyski w śmiejących się oczach i początki dostojeństwa na ojcowskim czole, bo ciemne włosy zaczynają się kruszyć. Wiecznie zatyrany, o ubiór nie dba. Siostra Marysia twierdzi, że w telewizji pokazali go do połowy, bo musiał mieć podarte portki. Wojtek się zapala, zacietrzewia, wtedy czasem mu się wypsnie: „a idź-że, idź-że, chodoku", albo: „hejze dziopinko", czyli dziewczynko. Odszedł z gór, ale „góralu, czy ci nie żal" nie śpiewa.

— Na nizinę przyszedłem szukać lepszego życia. Moją Polskę górską i tę spod Łodzi można tak porównać, jak wieś kampuczańską ze wsią w Holandii. Warunki fatalne, brak przemysłu, rolnictwo słabe. Byłem szczęśliwy, jak mi wujek po znajomości załatwił robotę za 800 zł, trzy godziny traciłem na dojazdy. Pracowałem od dziecka w gospodarstwie, ale co można uzyskać na 4 ha lichej ziemi rozrzuconej po górkach? Pracując skończyłem SPR, uczyłem się w technikum ogrodniczym. Szkółkarstwo i ogrodnictwo podglądałem na wycieczkach. Ojciec umarł, gdy miałem 11 lat. Matka była chora, brat Antek miał 8 lat, a Marysia chyba 5 lat. Wszystko spadło na mnie. Jako uczeń szóstej klasy chodziłem 15 kilometrów do Nowego Sącza, dźwigając na plecach dwudziestolitrową bańkę z mlekiem...

Przyjechali na tę podłódzką wieś, która dla Wojtka była niczym Eldorado. Tyle, że właściciel starego, sypiącego się gospodarstwa trochę ich wykołował. Jeszcze szwagier Zdzisiek musiał z tego gospodarstwa wywozić śmieci. Jak się Wojtek ożenił, to się przeniósł do Gadki. Dobudowali z Hanką dwie izby, dwie szklarnie i kupili pierwszy samochód, żeby nie wozić warzyw na rowerze. Ale, że Wojtek lubił zwierzęta i eksperymenty, to robił trochę wbrew temu, co mówi o specjalizacji. Po latach doświadczeń spoważniał, zawęża produkcję. A tak to w gospodarstwie oprócz zboża, kwiatów i warzyw były papugi, kanarki, pawie, trafiały się lisy i tchórzofretki, między szklarniami kicało stado królików, były gęsi, kaczki, indyki, krowy dojne i byki, gołębie ozdobne i pocztowe, które zresztą do dziś gruchają na dachu. Istny zwierzyniec...

— A kiedyś — mówi z tajemniczym uśmiechem żona — do Wojtka przyszedł list. Czytam na głos, że dzik już gotowy, proszę przyjeżdżać, pozdrowienia itp. Struchlałam. Ciotka patrzy na mnie ze zgrozą, z politowaniem. Hanuś, mówi, żal mi ciebie, dziecko. Bóg cię pokarał chłopem, którego trzeba leczyć, głowę ma chorą, nieszczęśliwy.

Buczkowa schowała list, bo ją przeraziła hodowla dzików. Po tygodniu dała ze strachem pismo mężowi, a ten się strasznie zdenerwował. I pojechał, ale nie do psychiatry, tylko po tego „Dzika", bo to był taki mały traktorek, na dużych kołach, z wmontowanym silnikiem od motocykla. Woził nim mleko do Pabianic, chłopcy radarowcy patrzyli koso, ale jak tu zatrzymywać obywatela, co produkty rolne sprzedaje państwu?

Buczkowa jest kobietą postawną, jak się to mówi, przy kości, i skora do żartów. Powiada:

— Zamarzyły się góralowi hale! W zeszłym roku trzymał siedemdziesiąt owiec. Tyle, że tu hale ze szkła, ogrodnicze...

— Moje ty biedactwo — odparowuje słodziutko Buczek. — A ilem to ja skór musiał szykować na kożuch dla ciebie, co? A czy to coś zaniedbałem przez te biedne owieczki? Sprzedałem państwu 120 kg wełny, 500 kilogramów żywca wieprzowego i 4 tony warzyw. A owiec jest już tylko dwadzieścia...

Żeby się Buczek rozkręcił, najlepiej go zdenerwować. Najlepiej powiedzieć, że chłopu podniesiono ceny skupu, a on wciąż narzeka, handluje na wolnym rynku i wszystko przelicza po cenach wolnorynkowych.

— Na co mi podwyżki cen skupu, jak na tym tracę? Kiedy żywiec był po 50 zł kg, dostałem za świnię 6 tys. zł. Za to mogłem kupić dwie pary bron traktorowych po 2800 zł. Teraz za tę świnię, po wyższej cenie skupu dostanę jedną bronę. Głupi drapak, sprężynówka, kosztuje 25 tys. zł. Maszyn nie można dostać w składnicy, choć jest ich tam pełno, bo się stosuje różne kryteria, tylko nie potrzebę rolnika. Szwagier ze wsi Gospodarz ma krowy, dokupił zaniedbanej ziemi z PFZ, przydzielono mu siewnik, to dwa razy musiał jeździć do Łodzi, bo w pierwszej dostawie na siedem tylko dwa były sprawne. A jak szwagier chciał kupić bronę, to mu kazano przywieźć do Rzgowa 1,5 tony zboża, żeby potem zarżnął jedną krowę, bo co jej da żreć? Ja mój używany ciągnik, pług, bronę kupiłem prywatnie, słono przepłacając. Chłop sprzedaje swoje produkty na wolnym rynku, gdyż maszyny musi kupować na lewo.

— Słuchajcie, Buczek, a nie można skorzystać z usług SKR?

— To jest taka wspaniała instytucja, z którą trudno się dogadać. Żeby się ratować w reformie, podbija ceny usług, ukrywając bałagan, marnotrawstwo i biurokrację, bo trzeba też zarobić na dwudziestu urzędników, nie? SKR wyprzedaje zniszczone maszyny, ostatnio powołała dziesiątego kierownika do spraw kasacji.

— Gdy nie ma maszyn rolniczych, chłopi i badylarze kupują na giełdzie auta po milion sztuka — denerwuję ze spokojną wrednością Buczka. — Jeżdżą mercedesami...

— A niech cię fraz! Chyba w telewizji? Czy ogrodnikowi lub rolnikowi auto potrzebne na paradę do kościoła? Do roboty, do załatwiania spraw w biurach i magazynach! Ja, dzięki teściom, miałem lepszy start, to mam fiata. Ale szwagier, co też ma trzy szklarnie, ale budował dom, stodołę, oborę, do dziś tłucze się piętnastoletnią syrenką. A teraz ktoś złośliwie zaczyna ludzi straszyć podatkami...

Chyba naprawdę złośliwie, bo w Sejmie nie było jeszcze projektu ustawy o tych podatkach. Jakby one miały być tak wysokie, od sprzedanych państwu produktów, to chłopi albo ograniczą produkcję, albo zaczną sprzedawać na wolnym rynku. Wojtek może mieć dochód 140 tys. na siebie i 60 tys. na żonę i troje dzieci. Jak to przekroczy, sypie się domiar.

— A czy ktoś liczy, ile ja muszę włożyć w produkcję? Żeby kupić dobry węgiel na Śląsku, muszę zapłacić 300 tys. zł. A mówi się o badylarskich mercedesach, albo różne głupoty o legendarnym samolocie Lecha Dziomdziory. Przecież jeden facet nigdy nie ma tyle pieniędzy, żeby kupić wszystko, specjalistyczne maszyny nabywa się wspólnie. Kiedyś znaczna grupa polskich ogrodników chciała zawiązać spółkę eksportową, nabyć samolot i wysyłać świeże kwiaty do Paryża i Moskwy. Państwo zarobiłoby mnóstwo dolarów. Ktoś wrednie puścił plotkę, że to z Dziomdziory taki milioner, któremu zachciało się samolotu. Takie same legendy krążą wokół hodowców zwierząt futerkowych. Ta produkcja w całości idzie na eksport, państwo by się zasiliło dewizami, ale nie. Hodowca nie zdobędzie karmy, bo lepiej krew i odpady spuścić do kanału. Tak jeszcze bywa, niestety... Znam drobiarzy pod Karsznicami, którym dano plany na kurniki, materiały budowlane, a po dwóch latach wstrzymano dostawę paszy, bo nie mają właściwych uprawnień. Wywozili zdechłe kury do dołu z wapnem, do Bacutilu...

Zagalopował się Buczek, na szerokie wody wypływa. Niech on lepiej mówi o sobie. Niech powie, czemu to na podwórzu leży hałda węgla, a 1000 m kw., pod szkłem zieje pustką.

— To jasne. 30 proc. opału stanowi niesort, czyli miał. Reszta to niskokaloryczna „dwójka" oraz brykiety z mielonych kamieni, które chyba jeszcze zostały z drugiej Polski. Te brykiety tak grzeją, że piece mogą zamarznąć. Na takim węglu pomidory można sadzić w kwietniu. Ja puszczę warzywa na wiosnę.

— Mówią, że badylarze jadą na kwiatach, bogacą się, a miasto nie ma co jeść.

— Gadanie! Kwiaty są pracochłonne, trzeba się paprać z paleniem w piecach przez cały rok. Ogrodnicy ratują się kwiatami, gdy muszą płacić wielkie sumy za trudno dostępne środki produkcji. Gdyby dostali pod dostatkiem węgla i środków ochrony roślin po przystępnych cenach, i godziwą cenę za warzywa, to by nie pędzili kwiatów.

— To dlaczego zdzierają skórę z ludzi na rynku, np. ceną pomidorów.

— Jakie koszty produkcji, taka cena. Ale czy to nasza wina? Ja w skupie dostaję 50 zł, a robotnikowi sprzedaje się w państwowym sklepie po 100 zł za kilogram. Cenę skupu się obniża bo jak jest w lipcu wysyp, to z Bułgarii sprowadza się dodatkowe pomidory. A ogrodnika często odsyła się z punktu skupu do domu. Napracuje się człowiek, a nieraz gorzej jest traktowany niż facet spod kiosku z piwem, bo tego to jeszcze wesprą paczką z darów zagranicznych.

— Czyja to wina? Rządu?

— Biurokratów na niższych szczeblach! Same kontrole im się marzą! Jak się w szklarni uda i wywiążę się w Spółdzielni Ogrodniczej — podatek wyrównawczy. Jak się nie uda — kara.

— Czyli wszystko zależy od zasad kontraktacji?

— Jasne! Muszą być równe prawa. Jak GS czy Spółdzielnia Ogrodnicza nie wywiąże się z obowiązku, niech płacą chłopu za poniesione straty. Miałem termin na dostawę rzodkiewki. Wysyp nastąpił wcześniej, więc zawiozłem do spółdzielni 1000 pęczków. Nie przyjęli. Straciłem kupę czasu, żeby sprzedać na rynku, a potem musiałem kupić rzodkiewkę u sąsiada, żeby się wywiązać w spółdzielni.

Wojtek mówi, że nie wszystkie jego dzieci chodzą do szkoły, ale jak pójdą, to nie będą miały wakacji. A z tymi szkołami na wsi, to jest tak, że np. zlikwidowano podstawówkę pośrodku wsi Wardzyn i założono rolniczą. I teraz dzieci od zerówki do czwartej klasy jeżdżą do Pałczewa, a starsze wozi się do Łodzi. Wojtek ma następców, więc nie odda gospodarki państwu za rentę. Emerytury chłopom potrzebne, ale czy koniecznie obowiązkowo? Bo jak jemu roczna składka emerytalna wyjdzie na 30 tys. zł, to mógłby te pieniądze odkładać przez 31 lat do emerytury, co z procentami dałoby półtora miliona. Mógłby żyć do końca dni swoich z procentów...

Pracuje na okrągło, w nocy się nie śpi, bo trzeba palić w szklarniach. I co się ma z tego życia. W zeszłym roku po raz pierwszy zobaczył morze, ale z konieczności. Dziecko miało chore gardło, więc trzeba je było z matką zawieźć, żeby się jodu nałykało. A Sylwester nie w „Maximie", lecz w remizie strażackiej lub na prywatce. Ale gdy przyjedzie ktoś z miasta i zobaczy auto, ciągnik, wnętrze domu na wysoki połysk, a jak jeszcze trafi na świniobicie i świeżą kaszankę lub na kupca, który płaci grubszą forsę za pomidory, to mówi, że tu żyć, nie umierać.

— Jeden krewny posmakował tego dobrego — wspomina Hanka. — Zaczął przekopywać szklarnię, w środku było 50 st. C. Po dwóch godzinach przyszedł blady, wycieńczony, zlany potem, z pęcherzami na dłoniach. Potem jeszcze trochę pokopał i poprosił o pastylki na serce. Mówię, że u nas pracuje się od 6 do 9 wieczorem, gdy jest chłodniej. Zrezygnował...

Wojtek w tym miejscu wyraża myśl, która chyba ma znaczenie głębsze, ogólnopolskie znaczenie. Jest antagonizm między miastem i wsią, jest kryzys, są kłopoty z żywnością i organizacją obozów i kolonii. Niech więc młodzież z miasta, od piętnastu lat wzwyż, przyjeżdża na wieś. U chłopa złapie świeżego powietrza, naje się, zarobi, popracuje i pozna, co to smak chleba.

Wojciech Buczek mówi o dobrym i złym, często narzeka. Czemu więc nie rzuci tego w cholerę?

— Taki wżarty w tę ziemię, że nie popuści — odpowiada żona. — Chłop jest przywiązany do ziemi, a góral szczególnie. Twardy i pazerny, nieustępliwy...

A Wojtek:

— Gdy patrzę na organizację pracy w państwowych gospodarstwach ogrodniczych, to mi się chce płakać. W ludziach zakorzeniła się obojętność. Nie moje, państwowe, więc co mi tam. A przecież, to nasze, polskie, nie? Chłop na swoim myśli inaczej. Jak władza mu sprzyja, jeśli stwarza odpowiednie warunki, to chłop obrobi każdy skrawek ziemi, wykaże społeczną postawę. Nasza wieś i władza gminna są chyba najlepszym przykładem. Spytajcie sekretarza partii, Marchewkę, czy on coś ma przeciwko ogrodnikom z Gadki Nowej.

Można by stwierdzić banalnie, że takich ludzi, jak Buczek i jego sąsiedzi, jest wielu, i że tacy właśnie najbardziej potrzebni są w tych trudnych czasach. Ograniczmy się jednak skromnie do cichej nadziei, że ten reportaż pozwoli inaczej spojrzeć na rolników i ogrodników, zwanych często pogardliwie badylarzami.

Pierwsze dni wolności

JERZY WILMAŃSKI

Minęły zaledwie dwa dni od wyzwolenia Łodzi, kiedy na murach domów ukazał się pierwszy legalny druk w języku polskim. Druk miał tytuł „Obwieszczenie" i głosił: „Tymczasowy Rząd Rzeczypospolitej Polskiej mianował swoje przedstawicielstwo na tereny nowo wyzwolone. Z ramienia tego przedstawicielstwa przybyłem do m. Łodzi w dniu dzisiejszym i obejmuję urzędowanie jako Pełnomocnik Rządowy na miasto Łódź i tereny podmiejskie. Lokal pełnomocnika Rządu mieści się w gmachu Województwa przy ul. Ogrodowej." Podpisano: Ignacy Loga-Sowiński — pułkownik. I data: Łódź 21 stycznia 1945.

Następnego dnia Pełnomocnik Rządu powołał Tymczasowy Zarząd Miejski m. Łodzi, który natychmiast odbył swoje pierwsze posiedzenie. Zachował się protokół z tego zebrania. Po latach — w roku 1962 — dr Mieczysław Bandurka opublikował ów dokument w „Roczniku Łódzkim".

Oczywiście wszystko zaczynało się od organizacji wydziałów i szukania lokali. Ten problem zajmuje sporą część protokołu. Dla przykładu podajemy, że pierwszy Urząd Stanu Cywilnego mieścił się przy ul. Kościuszki 1, a jego kierownikiem był Paweł Tomczak. Kierownikiem Wydziału Zdrowia (Piotrkowska 113) został dr Leon Nitecki; Wydziałem Oświaty i Kultury (Piotrkowska 34 oraz Cegielniana 144) kierowali Jan Waltratus i Henryk Wysznacki. Jan Waltratus został też jednogłośnie wybrany przewodniczącym Tymczasowego Zarządu Miejskiego. Odnotujmy więc to nazwisko pierwszego po wojnie prezydenta Łodzi.

Życie zaczyna toczyć się normalnie. Dwa dni po pamiętnym pierwszym zebraniu Zarządu — 24 stycznia ukazuje się pierwszy numer gazety „Wolna Łódź". Czy zresztą gazety? Była to obustronnie zadrukowana komunikatami karta papieru w formacie dzisiejszego „Expressu", którą wydawali Henryk Rudnicki i Aleksander Litwin. Zresztą krótko, bo „Wolna Łódź" przestała się ukazywać już 31 stycznia.

Dzień wcześniej zjechał bowiem z Lublina do Łodzi wszechwładny mjr Jerzy Borejsza ze swoją Spółdzielnią Wydawniczą „Czytelnik" i gazetą „Rzeczpospolita". W połowie lutego powstaje Oddział Łódzki Związku Zawodowego Literatów Polskich z prezesem Zofią Nałkowską i wiceprezesem Janem Brzechwą. Pięć miesięcy później Oddział liczył już 45 członków, wśród których warto odnotować Mieczysława Jastruna, Adolfa Rudnickiego, Stanisława Piętaka, Artura Sandauera....

20 czerwca ukazuje się pierwszy numer „Głosu Robotniczego" pod redakcją Edwarda Uzdańskiego — a dziesięć dni później „Dziennik Łódzki" sygnowany podpisem „Redaguje Kolegium".

W lipcu 1945, w pierwszą rocznicę Manifestu PKWN miasto tętni już normalnym życiem. O godz. 16.30 w ogródku restauracji „Tivoli" odbywa się pierwszy po sześciu latach „Podwieczorek przy mikrofonie". Udział biorą Stefcia Górska, Janina Godlewska, Franciszka Leszczyńska, Andrzej Bogucki i Ludwik Sempoliński, Czesław Skonieczny i Zdzisław Suwalski. „Konsumpcja obowiązuje" — komunikuje „Dziennik".

Z rozbawieniem — może większym niż było to udziałem widzów „Podwieczorku" — czytamy felieton Ireny Szymańskiej: „Łódź należy do miast najlepiej zagospodarowanych w Polsce. Jest w niej najwięcej nie zniszczonych domów i świetnie prosperujących sklepów. Posiada ona również oczywiście lotnisko, z którego codziennie kilkudziesięciu pasażerów rozjeżdża się w różne strony. Pasażerowie ci powinni czekać na samoloty w poczekalni lotniskowej. I tu właśnie dochodzimy do sedna sprawy. Określenie „poczekalnia lotniskowa" brzmi imponująco. Jak się jednak rzecz przedstawia w rzeczywistości? Poczekalnia — to jedna maleńka budka, w której zmieścić się mogą najwyżej trzy osoby, reszta musi czekać w deszcz i niepogodę na otwartym polu".

No i było się o co chandryczyć? — możemy zapytać po prawie czterdziestu latach. Zlikwidowano w Łodzi lotnisko i po kłopocie.

Ubawiły mnie także niektóre „ogłoszenia drobne". Oto pan Opryński informuje, że sprzeda 2 wozy na gumach i konia. Informacja — drobiazg, ale adres! „Grabieniec, gm. Rąbień, tramwaj aleksandrowski — Kały". Jest to — drogi czytelniku — adres mojej dzielnicy, którą łodzianie znają jako Teofilów. Grabieniec jest dziś ulicą, przy której stoją 10-piętrowe „mrówkowce", a owe tajemnicze „Kały", gdzie jeszcze w latach pięćdziesiątych jeździło się na wagary — to dziś teren nowej „Gumówki" i ZTK „Teofilów"...

Drugie ogłoszenie — także wymowne: „Unieważniam zgubione zaświadczenie rejestracyjne na rower firmy „Brylant", nr 7074, nr ramy 277-851 na nazwisko Naparstek Beniek, Łódź, Piłsudskiego 58/27".

Nie ma dziś ulicy Piłsudskiego, w aktualnej książce telefonicznej nie znalazłem ani jednego Naparstka (o Beńku już nie wspomnę) — za to zatrzęsienie Nowickich... Dziś podobne ogłoszenia dotyczą Fiatów 126p, nr silnika... nr rejestracyjny... itd.

W rubryce „Co dzień fraszka" Wiesław L. Brudziński — nadworny fraszkopis „Dziennika" — publikuje utwór, także nasuwający skojarzenia z dniem dzisiejszym.

Na pyskacza

Zapytał ktoś pyskacza w toku z nim rozmowy
Jaki jest jego udział w dziele odbudowy
— Dziwi mnie wprost naiwność — rzekł — tego pytania
Przecież ja wciąż wygłaszam budujące zdania.

Felietonistą „Dziennika Łódzkiego" był natomiast Jerzy Wyszomirski, znakomity publicysta, słynny „Wysz" z wileńskiego „Słowa" z lat międzywojennych. W numerze poniedziałkowym z dnia 23 lipca 1945 roku jest jego felieton „Dwie szlachty". Myślę, że warto ten tekst przytoczyć w całości, przynajmniej z trzech powodów: po pierwsze — zupełnie się nie zestarzał, po drugie — daje świadectwo pisarskiego kunsztu; po trzecie wreszcie — w roku 1985 minie 30 rocznica śmierci tego pisarza, którego utwory rozrzucone po szpaltach gazet uległy całkowitemu zapomnieniu.

Wydobądźmy więc z antykwarycznej półki zapomniany felieton Jerzego Wyszomirskiego „Dwie szlachty". Rzecz o emocjach i rozumie. Wciąż aktualna.

„W piątek wieczorem byłem na przedstawieniu w „Robotniczym Domu Kultury" im. Ludwika Waryńskiego, przy ul. Przędzalnianej nr 68. Szedłem tam pod wrażeniem listu, jaki na godzinę przedtem otrzymałem od jednego z czytelników. List prawił mi na wstępie — muszę to wyznać, bo każdy z nas jest próżny — miłe dla mnie, jako autora w ogóle, komplementy, a potem ostro się przeciwstawił memu felietonikowi pt. „Muchy szlachcice". Korespondent mój pisał: „Felieton pański zakończony jest cytowanym rzekomo zdaniem mądrego robotnika, zawierającym treść b. obelżywą, i to niesmaocznie, nieestetycznie obelżywą pod adresem polskiej szlachty... Oświadczam, że zawsze byłem i jestem szczerym demokratą... Lecz idzie mi o to, że zakwalifikowanie tak w czambuł szlachty polskiej, jak to pan czyni w swoim felietonie, jest właściwie zdyskwalifikowaniem całej naszej historii przedrozbiorowej.. Nawet obecny ustrój Związku Radzieckiego, który powołał na gruzach dawnej Rosji właściwie zupełnie nowe państwo, nawiązał jednak zerwane, zdawałoby się bezpowrotnie nici z przeszłością i odrodził postaci Aleksandra Newskiego, Piotra Wielkiego, Kutuzowa. Więc zechce się pan nie dziwić, że powiedzenie „szlachta zawsze była zgnilizną" dotknęło mnie. I to nie jako tego, który się z niej wywodzi, lecz jako należącego do narodu, którego byt trwa tysiąc lat".

Długo i szeroko rozmyślałem nad tym listem i, gdybym chciał spisać wszystkie moje rozmyślania, ułożyłaby się z nich obszerna rozprawa. Na nią nie ma miejsca. Boże drogi! Pisząc felietonik o muchach, daleki byłem od „dyskwalifikowania naszej historii przedrozbiorowej" — tak samo na pewno daleki, jak Wojski, na którego się żartobliwie powołałem, Wojski polujący na muchy szlacheckie. Daleki byłem nie tylko jako przynależny do narodu, którego byt trwa tysiące lat, ale i jako szlachcic z pochodzenia, czego się przecież zaprzeć nie mogę. Źle widocznie ująłem mój temacik o muchach — myślałem — skoro spowodowało to aż tak „zasadnicze" nieporozumienie: nie dość przejrzyście go wystylizowałem, nieudolnie wyraziłem swoją myśl. Tak dumając wszedłem do „Robotniczego Domu Kultury". I proszę — jakie bywają „dziwne przypadki", jakby powiedział autor „Dni i nocy" — Konstanty Simonow, jakie spięcia nieoczekiwane: w tym robotniczym domu owionęła mię, rzec mogę, atmosfera szlachecka. Przede wszystkim — patronem jego jest Ludwik Waryński. Któż to był? Nieugięty bojownik socjalizmu, założyciel organizacji „Proletariat", w 33 roku życia zamęczony w twierdzy szlisselburskiej. No, i szlachcic polski. Nazwisko jego pociągnęło za sobą szereg skojarzeń. Jego współcześnik, zmarły niemal w tym samym roku (1888), co Waryński — autor bojowej pieśni proletariatu polskiego — „Czerwony Sztandar" — Bolesław Czerwiński (nomen omen) był również szlachcicem. Zaśpiewajcie sobie chórem, czytelnicy, tę elektryzującą pieśń: „Porządek stary już się wali, żywotem dla nas jego zgon; będziemy wspólnie pracowali i wspólnym będzie pracy plon!" A dalej: współcześnicy tych obydwóch, komunardzi paryscy — Jarosław Dąbrowski i Walery Wróblewski — również szlachta. Bolesław Limanowski także szlachcic. Wcześniejsi nieco od nich, poprzednicy ich, torownicy ścieżek „ludowładztwa" i socjalizmu polskiego — Szymon Konarski, Stanisław Worcell, Seweryn Goszczyński — wszystko to szlachta i nawet nie byle jaka, bo Worcell był hrabią podobnie jak Kropotkin księciem, a Bakunin — starym arystokratą. Niejedno jeszcze takie nazwisko ciśnie się pod pióro. A owi dwaj geniusze, których fragmenty dramatyczne pokazał nam zespół robotniczy na scenie — Słowacki i Wyspiański? A poeta w mundurze oficerskim — St. R. Dobrowolski, który poprzedził przedstawienie wrażliwym „Słowem o Kordianie i Nocy Listopadowej", acz syn robociarza z Powiśla warszawskiego, czyż nie ma w liczbie przodków swoich Jakuba Jasińskiego — szlachcica-patrioty? A ten świat, któryśmy ujrzeli na scenie, wywołany z przeszłości czujną grą robotników łódzkich, czyż nie był światem szlacheckim? Przez cały czas, zapatrzony w urzekające widowisko, gdzie się nie odczuwało maniery zawodowego aktora, lecz szczerość i prawdę miłośnika teatru, nie mogłem się opędzić tym myślom.

Bo jest szlachta i szlachta. Jest szlachta, którą nazwałem „zgnilizną", potępiona nieodwołalnie przez naszą historiografię, przez takich choćby jej przedstawicieli jak szlachcic Szujski czy Bobrzyński. I w sposób nieskończenie bardziej wyrazisty od nich przekreślona przez wielką poezję Słowackiego i Wyspiańskiego: to szlachta, której znakiem był „złoty pas" i „czerwony kontusz", co się stały niegdyś dla Polski „palącą koszulą Dejaniry" i „czerepem rubasznym", wiążącym w sobie „duszę anielską" naszej ojczyzny. I jest inna szlachta: Słowaccy, Wyspiańscy, Waryńscy i wszyscy z ich ducha, którzy za Słowackim pouczali nas: „Kto na ojca powie: raka — ten przeklęty. Więc się bój. Polski lud, to ojciec twój. Zeń, jak z ogniowego krzaka, gotów znowu Bóg wybuchnąć, z ognia mając twarz i lice, i na ciebie jak na świecę iść, i dalej pójść, i zdmuchnąć". Czerwiński musiał umieć na pamięć ten wiersz, gdy śpiewał o „gniewie ludu". I robotnicy łódzcy wiedzą też doskonale, co znaczy „gniew ludu" i przeciw komu się on zwraca. Ale wiedzą również, czym jest miłość ojczyzny, i dlatego wystawili „Kordiana" i „Noc listopadową". I rozumieją wreszcie to, co powinniśmy już wszyscy zrozumieć, że ten drugi gatunek szlachty — szlachta Waryńskich — to, prawdę mówiąc, nie szlachta w znaczeniu historycznym, lecz po prostu ludzie — normalni, nowocześni, postępowi ludzie. Ludzie szlachetni".

I tak kończy się nasza podróż po zakurzonych regałach antykwariatu przy Piotrkowskiej. Dalej — to już tylko współczesność, której ślady tropimy codziennie w książkach, gazetach i w powszednim życiu. Ale nie martwcie się — one też kiedyś trafią do antykwariatu.

■

Fragment książki pt. „Antykwariat przy Piotrkowskiej, która ukaże się w roku 1983 nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej — Oddział w Łodzi.

MIECZYSŁAW KOZAK

Harcerska wiosna 1945

Zapadał wczesny zimowy wieczór. Ostatni dzień 1944 roku. Sylwester nie był już obchodzony przez Niemców tak uroczyście i hucznie jak w ubiegłym roku, kiedy to jeszcze armie hitlerowskie sięgały swoją potęgą w głąb państwa radzieckiego. Teraz od kilku miesięcy front zastygł nad Wisłą, Narwią i Sanem. Wyczerpane walką wojska radzieckie nabierały sił do dalszych uderzeń, odpierając kontrataki faszystów na przyczółkach pod Sandomierzem, Baranowem, Dęblinem, Warką i Puławami. Łódź nazwana obcobrzmiącym określeniem Litzmannstadt znalazła się w bliskości drzemiącego, lecz zawsze groźnego frontu.

Druh **ZYGMUNT GRZELAK**, drużynowy 20 ŁDH im. Zawiszy Czarnego, po raz nie wiadomo który obracał w ręku niebieskie koperty z hitlerowską „gapą" — stemplem pocztowym ze swastyką na znaczku z wizerunkiem Hitlera. Napis na znaczku brzmiał dumnie — Grossdeutschland — Wielkie Niemcy. Wprawdzie w ciągu ostatnich miesięcy napis ten stracił na swojej aktualności, ale w Łodzi jeszcze obowiązywał. Te niebieskie koperty zawierały listy od członków 20 ŁDH wywiezionych w ubiegłych latach na przymusowe roboty do Niemiec. Pisali oni często do swojego drużynowego opisując oględnie — na tyle, ile pozwalała cenzura — dolę ludzi niewolników w niemieckich fabrykach i gospodarstwach rolnych. Do wiadomości druha Grzelaka dochodziły jeszcze inne listy, listy od więzionych w niemieckich obozach koncentracyjnych, nielicznych aresztowanych, którzy unikneli masowych egzekucji, lecz skazani byli na długoletni pobyt za drutami. O tych wszystkich chłopcach myśleli łódzcy harcerze w ciemny wieczór sylwestrowy. Każdy niemal zastęp „Szarych Szeregów" opłakiwał straty we własnym gronie, czekając na zmianę sytuacji, niemal jak na cud.

Ale burza zaczęła się niespełna dwa tygodnie później. Rankiem w piątek 12 stycznia 1945 r. zagrało tysiące radzieckich dział pod Sandomierzem, Baranowem i Szydłowem. W dwa dni później ruszył front radziecki pod Dęblinem i Puławami. Wchodząca w jego skład 69 ogólnowojskowa armia pod dowództwem gen. Kołpakczi opanowała w poniedziałek 15 stycznia Radom zbliżając się szybko do Brzezin. Przerażeni postępem wojsk radzieckich hitlerowcy rozpoczęli natychmiastową chaotyczną ewakuację Łodzi.

PIERWSZE GODZINY

Rankiem 19 stycznia dwaj harcerze z widzewskiego zastępu „Szarych Szeregów" — „Turów" — **JÓZEK KROWIRANDA** i **JUREK SKOWRONEK** wybiegając na zaśnieżone pola, z których rozciągał się widok na tomaszowską szosę, zauważyli sunące nią pierwsze radzieckie czołgi.

Jeszcze zanim zamilkły strzały na ulicach wyzwolonego miasta phm. Zygmunt Grzelak skrzyknął swoją drużynę — 20 ŁDH im. Zawiszy Czarnego. W czasie okupacji drużyna ta miała swoich członków w wielu dzielnicach miasta — na Kozinach, Dołach, w rejonie ulicy Targowej, gdzie działano jeszcze przed wojną, przy Wodnym Rynku itp. Postanowiono opanować gmach niemieckiego urzędu rolnego. Znalazłszy kilka sztuk porzuconej niemieckiej broni wdarli się do budynku tego urzędu przy ul. Narutowicza 59. Zastali w nim sprzęt biurowy, maszyny do pisania i liczenia, papiery uwypuklające obraz gospodarki rolnej w powiecie łódzkim. Kilkakrotnie odpierano grupy rabusiów, którzy korzystając z braku silnej władzy w tych pierwszych dniach wolności próbowali szukać na terenie budynku przedmiotów stanowiących jakąkolwiek wartość.

OD „FABRYCZNEGO" DO „NICIARNIANEJ"

19 stycznia do **WALDEMARA DOŃCA** drużynowego drużyny im. gen. Władysława Sikorskiego przybył pan Nowak, kolejarz, ojciec jednego z członków tej drużyny — Leszka Nowaka.

— Chciałem Was druhu poprosić, abyście nam pomogli — powiedział. — **Moi koledzy, kolejarze obsadzili dworzec kolejowy Łódź-Fabryczna. Staramy się zabezpieczyć pozostawiony przez Niemców sprzęt i uruchomić węzeł. Mamy jednak zbyt mało ludzi do jego ochrony. Organizująca się Straż Ochrony Kolei (SOK) potrzebuje ludzi pewnych i uczciwych. Pomyślałem o waszej drużynie. Co wy na to?**

Waldemar Doniec nie namyślał się długo. Wyznaczył dwa najstarsze zastępy. Jednym z nich był legendarny zastęp „Turów" założony w roku 1941 przez zamordowanego później w hitlerowskiej kaźni podharcmistrza **JANUSZA WŁODARSKIEGO**. Tych szesnastu chłopców rozpoczęło codzienną twardą służbę w ochronie mienia kolejowego. Terenem ich działania były warsztaty i wagony kolejowe, magazyny i inne obiekty rozrzucone od dworca kolejowego Łódź-Fabryczna, aż do przejazdu kolejowego przy ul. Niciarnianej, gdzie obecnie znajduje się przystanek kolejowy Łódź-Niciarniana. Działalność harcerzy w tej służbie obfitowała w różnego rodzaju przygody dające niekiedy posmak zgrozy, zaś innym razem komicznej farsy. Mimo to trzytygodniowi harcerscy strażnicy SOK wspominają tę działalność do dzisiaj z łezką wzruszenia.

W tym samym czasie inne drużyny harcerskie aktywnie współdziałały w organizacji komisariatów i posterunków Milicji Obywatelskiej. Harcerze z 12 ŁDH byli współorganizatorami komisariatów MO przy ul. Abramowskiego (róg ul. Sienkiewicza) i ul. Szpitalnej. Wspólnie z chłopcami z 12 ŁDH zorganizowano posterunek milicji na szosie rokicińskiej w pobliżu stacji kolejowej Widzew. Pojedyncze osoby zostały zaangażowane przy organizacji innych komisariatów np. przy ul. 11 Listopada 111 (obecnie ul. Obrońców Stalingradu). Cały szereg drużyn m. in. 14 ŁDH zaangażowanych było do pomocy MO w różnych pracach np. zbieraniu porzuconej broni i zabezpieczaniu jej tak, aby nie dostała się ona w niepowołane ręce.

Służba harcerska w jednostkach SOK i MO trwała przez kilka tygodni, tj. do czasu kiedy stały się one zawodowymi. Miejsca harcerzy zajęli wówczas ludzie dorośli, zaś chłopcy powrócili do organizujących się szkół, aby kontynuować przerwaną wojną naukę.

HARCERSKA SŁUŻBA

Wojna trwała nadal. Jej oddalające się odgłosy docierały do Łodzi poprzez gazety i wieści z frontu. Ale życie w mieście toczyło się coraz bardziej pokojowo. W marcu zorganizowano w Łodzi chorągiew harcerzy. Początkowo w dość krótkim okresie czasu przewodzili jej **JAN MALISZEWSKI** i **KAZIMIERZ FRANKIEWICZ**. Dopiero 22 czerwca 1945 r. komendantem chorągwi harcerzy został hm. **MIECZYSŁAW ŁĘTOWSKI**, członek kierownictwa „Szarych Szeregów" w czasie okupacji, przedwojenny działacz PPS i „Czerwonego Harcerstwa".

W maju 1945 roku rozpoczęła działalność chorągiew harcerek. Przewodziły jej **GENOWEFA STOBIECKA**, a potem **WALKOWSKA**.

Niczym grzyby po deszczu powstawały nowe drużyny harcerek i harcerzy. Do lipca 1945 r. zorganizowano 20 hufców harcerek, w tym jeden środowiskowy w Mariówce Opoczyńskiej oraz 19 hufców harcerzy, z których dwa w Karsznicach i Koluszkach były środowiskowymi.

Do chwili zakończenia działań wojennych podstawowymi zadaniami służby harcerskiej było udzielanie pomocy wojsku pod rozmaitymi postaciami. Z końcem stycznia 1945 roku przeniosła się na teren Łodzi 4 Dywizja Artylerii Przeciwlotniczej Wojska Polskiego. Zadaniem jej była ochrona łódzkiego nieba przed ewentualną „wizytą" samolotów niemieckich. Jedna z baterii 81 pułku artylerii przeciwlotniczej małokalibrowej, wchodzącego w skład tej dywizji zajęła swoją pozycję bojową na pl. Dąbrowskiego, w miejscu gdzie obecnie znajduje się budynek Teatru Wielkiego. Jej zadaniem była czynna obrona przeciwlotnicza dworca kolejowego Łódź-Fabryczna, elektrowni i gazowni. Żołnierze z tej baterii otoczeni zostali szczególną opieką harcerek i uczennic XII Gimnazjum i Liceum (dawniej Czapczyńskiej). Nawiązano bliższe, żywe kontakty z innymi jednostkami Wojska Polskiego, a w szczególności z 12 Dywizją Piechoty czasowo stacjonującą w Łodzi.

Opierając się na doświadczeniach z prac Wojennego Pogotowia Harcerek i Harcerzy w wojnie obronnej 1939 roku zainicjowano zbiórkę leków i środków opatrunkowych dla szpitali, w których przebywali ranni na froncie żołnierze polscy i radzieccy. Pierwszy rzut tej zbiórki dał 45 kg ligniny 4 kg waty opatrunkowej, 178 bandaży, 65 paczek gazy sterylizowanej i wiele innych medykamentów. Hufiec w Rudzie Pabianickiej, która w tym czasie stanowiła odrębne miasto wydzielone, zorganizował zbiórkę książek dla rannych i chorych żołnierzy polskich. Wynik tej zbiórki wynosił ogółem 291 tomów, z których najwięcej bo aż 137 szt. dostarczyła 6 Rudzka Drużyna Harcerzy im. Jana Sobieskiego.

Działalność harcerska, mimo ówczesnego ubóstwa drużyn i hufców nie opierała się jedynie na współpracy i pomocy dla wojska. Działalność tę widać było we wszystkich dziedzinach odradzającego się życia. Po ponad pięciu latach okupacji bardzo poważnym problemem stał się nawrót analfabetyzmu. Jak oblicza ówczesna statystyka na terenie Łodzi ponad 1220 osób z roczników 1926—1929 nie umiało czytać i pisać. Władza ludowa otworzyła dla nich 44 punkty podstawowego nauczania wieczorowego i trzy szkoły zawodowe. Wśród nauczycieli pracujących na tym odcinku znaleźli się także i instruktorzy harcerscy.

OD PODSTAW

Odrodzony w styczniu 1945 roku Związek Harcerstwa Polskiego w Łodzi nie posiadał prawie nic ze swojego przedwojennego majątku. Wprawdzie niektóre drużyny jak np. 6 ŁDH im. płka Jana Kilińskiego, czy 20 ŁDH im. Zawiszy Czarnego odnalazły część schowanego w roku 1939 sprzętu, lecz było to kroplą wody w morzu potrzeb. Zresztą nie zawsze sprzęt taki mógł nadawać się do dalszego użytku. Przechowywany na strychach domów lub w piwnicach niejednokrotnie nasiąkł wilgocią i zbutwiał. Jedyną prawdziwą oznaką radości i zadowolenia harcerzy w tych dniach była wiadomość, że wszystkie poukrywane w roku 1939 sztandary drużyn harcerskich ocalały, choć stan ich także przedstawiał wiele do życzenia. Najważniejszym było jednak to, że żaden z nich nie dostał się w ręce Niemców.

W pierwszych dniach po wyzwoleniu decyzją Pełnomocnika Tymczasowego Rządu zostały przekazane harcerzom trzy budynki.. dawny pałacyk Biedermana przy ul. Skorupki 10/12, pałacyk Schweikerta przy ul. Wólczańskiej 211/213 i pałacyk Herbsta przy ul. Przędzalnianej 72. W pałacyku przy ul. Wólczańskiej 211/213 znalazła pomieszczenie Komenda Chorągwi, zaś przy ul. Skorupki 10/12 szkoła instruktorska z internatem obliczona na 150 miejsc. Poza tym przekazano harcerzom pomieszczenia po Hitlerjugend przy ul. 11 Listopada 41 (obecnie ul. Obrońców Stalingradu). W pomieszczeniach tych ulokował się hufiec harcerzy Łódź-Północ. Notowane też są inne formy pomocy.

Reaktywowano harcerską spółdzielnię „Czuj-Czyn" przekazując jej pomieszczenia i mienie firm niemieckich Auer i Sporthaus Arno przy ul. Piotrkowskiej 146 i 148.

Wiosną 1945 roku zaczęto już myśleć o organizowaniu harcerskich drużyn specjalistycznych. W sprawie uruchomienia harcerskiej szkoły szybowcowej przeprowadzono rozmowy konferencyjne w Porcie Lotniczym, w których uczestniczył ówczesny prezydent miasta Minor. Zwrócono się do władz miasta o przekaznie harcerzom 2 wiosłowców, 1 żaglówki P7 i 10 kajaków celem uruchomienia przy stawie Stefańskiego w Rudzie Pabianickiej Harcerskiego Ośrodka Wodnego. W budowie tego ośrodka pomogła miejscowa jednostka wojskowa, harcerze-wodniacy otrzymali także 200 kompletów marynarskich (granatowe bluzy i spodnie oraz białe czapki) z fabryki Rosenblatta przy ul. Karola.

Tymczasem do Komendy Chorągwi napływały informacje o poważnym wzroście harcerstwa w mieście i na Ziemi Łódzkiej. W dwa miesiące po odrodzeniu się harcerstwa w Łodzi chorągiew liczyła już 13.800 harcerzy. Ich liczebność stale wzrastała.

Miesiące lipiec i sierpień 1945 r. wykorzystali harcerze na organizowanie pierwszych powojennych obozów. Miały one cel szkoleniowo-wypoczynkowy i wykorzystane zostały na szkolenie kadry zastępowych i drużynowych. Hufiec Łódź-Śródmieście zorganizował 77-osobowy obóz w Kamionaczu pow. Sieradz. Harcerze z Opoczna obozowali w okolicy Drzewicy, z Wielunia w Przywozie, zaś 48 harcerzy z 20 ŁDH zorganizowało samodzielny obóz w Chrząstowej, gmina Szczerców. W Grotnikach prowadzono obóz szkoleniowy dla kandydatów na drużynowych. Sprzęt obozowy otrzymano częściowo od wojska.

Latem 1945 r. czterdziestu łódzkich harcerzy uczestniczyło w spływie kajakowym z Warszawy do Gdańska, zaś 100 harcerek i harcerzy reprezentowało Łódź na wielkim zlocie zorganizowanym pod Grunwaldem w 535 rocznicę historycznego zwycięstwa nad Krzyżakami.

Pracowity rok harcerski 1945 zakończyło zorganizowanie wspólnie z Towarzystwem Przyjaciół Żołnierza gwiazdki w jednostkach wojskowych i dla tych rodzin, których członkowie odbywali tę służbę. Przekazywano żołnierzom paczki z drobnymi upominkami, papierosami i słodyczami.

■

Pomoc doraźna pracowała jak zwykle

EDWARD BRYL

Organizacja biozabiegu — giganta z udziałem Stanisława Nardellego nie była prosta. Z całej Polski napłynęło ponad pięćdziesiąt tysięcy zgłoszeń. Dla województwa łódzkiego, które posiada tylko 8 tysięcy łóżek szpitalnych przyjęcie w jednym dniu i w jednym tylko miejscu — Łódzkiej Hali Sportowej — zakwalifikowanych ostatecznie do spotkania prawie jedenastu tysięcy ciężko chorych ludzi, w tym inwalidów na wózkach, noszach, kalekich dzieci — wszystkich zresztą pod opieką własnych rodzin — było zadaniem nie lada.

Z wielu szpitali na dzień 17.12.82 r. wypisali się pacjenci, nierzadko po zawale, w trakcie leczenia. Można się było spodziewać wszystkiego, nawet zgonów...

Obsługą medyczną zajęła się Wojewódzka Stacja Pogotowia Ratunkowego. Do współpracy włączono szpitale Jonschera, Pasteura, Pirogowa, które czekały na ewentualne przyjęcia, do dyspozycji była też cała specjalistyka w „Koperniku".

Na miejscu działało jedenaście punktów lekarsko-pielęgniarskich doskonale obsadzonych, w każdym dwóch lekarzy, trzy, cztery pielęgniarki dyplomowane, paru sanitariuszy, plus dziesięć do piętnastu uczennic z czwartych i piątych klas Liceum Pielęgniarskiego Nr 1 i 2. Dziewczęta dwoiły się, troiły, grzeczne, uczynne, bardzo zaangażowane, przeżywały też mocno, a było co przeżywać.

Doktor Krzysztof Wagner odpowiedzialny za pracę 6 punktów medycznych powiedział później. — Oglądanie naraz tak ogromnego skupiska chorych, głęboko nieszczęśliwych, przepełnionych nadzieją wyzdrowienia, było dla nas lekarzy dużym szokiem, a przecież my, pogotowiarze, jesteśmy przyzwyczajeni do najbardziej wstrząsających widoków...

W trzech seansach uczestniczyło około dziesięciu tysięcy pięciuset ludzi, w pierwszym — osoby dorosłe z różnymi schorzeniami — 7 tysięcy, w następnym — inwalidzi na wózkach, noszach — 500 chorych. Seans ostatni o 17 był chyba najbardziej wstrząsający. zgromadzono na nim 3 tysiące dzieci.

Wokół hali rozstawiono gotowe do usług karetki z pełną obsadą: dwie reanimacyjne „R", dwie ogólnochorobowe, jeden zespół pediatryczny i cztery przewozówki z sanitariuszami i kierowcami, łącznie dziewięć zespołów wyjazdowych.

Tutaj, jak również w punktach konsultowano dodatkowe wątpliwości, np. czy chory może wziąć udział w zabiegu, jeśli przebył zawał trzy, cztery miesiące temu.. Nawału jednak nie było. Średnio każdy punkt udzielał kilkanaście pomocy. Najczęściej występowały zaburzenia natury emocjonalnej, kilka przypadków zasłabnięcia, epilepsji... Jedna kobieta dostała ciężkiego ataku nerwicy reaktywnej, inna pacjentka aż z Hajnówki, która przyjechała z niewydolnością krążenia poczuła się źle. Ku zaskoczeniu obsługi medycznej nie wydarzył się ani jeden przypadek wymagający intensywnej pomocy. Nikogo nie odwieziono do szpitala. Złożyło się na to wiele, a przede wszystkim idealny porządek ład organizacyjny, dopracowanie najmniejszych szczegółów, które wykluczyło wszelkie zakłócenia.

Nie obyło się wszakże bez drobnych incydentów. Przyszło sporo ludzi, którzy starali się wejść do wewnątrz okazjonalnie. Markowano zasłabnięcia, były też próby szantażu — jeśli nie wejdę, to umrę na pewno, będzie mnie pan miał na sumieniu!

Po drugim seansie zgłosiła się do lekarza zrozpaczona rodzina.

— Ukradli naszego chorego!

— Spokojnie, spokojnie, znajdzie się — tłumaczył cierpliwie — u nas jeszcze chorych nie kradną.

Rzeczywiście znalazł się, tylko zamiast prywatnym samochodem pojechał do domu przewozówką. Zaginięcia dzieci, żon, mężów ogłaszano przez megafon. Zbytniego zamieszania jednak nie było. I w końcu każdy trafił do swoich. A zawieruszyć się w tym mrowiu miał prawo, przeważnie każdy chory przybył z rodziną, która w większości przecież pozostawała na zewnątrz.

Człowiek znający dobrze łódzkie pogotowie, jeżeli przyjrzałby się uważniej obsłudze spotkania, pomyślałby, że tego dnia przeniosła się do Hali Sportowej cała Wojewódzka Stacja — jej dyrektor, Jerzy Okińczyc, z nieodłączną w tym momencie krótkofalówką, dyrygował jednocześnie wszystkimi punktami, zespołami.

Dr Jan Soroko, z-ca dyr. pogotowia: — Pomoc doraźna pracowała jak zwykle. Wojewódzka Kolumna Transportu Sanitarnego dała dodatkowe wozy. W czasie doby 17—18.12. 82 r. pogotowie załatwiło ogólnie 705 przypadków. Życie ogromnego miasta toczyło się jak co dzień. Karetki wyjeżdżały do dwudziestu wypadków, obsłużono 259 zachorowań ogólnych itd. Liczba przewozów kształtowała się podobnie jak każego dnia — 122, zmniejszono tylko przewozy zamiejscowe, było ich trzy, oczywiście przesunięto na inne terminy wyłącznie te, które można było przesunąć.

Inicjowała spotkanie—zabieg redakcja „Expressu Ilustrowanego", tu przychodziły listy z całej Polski. Redaktor Waldemar Uchman całymi workami woził je do hali, gdzie komisja lekarska przekonsultowała każde z pięćdziesięciu tysięcy zgłoszeń. Dr Krystyna Koper-Winkiel z ZOZ Łódź — Górna poświęciła temu wiele wieczorów.

Około tysiąca ludzi poderwało się spontanicznie, włączyło do ciężkiej pracy. W ciągu trzech tygodni od momentu ustalenia terminu sprawy organizacyjne „dopięto na ostatni guzik".

Przewodniczącym Społecznego Komitetu Organizacyjnego Biozabiegu S. Nardellego był Henryk Grenda, dyr. Wydziału Kultury Fizycznej Urzędu m. Łodzi, jego z-cami byli: dyr. Hali Sportowej — Roman Balcerzak, wicedyrektor Wydziału Kultury Fizycznej — Józef Mikołajczyk, oraz dyr. Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego — Jerzy Okińczyc.

Współpracowało aż dwadzieścia różnego rodzaju instytucji: Wojewódzka Komenda MO, Straż Pożarna, Polskie Towarzystwo Pielęgniarskie, Koło Medycyny Niekonwencjonalnej przy AM w Łodzi i wiele innych. Sprawa była niebagatelna. Na spotkanie czekali ludzie ciężko chorzy, upośledzeni przez los, dzieci kalekie, ich matki i rodziny. Nacisk na zorganizowanie seansu był ogromny. Przychyliły się do sprawy także władze miasta, wspomniany już poprzednio Wydział Kultury Fizycznej, Zdrowia, Komunikacji. Ograniczono nawet działalność sąsiadującego z halą Urzędu Stanu Cywilnego, zmieniono także ruch kołowy tego dnia w promieniu kilkuset metrów.

Na ten dzień hala zawiesiła zwykłą działalność, udostępniana zazwyczaj na różne spotkania, imprezy za dość wysoką cenę — 250 tysięcy złotych, tym razem pracowała społecznie.

Przykro pisać, ale trzeba powiedzieć, że owe skupisko ludzi, tak bardzo nieszczęśliwych, dla których z takim poświęceniem pracowały setki innych, stało się okazją do grasowania wszelkiego typu złodziei. Było sporo kradzieży szczególnie na ostatnim seansie, dla dzieci!

Trzeba być osobnikiem wyzutym ze wszystkich uczuć, aby zabrać matce torebkę, wyciągnąć portmonetkę akurat wtedy, gdy trzyma za rękę swoje chore dziecko, drugą podaje innemu człowiekowi, tak jak ona potrzebującemu otuchy, nadziei. Trudno mi w tym momencie uwierzyć w słowa Stanisława Nardellego, który powiedział po spotkaniu: — Ludzie z natury są dobrzy, trzeba im o tym tylko od czasu do czasu przypominać.

On sam, człowiek zwyczajny, mieszka w Tychach, w skromnym M-4, ma dwoje dzieci, małego fiata wygranego przed laty na książeczkę, już w nim pełno dziur, a właściciel pokaźnej postury ledwo się w nim mieści. „Trzeba mnie upychać kolanem" — mówi żartobliwie.

Spotkania z nim mają charakter czysto społeczny, dochód zawsze przeznacza na cele charytatywne. W Łodzi, te pół miliona zebrane za bilety wstępu — każdy kosztował 100 złotych — przeznaczono dla dzieci kalekich — „Sprawia mi satysfakcję, że mogę ludziom pomóc. Każdy bez wyjątku jest mi bliski, dlatego służę wszystkim. Rozumiem cierpienie, strach...".

Foto: M. Zajdler

Co znajduje się po drugiej stronie czarnych dziur?

Kiedy łyżeczka materii waży setki miliardów ton, owe ogromne skupienie pochłania wszystko, nawet światło: to „czarna dziura". Nikt takich dziur nie widział, ale według teorii powinny być niewidzialne. Więc istnieją. Musi nam wystarczyć ten sylogizm, aby uwierzyć w to istnienie, które wielcy matematyki einsteinowskiej wyciągnęli, jak królika z kapelusza. Ich rozumowanie jest ściśle. Jeżeli rzucam kamyczkiem w kierunku nieba, spada: nie jestem w stanie nadać mu wystarczającej prędkości, by go wyrwać z obszaru przyciągania ziemskiego. Gdy natomiast wezmę latarkę, by wysłać w kosmos porcję superlekkich i superszybkich cząsteczek, fotonów — wtedy wygrywam: nie spadną na ziemię. Prostolinijny strumień zagubi się w gwiezdnych przestworzach. Gdyby jednak siła ciężkości była ogromna? Gdybym znalazł się na gwieździe o ciężkości nieskończonej? W tym przypadku fotony, mimo swej lekkości i prędkości, nie byłyby w stanie wyrwać się. Spadłyby z powrotem — jak kamyczki. Strumień światła z latarki oświetliłby zaledwie moją twarz. Nikt z zewnątrz nie byłby w stanie go dostrzec. Ciało niebieskie, które uniemożliwiałoby ucieczkę czegokolwiek, byłoby niewidzialne.

Wyliczenie to ma już dwa stulecia: od roku 1783 istnienie „czarnych dziur" podejrzewał astronom angielski, John Mitchell, a w roku 1793 Francuz Pierre Simon, markiz de Laplace, obliczył precyzyjnie próg skupienia i gęstości, po którego przekroczeniu supermasywna gwiazda, wymagająca dla jej opuszczenia szybkości większej od prędkości światła, musiałaby nieuchronnie zniknąć w ciemnościach.

— Krótko mówiąc — stwierdził profesor londyńskiego King's College, astrofizyk John Taylor — już od dawna słuszność teorii o istnieniu „czarnych dziur" jest nie do udowodnienia.

Einstein i jego uczniowie, wprawdzie krętymi drogami, ale nasycili argumentację na rzecz istnienia wspomnianych dziur. Według nich bowiem przestrzeń posiada czwarty wymiar: czas. Jest ona miękka i ulega deformacji pod wpływem materii, która się w niej znajduje. To taka napięta płachta uginająca się mniej lub bardziej pod ciężarem przedmiotów, które do niej trafiają. Nieskończona przestrzeń ugina się w sąsiedztwie mas. Zostało to zresztą udowodnione: masa Słońca załamuje mijające je blisko promienie świetlne. Wykazano również, że czas zwalnia pod wpływem prędkości: zabierając zegary atomowe na pokład samolotu naddźwiękowego stwierdzono, że miedzy startem i lądowaniem pilot zyskuje kilka miliardowych części sekundy w procesie swego starzenia się.

Powróćmy do naszej napiętej płachty usianej ołowianymi kulami, z których jedna, zbyt ciężka, sukno to przebiła. Potoczmy inną kulę tą płachtą. Jeśli jej prędkość będzie wystarczająca, pokona wklęsłości, obniżając się i wznosząc bez trudu, ale nie zdoła uniknąć wpadnięcia i zniknięcia w rozdarciu sukna: była to właśnie „czarna dziura". Owe studnie bez dna, niewidzialne pożeracze gwiazd, otchłanie nicości chwytają wszelką materię, która przechodzi przez ich strefę wpływów i zabierają definitywnie z widocznego wszechświata.

Co jednak znajduje się za ową płachtą, gdy przedostać się przez rozdarcie? Astronomowie myślą nad tym od dziesiątków lat i wszelkie hipotezy, zwłaszcza zwariowane, są dozwolone. Jedni opisują, wspierając się równaniami, istotne zniekształcenia w czasoprzestrzeni". W tych pułapkach grawitacyjnych wciągnięta materia poddana jest nieskończonemu ciśnieniu, bezlitosnemu przemieszczeniu. Unicestwiona, w stanie czystej energii, wraca do stadium pierwotnego. Prawa zwykłej fizyki przestają znajdować zastosowanie, czas ulega odwróceniu względem przestrzeni.

A z drugiej strony dziury? Fontanny energii skierowanej ponownie do nowych wszechświatów. Tunele wpadające do wszechświatów równoległych. Skróty umożliwiające skondensowanej energii błyskawiczny powrót do naszego, własnego wszechświata, ale w jakimś wielce odległym, miejscu, albo i innej epoce. Wszystko to, udowodnione czarno na białym, zostało poparte przez najbardziej zrównoważonych w sądach naukowców. Niektórzy w „czarnych dziurach" widzą rodzaj kolei międzygwiezdnej pozwalającej odbywać podróże w przestrzeni. Inni — albo i ci sami — zapewniają, że jutro zdoła się zabrać „czarnym dziurom" bajeczne ilości energii bawiąc się równaniami Einsteina. Inni jeszcze wyobrażają sobie kuracje młodzieńcze dzięki zmyślnym trajektoriom lotu zamieszkanych i mknących niemal z prędkością światła pojazdów kosmicznych.

Ale wszyscy nas ostrzegają: „czarna dziura" zdolna do pochłonięcia nas w jedną chwilę, dla której zaledwie kąskiem byłaby Ziemia, Słońce i cała reszta, może zjawić się w dowolnym momencie, w dowolnym miejscu w przestrzeni, a nikt jej nie dojrzy. Niewidzialne „czarne dziury" nie są nawet czarne: nie można dostrzec ich sylwetki na przykład po oświetleniu ich od tyłu. Są to po prostu punktowe koncentraty, które skupiają niesłychane ilości strawionej materii. Według obliczeń potwierdzanych przez autorytety fizyki, łyżeczka „czarnej dziury" waży, jak wspomnieliśmy, setki miliardów ton.

Z obliczeń przeprowadzonych w roku 1916 w Getyndze przez profesora Karla Schwartzschilda, wynika, że gdyby masę Ziemi skupić w kulistej objętości o promieniu zaledwie 18 milimetrów — powstałaby właśnie „czarna dziura". Nauka nie zna żadnej takiej siły, która mogłaby obecnie tak ścisnąć naszą planetę.

W przypadku gwiazd sprawa ma się nieco inaczej. Wszystkie pewnego dnia staną się „czarnymi dziurami", włącznie z naszym Słońcem. Weźmy dla przykładu gwiazdę o masie półtora raza większej od Słońca. (To ostatnie jest jeszcze do podobnych „operacji" za małe). Teoretycznie taka gwiazda powinna „zawalić się" pod własnym ciężarem. Tak się jednak jeszcze nie dzieje, gdyż fantastyczne ciśnienie wewnętrzne wyzwala reakcje termojądrowe, a powstająca energia przez miliardy lat promieniuje odśrodkowo. Obie wspomniane siły niwelują się nawzajem i gwiazda istnieje. Jednak pewnego dnia paliwo w znacznym stopniu wyczerpie się, siła odśrodkowa zaniknie i wówczas zacznie się etapowe „samozawalanie". Etapowe, bo nowe ciśnienie wewnętrzne wywoła nowe reakcje termojądrowe. Wreszcie paliwa naprawdę zabraknie i wtedy nasza gwiazda będzie miała rozmiar — powiedzmy — Ziemi, ale też będzie od niej o wiele cięższa. Jej atomy znajdą się w ogromnym skupieniu: łyżeczka masy takiego ciała niebieskiego będzie ważyć kilka ton.

Słońce zatrzyma się na tym etapie. Opór atomów będzie wystarczający, by powstrzymać napór masy. W przypadku gwiazdy większej od Słońca sprawy potoczą się dalej. Większa od „krytycznej" masa spowoduje, że atomy ulegną pod jej wpływem rozbiciu i wyzwolą się ich składniki: neutrony i protony. Gwiazda stanie się jednym, wielkim atomem o stłoczonych w nim neutronach i protonach. Średnica tej kuli nie będzie większa od średnicy Paryża. Łyżeczka tej masy będzie ważyć kilka milionów ton. Uczeni zaobserwowali już setki takich gwiazd neutronowych. Dokonali tego — co istotne — po o wiele wcześniejszym stwierdzeniu teoretycznym, że gwiazdy takie muszą istnieć. Prognoza naukowa sięga lat trzydziestych naszego stulecia, zaś pierwszego odkrycia dokonano w roku 1969.

Załóżmy jednak, że nasza gwiazda jest wciąż zbyt masywna, by zatrzymać się na tym etapie. Cząstki elementarne nie będą miały siły, by oprzeć się ciśnieniu tak wielkiej masy. Zniszczeniu ulegną neutrony i od tej chwili nie będzie już takiej siły — przynajmniej nauka nic o niej jeszcze nie wie — która mogłaby zapobiec definitywnemu samozawaleniu się gwiazdy. W ułamku sekundy cała masa skupi się do objętości obliczonej przez wspomnianego profesora Schwartzschilda. I już mamy „czarną dziurę". Od tej chwili będzie pochłaniać każdy obiekt, który otrze się o jej granice. Masa pochłonięta połączy się z wyjściową i powstanie nowa „czarna dziura" „wyjściowa". Spacjonauta, który by został przez nią „połknięty", stałby się natychmiast Wielkim Niczym, albo jak kto woli, Wielkim Wszystkim. Istniałby dalej w postaci niematerialnej papki energetycznej.

Teoretycznie „czarne dziury" zostały poznane na tyle, by pozwolić na dalszą, teoretyczną z nimi zabawę. Otóż „dziury" te obracają się wokół swej osi z intensywnością rzędu miliardów obrotów na sekundę. Przyczyna jest taka, że wszystkie gwiazdy obracają się, a zmniejszając swój promień zwiększają obroty — podobnie jak łyżwiarz, który kręcąc pieruety przysuwa do ciała wysunięte początkowo ręce. W swej szaleńczej karuzeli „czarna dziura" wyrzuca część energii poza swój promień podstawowy. Mamy do czynienia z ergosferą — „przedmieściami czarnej dziury", które leżą wprawdzie poza nią, ale wyraźnie daje się tam odczuć jej obecność. Nie wdając się w próbę przedstawiania szczegółowych obliczeń matematycznych można powiedzieć, że zdaniem uczonych pocisk skierowany sprytnie na trasę między ergosferą i rejonem wyznaczonym przez promień Schwartzschilda mógłby wrócić po pewnym czasie na Ziemię z o wiele większym zapasem energii, niż miał jej w momencie startu. Autorzy science-fiction wyobrażają sobie, że człowiek mógłby wysyłać w kosmos na przykład odpadki, te zaś wracałyby w postaci nieskończonej ilości megawatów. Przyszłe cywilizacje mogłyby być zaopatrywane w energię przez kosmicznych śmieciarzy.

Trzeba tylko jeszcze mieć „czarne dziury" pod ręką. Aby je wykryć uczeni ograniczyli się do analizy trajektorii widzialnych ciał niebieskich. Częstokroć są one zakłócone bez wiadomego powodu. Można obliczyć — analizując owe zakłócenia — jak wielka jest masa, która zmienia te trajektorie. Na liście podejrzanych są m.in. niewidzialne ciała niebieskie, które znajdują się w pobliżu Cygnus X 1, Scorpio X 1, Beta Lyrae, a zwłaszcza Epsilon Aurigae. Na tym ostatnim co 27 lat siła wybuchów wydaje się zmniejszać, co wielu specjalistów przypisuje przechodzeniem w pobliżu „czarnej dziury". Ta bowiem, zbliżając się, pochłania „halo" z materii, która otacza Epsilon Aurigae. Kolejne takie zjawisko jest przewidziane na rok przyszły i astronomowie przygotowują się do szczegółowych obserwacji. Uwaga dla amatorów: Epsilon Aurigae jest widoczna gołym okiem.

Obliczenia wykazują, że w naszej galaktyce (Mlecznej Drodze) powstaje rokrocznie średnio siedem nowych „czarnych dziur" Wiadomo także, iż w każdej galaktyce suma ciężarów wszystkich gwiazd, które się na nią składają, jest tylko jedną dziesiątą całej jej wagi. Gdzie pozostałych dziewięć dziesiątych? Czyżby istotnie brakująca część zalegała w „czarnych dziurach"?

Opracowano na podstawie artykułu FABIANA GRUHIERA w „Nouvel Observateur"

Ryzykantka

Dokończenie ze strony 1

nych. Jakich?

— Sądzę, że wiary we własne siły, w swoje umiejętności na danym etapie i dużej wtyrzymałości nerwowej, ta ostatnia potrzebna jest głównie po to, aby nie popaść w panikę, histerię, lęk przed wyjściem. Także umiejętności rozkładania sił na poszczególne etapy konkursu.

— Pani je posiada?

— Wydaje mi się, że nie posiadam ich w takim stopniu, w jakim by mnie to zadowalało, ale biorąc pod uwagę te moje maleńkie sukcesy, to chyba je po części mam.

— Z jakim nastawieniem jeździ Pani na konkursy?

— Pragnę osiągnąć na nim najwięcej, to co jest możliwe przy moim aktualnym przygotowaniu.

— A kto Panią przygotowuje?

— Mój wspaniały pedagog Barbara Kostrzewska, była wybitna śpiewaczka operowa i cudowny człowiek. Moja indywidualna praca polega na konsekwentnym realizowaniu wszystkich uwag pedagoga. Przygotowanie wokalne jest procesem, w którym sprawy emisyjne, techniczne (charakterystyczne dla danego głosu) doprowadza się do perfekcji. Repertuar powinien być tak dobrany, aby maksymalnie wykorzystywał walory danego śpiewaka. W przypadku mojego głosu, na konkursie w Bytomiu, była to aria Rozyny z „Cyrulika sewilskiego", aria Hanny ze „Strasznego dworu".

— Zwycięstwo w Bytomiu dało Pani oprócz nagrody angaż do śląskiej opery. Pani o tym marzyła?

— Na pewno marzyłam o śpiewaniu w operze i w ostatnim okresie właśnie w Operze Śląskiej, ze względu na repertuar, jaki posiada ten teatr. Propozycja angażu została mi przedłożona po zaśpiewaniu 3 etapu konkursowego. Zasugerowano mi możliwość śpiewania takich partii jak: Hanna w „Strasznym dworze", Królowa Nocy w „Czarodziejskim flecie", Violetta w „Traviacie", tytułowa „Lunatyczka". Czyli — wymarzonego repertuaru dla każdej koloratury.

— Mało kto dzisiaj pamięta, że pierwsze kroki sceniczne stawiała Pani w łódzkim Teatrze Wielkim?

— A było to w w 1978 roku, zaczynałam małą partią Kapłanki w „Aidzie". W „Strasznym dworze" zaśpiewałam Hannę, pracę w łódzkim Teatrze Wielkim zakończyłam małą rólką Pazia w „Don Carlosie". W teatrze nastąpiła zmiana dyrekcji i nowy dyrektor nie widział możliwości współpracy ze mną. Jak widać, moje kroki w Łodzi nie były dla mnie zbyt szczęśliwe, co nie znaczy, że nie chciałabym dziś współpracować z tym świetnym teatrem.

— Do niedawna była Pani czołową solistką Teatru Muzycznego w Łodzi, teraz zdecydowała się Pani pozostać w nim na połowie etatu...

— Teatrowi Muzycznemu w Łodzi zawdzięczam bardzo wiele, cały mój rozwój wokalny i aktorski nastąpił właśnie na tej scenie. Debiutowałam tu w 1979 roku partią Keto w „Szelmostwach swatki". Ostatnio śpiewałam tu i nadal śpiewam bardzo piękne i bardzo trudne partie: Lizy w „Krainie uśmiechu" i Zoriki w „ Cygańskiej miłości". Poza tym mam w teatrze wspaniałych kolegów-przyjaciół i to wszystko złożyło się na decyzję niezrywania więzów z tym teatrem po przejściu na etat solistki do Bytomia. Łódzki teatr operetkowy daje mi możliwość wyżycia się na scenie pod względem ruchowym, a przy doskonaleniu swoich środków aktorskich. A ponadto bardzo lubię operetkę.

— Nawet, gdy w tym teatrze, po odejściu ulubieńca łódzkiej publiczności Edwarda Kamińskiego, zaczyna brakować tenorów-gwiazdorów i bywa Pani zmuszona (tak jak miało to niedawno miejsce w „Cygańskiej miłości") do śpiewania za siebie i za chrypiącego niemiłosiernie Zbigniewa Walocha?

— Sytuacja na rynku operetkowym i operowym w kategorii głosów tenerowych jest trudna. Odjeście pierwszego tenora Edwarda Kamińskiego, który mógłby jeszcze długo śpiewać, bo jest w doskonałej formie wokalnej, stanowi dużą stratę dla łódzkiego teatru. Co do wspomnianego przez pana przedstawienia „Cygańskiej miłości", w którym szczególnie lubię śpiewać, było mi przykro, że mój partner zmuszony był wykonać swoją partię w stanie niedyspozycji. I to, że wystąpił, mogło być zaskoczeniem dla publiczności.

— Słynie Pani z solidności i pracowitości, ale mówią też o Pani: „partnerka niekontaktowa na scenie i poza nią".

— Zdania są podzielone, twierdzę tak na podstawie opinii niektórych moich partnerów, którzy po zejściu ze sceny mówią, że śpiewało im się ze mną bardzo dobrze. Ale nie jestem w stanie zadowolić wszystkich, łącznie z koleżankami, reagując tak jak serwuje mi siebie nie najlepszy partner, co nie jest już zależne ode mnie.

— Z wykształcenia jest Pani magistrem chemii, czyli umysł ścisły, analityczny. Czy pomaga to Pani w drugim, artystycznym zawodzie?

— Na pewno bardzo mi pomaga, ale pomoc ta jest trochę głębsza, przede wszystkim nie podchodzę do swego zawodu z myślą, że muszę wykonywać tylko ten jeden zawód, chociaż go uwielbiam. Czyli nie wymagam od swoich dyrektorów, aby zatrudniali mnie za wszelką cenę w teatrze, bez względu na to, czy jestem dobra czy zła. Poza tym, daje mi to inne spojrzenie z innej perspektywy na swoją pracę.

— Czy konkurencja na ubiegłorocznym Międzynarodowym Konkursie Wokalnym w Tuluzie była bardzo silna?

— Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, bo nie uczestniczyłam w poprzednich konkursach, słyszałam opinie, że poziom był wysoki i trudno było się przebić przez trzy etapy. Do Tuluzy zostałam wytypowana przez Ministerstwo Kultury i Sztuki po pozytywnym wyniku przesłuchań przez Stowarzyszenie Polskich Artystów Muzyków w Warszawie. Od chwili przesłuchania miałam 5 miesięcy na doszlifowanie swojego programu i na początku października ubiegłego roku wyjechałam do Tuluzy. Miałam przygotowanych 6 arii operowych, 3 oratoryjne i 3 pieśni, wśród których musiały się znajdować utwory kompozytorów francuskich. W pierwszym etapie śpiewa się 3 utwory zgłoszone przez siebie, w etapie 2 i 3 utwory są wybierane przez jury z podanego przez śpiewaka programu. Do finału zakwalifikowało się 9 osób (6 kobiet i 3 mężczyzn), z Polski dwie osoby: ja i Janusz Niziołek. W finale wykonywałam 2 utwory: pieśń „Stornella trice" z towarzyszeniem fortepianu i drugą arię Królowej Nocy z „Czarodziejskiego fletu" z towarzyszeniem orkiestry. Otrzymałam specjalną Nagrodę Kompozytorów Francuskich za osobowość artystyczną Jest to nagroda, która może być nie przyznana nikomu z braku odpowiedniego kandydata albo jednej z osób, która znalazła się w finale bez względu na to, czy zdobyła ona Grand Prix. Tym większa satysfakcja dla mnie, że ja ją otrzymałam.

— A gdyby powróciła Pani bez nagrody?

— Wtedy doszłabym do bardzo mądrych wniosków, że ta nagroda nie należała mi się ze względu na zbyt niski mój poziom i na pewno w dalszym ciągu pracowałabym jeszcze gorliwiej, aby przy kolejnym wyjeździe sięgnąć aż tak wysoko, co nie zmienia faktu, że ta nagroda jest dla mnie dalszym dopingiem do pracy i tym bardziej muszę udowadniać sobie i innym, że słusznie mi się należała. Na pewno więc startowałabym ponownie, mam bowiem w sobie coś z ryzykantki. Lubię takie emocje i chcę być coraz lepsza.

— Obecnie śpiewa Pani w Państwowej Operze Śląskiej w Bytomiu partie operowe, o których marzą łódzkie koleżanki. Zastanawiam się, jaką kondycją będzie musiała Pani dysponować, aby udźwignąć wielkie partie operowe tam i śpiewać operetkowe tu?

— Połączenie pracy w obu teatrach jest dla mnie bardzo męczące, przede wszystkim z uwagi na odległość kilometrową i ciągłe podróże. Poza tym w Bytomiu dopiero wchodzę w repertuar, przez co mam nadmierną ilość pracy przy przygotowaniu partii, mam nadzieję, że z czasem się ta sytuacja unormuje. W Łodzi w bieżącym repertuarze teatru do nowej premiery jestem przewidziana po nowym roku.

— Ale premiery śpiewają inne wokalistki?

— Nie należę do osób, które biją się o premiery i muszą je śpiewać za wszelką cenę. Jeżeli nie śpiewam w premierowym przedstawieniu, to widocznie jest to spowodowane tym, że realizatorzy wolą inne śpiewaczki, nie mnie. Ale ja i tak mam satysfakcję, że biorę udział w tych spektaklach, w których pragnę śpiewać, bez względu na to czy jest premierowe.

— Przed Panią tzw. szerokie perspektywy na przyszłość. Czy Pani sama też już sobie coś zaplanowała?

— W pracy teatralnej niczego nie planuję, zdaję się na dyrekcje i realizatorów. Natomiast na pewno planuję swoje dalsze udziały w przesłuchaniach do zagranicznych konkursów wokalnych w Hertogenbosch, Atenach i Genewie.

— Wypada już teraz życzyć powodzenia!

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Na marginesach wielkiej sztuki

Obeszliśmy się smakiem

„P.S. Kiedy wystawa prac Wł. Daszewskiego uświetni otwarcie nowej Galerii Muzeum Historii Miasta Łodzi, wrocę do tematu. (...)"

No więc wracam. Miałam to uczynić w październiku, potem przygotowałam się na listopad, ale i ten miesiąc minął. 30 grudnia, wreszcie, uroczyście odbyło się pierwsze zwiedzanie.

Zaprosiłam się na rozmowę do pani Barbary Błaszczyk, która czuwała nad merytoryczną koncepcją łódzkiej ekspozycji. Wyraziłam uznanie dla jej pracy, jako że dorobek Daszewskiego pokazano w Łodzi lepiej, czytelniej niż w Warszawie. Okazało się potem, że to nie tylko moje odczucie, podobnego zdania zdaje się była pani Ewa Bonacka-Daszewska, a jej ocena w tej mierze jest bardzo znacząca. Wydało mi się jednak, że w Łodzi pokazano nie wszystkie eksponaty, które były na wystawie w Zachęcie. Pani Błaszczyk zaprzeczyła, tak jakoś mało zdecydowanie, iż nie dowierzając własnej pamięci postanowiłam rzecz sprawdzić u źródła, czyli u głównych właścicieli spuścizny po Daszewskim. Dowiedziałam się, że to Muzeum Teatralne było takie paskudne, ale po rozmowie z dyrektor Ewą Makomaską przychylam się do jej poglądu i też bym Łodzi paru eksponatów nie dała.

Otóż 23 listopada ubiegłego roku uświetniono wystawą stulecie urodzin Arnolda Szyfmana. Trudno przy takiej okazji pominąć dorobek Daszewskiego, wszak jego praca w okresie przez II wojną światową niemal nieodłącznie związana była z Teatrem Polskim, a więc i z Szyfmanem. Teraz zaś, pod koniec stycznia będzie w Warszawie wystawa poświęcona 70-leciu Teatru Polskiego.

I tak, zbliżone terminy ważnych wystaw poświęconych dziejom teatru uszczupliły nieco łódzką ekspozycję. To jednak drobiazg w porównaniu z tym, że kiedy ja piszę ten tekst wystawę jeszcze można oglądać, ale kiedy państwo będziecie go czytać, wystawa odejdzie już do wspomnień.

Nie udało się wyszykować Galerii na październik, nie wspominając już o wcześniejszych terminach. Taka jest niestety prawdziwa przyczyna, z powodu której publiczność łódzka nie mogła się delektować arcydziełami ulotnej scenograficznej sztuki. Ile już wystaw przykrawano do za szczupłej przestrzeni, ile trwało zbyt krótko? Nikt pewnie tego nie liczy. Nie trudno jednak zrachować lata remontu w pałacu Poznańskiego. Palców u rąk wystarczy. Szkoda, że tak się dzieje. Taki ciągniony jak guma do żucia remont wcale nie kosztuje taniej.

Żeby zaś skończyć listę żalów, muszę jeszcze wspomnieć o prospekcie, oryginalnym, do Krakowiaków i Górali. Zalega on gdzieś pod zwałami koksu w zakamarkach Teatru im. St. Jaracza i przez cały czas przygotowywania wystawy prac Daszewskiego nie można go było stamtąd wydobyć. Dla potrzeb ekspozycji prospekt więc odtworzono, ale przecież to nie to samo co oryginał. Poza tym, kto wie w jakim on jest dzisiaj stanie, czy po uwolnieniu go spod koksu — co mam nadzieję kiedyś nastąpi — będzie się jeszcze nadawał do konserwacji?

Scenografia, kostiumy kończą zwykle swój sceniczny żywot wraz z ostatnim opadnięciem kurtyny. A przecież ten dorobek artystyczny nie tylko dla dokumentowania dziejów teatru ale i plastyki powinien być pieczołowicie przechowywany. W teatrach nie ma na to warunków, a muzeum scenografii ma postać od lat jedynie duchową.

Przy okazji tej wystawy jej organizatorzy, a przede wszystkim komisarz — Łucja Kossakowska, doświadczyli wszystkich chyba możliwych utrudnień. Ostatnie trzy lata, a tyle mniej więcej trwały przygotowania i gromadzenie eksponatów, sprzyjały temu wielce. Zwłaszcza rok ostatni. Dała bowiem o sobie znać — poza innymi szczególnymi okolicznościami — reforma gospodarcza, czego organizatorzy nie przewidzieli.

Teatr Narodowy, właściciel niebagatelnych pozostałości po Władysławie Daszewskim, w osobie dyrektora administracyjnego placówki Lecha Wojciechowskiego zgodził się wypożyczyć eksponaty, głównie kostiumy, ale odpłatnie. Organizatorzy: Ministerstwo Kultury i Sztuki, Centralne Biuro Wystaw Artystycznych oraz Muzeum Historii Miasta Łodzi bodaj takiej możliwości w ogóle nie brali pod uwagę i stosownych funduszy na to nie przygotowali. Ostatecznie przyjmując Teatr Narodowy do grona współorganizatorów udało się konflikt załagodzić. Eksponaty przekazano gratis. Dyrektor Wojciechowski nie dał się jednak przekonać, że jeszcze powinien do tego interesu z kasy teatru dołożyć po to, aby na wystawę powędrowały kostiumy wyprane i uprasowane. Wielkie czyszczenie odbyło się w salach Zachęty i na koszt organizatorów.

Dyrektor teatru ma prawo tak postąpić i w gruncie rzeczy nie można mieć o to do niego żalu tylko dlatego, że taki obyczaj jest nowością, że do tej pory zwyczajowo organizatorzy wystaw byli tymi kontrahentami, którym nie wystawiano rachunku.

Tak to się rzeczy miały z wystawą scenografii Władysława Daszewskiego. W salach Muzeum Historii Miasta Łodzi już zupełnie inny świat, a projekty, fotogramy, kostiumy troskliwie zapakowane powędrowały dalej w Polskę.

Obiecują nam wprawdzie, że będzie w Łodzi jeszcze jedna wystawa prac profesora związana z okresem działalności w tym mieście. Dokumentacja — jak zapewniała mnie pani Barbara Błaszczyk — jest już na ukończeniu. Kiedy jednak znów przyjdziemy „na Daszewskiego"? Nie wiem. Na pewno nie w tym roku. Pocieszam się jedynie myślą, że być może wkrótce doczekamy się poważnej publikacji poświęconej temu artyście. Szczegółów nie ujawniam, żeby nie zapeszyć, ale na odpowiedzialność pani Łucji Kossakowskiej — bo od niej tę informację uzyskałam — zainteresowanych kieruję do najbliższych numerów „Pamiętnika teatralnego".

Jednak i tę pozycję wliczając, oby jak najszybciej ujrzała światło dnia, wszystko to o scenografii mało. Mało w ogóle, ale i niewiele o najwybitniejszych twórcach, którzy działali w tej dyscyplinie sztuki. Potrzebne są monografie, albumy, wspomnienia tych, którzy z nami współpracowali, potrzebne są dokumentacje filmowe. Gdyby zebrać wszystko co jest porozrzucane po teatrach, prywatnych pracowniach, archiwach kronik filmowych, telewizji i radia okazałoby się, że nie jest tego mało. Nawet aż nadto dosyć, by utworzyć muzeum scenografii. Muzeum Teatralne w Warszawie, w żaden sposób tego nie pomieści. Poza tym scenografia to specyficzny gatunek sztuki: żyje nieodłącznie z teatrem, ze spektaklem, gdy jednak przedstawienie odchodzi do wspomnień, jego oprawa plastyczna może dalej żyć jako dzieło na swój sposób samodzielne choć już inne, niż kiedy dopełniały je ruch i głosy aktorów.

Jeszcze dla innych powodów poważne prace nad scenografią są potrzebne. Bodaj pod koniec lat sześćdziesiątych w Warszawie wylano dziecko z kąpielą. Uśmiercono Liceum Technik Teatralnych za jednym zamachem likwidując jakiekolwiek kształcenie technicznych pracowników teatru. Obecnie, w Łodzi, działa pomaturalne studium, które tę lukę wypełnia. Trzyma się dzielnie dzięki zaangażowaniu pedagogów. O czerpaniu wiedzy ze źródeł o charakterze podręcznikowym, zwłaszcza jeżeli chodzi o zagadnienia plastyczne właściwe scenografii, młodzi ludzie mogą raczej tylko pomarzyć.

Dlatego jeszcze raz przypomnę o potrzebie utworzenia muzeum scenografii. Muzeum wszak jest nie tylko przechowalnią eksponatów, ale także placówką naukową.

Tak to plotą się tematy wokół jednej scenograficznej wystawy. Podobne ujawniłaby każda inna, poświęcona temu gatunkowi sztuki.

Może ktoś z czytających ten tekst będzie miał żal do mnie, że prawie ani słowa tym razem nie napisałam o samej twórczości Daszewskiego, choćby o łódzkim bardzo przecież ważnym okresie. Ale czy byłoby dobrze już nie móc takiego zapisu skonfrontować z pokazem?

Przyszło nam obejść się smakiem. Wystawy jakby nie było

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Domaniewickie organy w kształcie orła

W Domaniewicach — wsi położonej około 16 km od Łowicza w kierunku południowo-zachodnim, przy trasie E-12 prowadzącej z tego miasta do Łodzi — znajduje się wczesnobarokowa kaplica zbudowana w latach 1631—1633, którą ufundowali dwaj mieszczanie krakowscy pochodzący z pobliskiego Czatolina — Jakub i Wojciech Celestowie. Na temat powstania domaniewickiej kaplicy istnieje legenda, krążąca niegdyś między miejscowym i okolicznym ludem. Podaje ją Romuald Oczykowski — redaktor „Kalendarza Ziemi Łowickiej" i tygodnika „Łowiczanin" — w pracy pt. „Obrazy cudowne w dawnym powiecie łowickim" (Warszawa 1888). Fragmenty tej pracy a w tym i domaniewicką legendę, zamieścił Oskar Kolberg w swym monumentalnym dziele „Lud".

Oczykowski pisze: „W czasach dawniejszych Domaniewice otoczone były nieprzebytymi lasami. Przez lasy te przejeżdżali dwaj bracia rodzeni (Celestowie), Jakub wójt i Wojciech radny, obywatele krakowscy, rodem ze wsi Czatolina, należącej do parafii tutejszej. W przejeździe tym zginęła im klacz bardzo piękna, cenna, a i pieszczotka ogromna. Bracia wielce tę stratę odczuli, a kiedy wszelkie poszukiwania najmniejszego śladu nie wykryły, zmartwieni, przywołali Boga na pomoc i ślubowali, że jeżeli kiedykolwiek odzyskają ją, uczynią pobożną fundację. Po upływie lat siedmiu wypadło im znów przejeżdżać przez ten las, przypomnieli sobie stratę i kiedy jak raz stanęli na tym miejscu, na którym stoi dziś kaplica, usłyszeli rżenie końskie, stanęli — zaszeleściły drzewa, odbiło się echo kopyt koni pędzących cwałem i po upływie kilku chwil cieszyli się już widokiem ulubionej klaczy, która rżała z radości przed nimi i skakała, przedstawiając siedem źrebiąt dobrze odchowanych. Strata i niepokój sowicie zostały wynagrodzone, klacz ze źrebiętami dobrowolnie podążyła ku domowi dawnych swych panów. Celestowie odzyskawszy zgubę wywiązali się wkrótce i ze swych ślubów, albowiem w r. 1633 wystawili kaplicę bardzo okazałą...".

W kaplicy domaniewickiej umieszczono „obraz N. Maryi łaskami słynący", a Domaniewice stały się miejscem głośnych odpustów. Dziś jednak osoby odwiedzające tę podłowicką wieś może zainteresować co innego, a mianowicie ośmiogłosowe organy znajdujące się w tutejszej kaplicy. Wspomniany instrument muzyczny nie słynie co prawda z koncertów, jak organy w Oliwie czy Kamieniu Pomorskim, ale ciekawy jest natomiast ze względu na oryginalny i niespotykany kształt. To właśnie stanowi jego osobliwość. Domaniewickie organy mają postać orła z rozpostartymi skrzydłami. Te unikalne organy rokokowe, podobnie jak większość obecnego wyposażenia kaplicy, pochodzą z drugiej połowy XVIII stulecia (z okresu po roku 1765). Na początku lat siedemdziesiątych naszego wieku instrument przemalowano z koloru srebrnego na złoty, przywracając mu pierwotną barwę.

Według informacji byłego konserwatora zabytków województwa łódzkiego mgr Zbigniewa Cieklińskiego (patrz: „Jeszcze o organach w Domaniewicach", „Biuletyn PTTK Okręgu Łódzkiego" nr 10 z 1973 r.), który powierzył renowację organów Pracownikom Konserwacji Zabytków, w czasie prac przy tym obiekcie przekonano się, że srebrny kolor był położony w początku bieżącego stulecia, natomiast znajdująca się pod wierzchnią warstwą polichromia ma kolor złoty. Wobec tego faktu zdecydowano się przywrócić kolor złoty jako autentyczny, choć niewątpliwie kolor srebrny bardziej odpowiadał nam Polakom ze względów uczuciowych. Przywrócenie koloru złotego jest korzystniejsze z punktu widzenia artystycznego, bowiem kolor ten był powszechnie stosowany w plastyce XVIII wieku.

Zdjęcia i rysunki przedstawiające domaniewicki instrument muzyczny zdobią wiele krajowych, a nawet zagranicznych wydawnictw poświęconych sztuce i zabytkom. Oglądając organy w Domaniewicach warto również zwrócić uwagę na tutejszy stary dzwon, odlany około 1620 roku we Wrocławiu.

Organy i dzwon przetrwały czasy zaborów oraz obie wojny światowe, chociaż przez Domaniewice przebiegała w okresie pierwszej z nich linia frontu rosyjsko-niemieckiego, o czym świadczy pomnik wzniesiony w tej wsi dla upamiętnienia poległych. Podczas ostatniej wojny działał w okolicach Domaniewic silny oddział Gwardii Ludowej. Obecnie we wsi zachowały się jeszcze pewne regionalne cechy łowickie, przejawiające się w strojach ludowych i urządzeniach niektórych wnętrz mieszkalnych. Domaniewice posiadają nową szkołę — pomnik Tysiąclecia.

HENRYK SZUBERT

Kronika kulturalna

Od początku bieżącego roku Teatr im. J. Tuwima ma nowego kierownika artystycznego. Jest nim *Jan Machulski* — dziekan Wydziału Aktorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, Telewizyjnej i Filmowej w Łodzi.

Przy Widzewskim Domu Kultury istnieje Galeria *„Miraż"*. Obecnie czynna jest tam wystawa grafik *Jerzego Nowaka* i *Marka Gajewskiego*.
W Ośrodku Propagandy Sztuki czynna jest wystawa malarstwa *Jadwigi Cieleckiej-Głowackiej*.
W Galerii Sztuki BWA tkaniny przemysłowe prezentuje *Maria Wawrzonek*. W Salonie Sztuki Współczesnej natomiast można obejrzeć projekty malarskie i gobeliny Heleny Tchórzewskiej.

W salonach BWA w „Arsenale" otwarto wystawę akwareli poznanskiej artystki, *Jadwigi Eichlerowej*. Malarka w okresie międzywojennym studiowała w Państwowej Szkole Sztuk Zdobniczych oraz Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, w pracowni Miłosza Kotarbińskiego i Felicjana Kowarskiego. Ekspozycja J. Eichlerowej obejmuje 60 akwarel, w których dominują pejzaże i architektura Wielkopolski i Dolnego Śląska.

W Warszawie, w mieszkaniu *Mai Berezowskiej*, 13 stycznia zostało otwarte muzeum jej imienia. Mieszkanie, po śmierci malarki, pozostało w stanie nienaruszonym. Wszystkie obrazy, rysunki, dokumenty i drobiazgi, które bardzo lubiła artystka, udostępnione zostały zwiedzającym. Pani Jadwiga Kopijowska, przyjaciółka malarki z czasów pobytu w obozie, jej spadkobierczyni i inicjatorka powstania muzeum, ma nadzieję, że zbiory z czasem będą się powiększały.

W Szczecinie, na mocy decyzji ministra kultury i i sztuki, powołano do życia wydawnictwo *„Glob"*. Wydawnictwo którego powstanie jest w głównej mierze zasługą miejscowych środowisk twórczych i naukowych, będzie wydawało przede wszystkim różnorodne publikacje poruszające problematykę regionu zachodniopomorskiego oraz sprawy ludzi morza.

Teatr Wielki w Warszawie zapowiada na koniec kwietnia premierę baletową. Będzie to *„Śpiąca królewna"* Piotra Czajkowskiego. Spektakl przygotowuje, specjalnie zaproszony przez teatr, wybitny radziecki choreograf, Piotr Gusiew.

11 stycznia ukazało się pismo ZSL *„Tygodnik Ludowy"*, które ukazywać się będzie na obszarze 16 województw Wielkopolski, Pomorza i Polski Północno-Zachodniej. Tygodnik jest redagowany i wydawany w Poznaniu.

Teatr na Targówku — „Scena Poezji, Prozy i Publicystyki" przygotowuje nową premierę. Będzie to prezentacja, pierwsza po wojnie, wierszy *Stanisława Balińskiego*, ostatniego ze skamandrytów. Scenariusz przedstawienia pt. *„Mój kapitanie, już wieczór..."*, oparty na jego twórczości poetyckiej do roku 1947, przygotował J. Krzyżanowski. Przed spektaklem słowo o poecie wygłosił J. Odrowąż-Pieniążek, dyrektor Muzeum Literatury. W przedstawieniu wystąpią: S. Przybylska, R. Ziemlański (gościnnie), M. Boratyńska, A. Kazaniszyn, A. Koncewicz, M. Domaszewicz i A. Precigs.

Wręczono nagrody i dyplomy laureatom V ogólnopolskiego konkursu dla towarzystw regionalnych pod hasłem „Bliżej regionu, bliżej kraju". I nagrodę otrzymało Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Tarnogórskiej w Tarnowskich Górach.

Na międzynarodowym festiwalu filmów w Chicago Srebrne Plakietki otrzymali: *Franciszek Starowieyski* (za plakat do filmu Lecha Majewskiego „Rycerz") i *Andrzej Pągowski* (za plakat do „Konopielki" Witolda Leszczyńskiego). Podczas chicagowskiego festiwalu polską kinematografię reprezentowały filmy: Filipa Bajona „Limuzyna Daimler-Benz", Jerzego Kawalerowicza „Austeria" i Juliusza Machulskiego „Vabank".

Teatr Komedia wystąpił 8 stycznia z premierą widowiska kabaretowego *„Śmiechowisko"*, według scenariusza i w reżyserii *Olgi Lipińskiej*. Spektakl oparty jest na motywach telewizyjnych „Kabarecików".
W dowcipnym widowisku wykorzystano również m. in. teksty Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, Agnieszki Osieckiej i Andrzeja Jareckiego.

Japońskie towarzystwo d/s współpracy z zagranicą zorganizowało w Tokio wystawę przygotowaną przez Muzeum Okręgowe w Toruniu pt. „Mikołaj Kopernik — człowiek, który ruszył Ziemię".

Wierny słowu i rzeczywistości

Z TADEUSZEM PAPIEREM, tegorocznym laureatem literackiej nagrody miasta Łodzi, rozmawia Tadeusz Błażejewski

Chwila, przy okazji której spotykamy się, jest niewątpliwie uroczysta, niemniej jednak chciałbym aby rozmowie naszej towarzyszyła raczej rzeczowość niż kurtuazja, zwłaszcza, że proponuję zacząć od wspomnień całkiem konkretnych i pro domo sua: starsza generacja czytelników „Odgłosów" pamięta Twoje nazwisko jeszcze z czasów, gdy zasiadałeś w redakcji...

— Istotnie, należałem do pierwszego zespołu redakcyjnego „Odgłosów". Byłem sekretarzem redakcji przez sześć pierwszych lat. Ówczesne „Odgłosy" miały nieco odmienny charakter, inne wtedy były trudności, ale warto może zauważyć, że jest to najdłużej wychodzące pismo w Łodzi. A towarzyszyłem wszystkim próbom wydawania periodyków po wojnie w Łodzi. Zaczęło się w roku 1945, kiedy przyjechałem do pracy do tygodnika „Wieś", zaproszony przez ówczesnego redaktora naczelnego, Jana Aleksandra Króla. Przy okazji chciałbym sprostować datę i miejsce debiutu. Informatory literackie podają tu zazwyczaj rok 1945 i tygodnik „Wieś", tymczasem pierwsze próby literackie publikowałem w roku 1933, na łamach pisma „Młodzi idą" w Kielcach. Będąc w redakcji „Wsi" współredagowałem tygodnik pod nazwą „Chłopi". Potem była „Łódź Teatralna", „Łódź Literacka", „Kronika", „Osnowa".

— O ile wiem, Twój związek z prasą nastąpił w roku 1938, kiedy to zostałeś sekretarzem redakcji pisma o znamiennym tytule: „Orka na ugorze". Czy pamiętasz jeszcze tamto pismo?

— Był to początek mojej redakcyjnej drogi. W „Orce na ugorze" przeszedłem dobrą szkołę w dobrym towarzystwie — jeśli chodzi o szczegóły, odsyłam zainteresowanych do książek Kazimierza Koźniewskiego: „Historia co tydzień", „Różowe cienie", „Pierwsza bitwa z gestapo".

— Pracowałeś też w redakcjach niekoniecznie związanych z prasą.

— Wymienię przynajmniej dwie: byłem tak zwanym redaktorem dramaturgicznym w Wytwórni Filmów Fabularnych oraz znacznie później kierownikiem redakcji społeczno-politycznej w Wydawnictwie Łódzkim.

— Przejdźmy do spraw literackich, bo one w Twoim życiu najwięcej ważą. Jesteś autorem kilkunastu powieści i kilku zbiorów opowiadań, uprawiasz publicystykę, pisywałeś słuchowiska, widowiska telewizyjne i scenariusze do filmów oświatowych. Ulubioną Twą formą stała się z biegiem lat saga rodzinna, ujmowana nie tyle w sposób tradycyjny — jako tak zwana powieść-rzeka, ile jako szczegółowe ukazywanie w kolejnych książkach losów różnych bohaterów związanych z dość rozgałęzioną rodziną, które to losy mówią przede wszystkim o przemianach zachodzących na polskiej wsi. Stąd też zapewne krytycy literaccy opatrzyli Cię etykietką pisarza dość ściśle związanego z nurtem wiejskim. Co Ty na to?

— Pierwsze książki istotnie poświęcone były sprawom wsi. Dość przypomnieć tytuły: „Morga ziemi" czy „Nowe skiby". W gruncie rzeczy zaś to, co nazywasz sagą rodzinną, rozpoczynam od „Powtórnej śmierci Boryny", która ukazała się w roku 1965.

Wyznawałem już nieraz, że moi bohaterowie kształtowani są na obraz i podobieństwo osób, które znałem z życia. I dlatego tak mocno się do nich przywiązuję. Nie oznacza to wcale, że ich życiowe losy są dokładnie powielane w powieści. Chodzi mi raczej o wierność portretów duchowych. Historia bohatera, którego zowię w powieści ojcem, jest historią mojego ojca. Ale znawca tego życiorysu mógłby powiedzieć, że jest to historia w tym czy innym miejscu przeinaczona. Natomiast nie mógłby wykreślić, tak mi się wydaje, ani jednego zdania mówiącego o jego przeżyciach, marzeniach, sposobie patrzenia na świat, słowem o jego duszy. Z biegiem lat ja sam zapominam o różnicach, jakie występują między obrazem literackim a tym z życia, obydwa stapiają się w jedno.

W moich książkach często pojawiają się postacie działaczy ludowych. A to dlatego, że z takimi się spotykałem, z niektórymi żyłem w wielkiej przyjaźni. Są to przede wszystkim ludzie z krajobrazu lat młodości. Wielu spośród nich odeszło, nie ma ich wśród nas, a jednak nadal żyją w pamięci. Przywołuję ich i przywracam do życia na kartach powieści. Ale mówię też o osobach, których nie mogłem znać. Jak na przykład o starym Uchnaście, powstańcu z 63 roku, który w „Powtórnej śmierci Boryny" uczy dzieci chłopskie sztuki czytania i pisania, uczy przede wszystkim historii kraju rodzinnego. Do jego uczniów należał również bohater powieści, występujący w niej jako ojciec. „Uchnast — mówi ojciec — miał swój pseudonim. Kazał się nazywać Janem Olrychem". Takie nazwisko miał właściciel tej wsi z roku 1830, poseł tamtej ziemi. To był postępowy człowiek. On to na sejmie ówczesnym żądał zniesienia pańszczyzny i poddaństwa chłopów. Tak oto literatura stara się ocalić pamięć odległych pokoleń, przybliżyć tradycję.

Obok ludowców, pojawiają się w moich książkach komuniści. Oto szewc Jansiu z

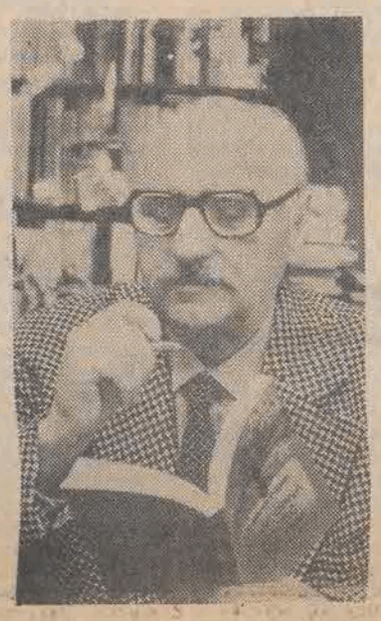

Foto: M. Zajdler

„Dziadka i Róży", który zginął w Oświęcimiu, wywieziony ze wsi do obozu razem z księdzem, który komunistą nie był; oto wędrowny sprzedawca książek z powieści „Cienie na piaskowej górze", który chodził od wsi do wsi i był łącznikiem, oto nauczyciel Jasiński z „Wiktorii i generała". Tego ostatniego łączyły szczególne więzy z ludowcem Tomaszem. Obydwaj mieli zamiłowanie do książek, kupowali je i zbierali, gromadząc w ten sposób interesującą biblioteczkę, z której korzystali uczniowie i nauczyciele tajnych kompletów nauczania w czasie okupacji. Oto przede wszystkim postacie dziadka Izydora i Anity z powieści „Anita", dedykowane Rodzinom Włókniarzy. W tej książce wyraźnie zarysowana została tradycja walk rewolucyjnych w Łodzi. Historia dziadka Izydora sięga roku 1905. Włókniarzom poświęciłem także wiele szkiców i reportaży.

— Spośród literackich postaci zdecydowanie wyróżnia się „ciotka Melania" — znakomity rezoner w spódnicy, uosobienie ludowej czy też Marcholtowej mądrości, osoba chyba najważniejsza w tworzonej przez Ciebie sadze rodzinnej. Skąd bierze się jej rodowód?

— W moim życiu rzeczywiście istniała prawdziwa ciotka Melania. Była mniej więcej taka osoba, jaka opisuje w moich książkach: „mądrą, doświadczoną życiowo, prostą a zarazem subtelną kobietą, prawdziwą naczelniczką rodu. Pamięć o niej chcę ocalić również dlatego, że podobne kobiety spotykamy coraz rzadziej. Występowała już w pięciu moich powieściach, a ostatnie jej dni przedstawi książka „Szum jodły w mieście", przygotowywana obecnie przez Wydawnictwo Łódzkie.

— Jesteś wierny nie tylko swoim bohaterom, ale i urodzie krajobrazu...

— Krajobrazów, które zatrzymała klisza pamięci, jest wiele. Są tragiczne i sielankowe, smutne i wesołe. I historia ludzi podobna. Zachowałem w pamięci twarze sąsiadów, których już dzisiaj nie ma, zapamiętałem to, co mówili, co ich radowało i smuciło. Pamiętam izby, w których mieszkali, małe okienka, przysłonięte pelargoniami, koślawe płoty, zza których wychylały się malwy, pamiętam ich rozmowy, opowieści, zabawy, pogrzeby. Oni zaludniają dzisiaj karty moich książek. Czy są prawdziwi? Na to pytanie trudno jest odpowiedzieć autorowi. Autor musi przy pomocy odpowiednio dobieranych słów i odpowiednich konstrukcji obrazowych tak budować swój świat, aby miał on cechy, w które się wierzy i które potrafią zmusić czytelnika do uwagi i wzruszenia. Historia tych ludzi, których fotografie możemy znaleźć w książkach, jest historią nie tylko losów pojedynczych. To także historia szersza, danej okolicy, kraju.

— Czy wierność pamięci to najważniejsza dla Ciebie cecha literackiego tworzywa?

— Cóż to jest tworzywo literackie? Jest to przede wszystkim słowo. I tworzywem tym jest rzeczywistość, którą pisarze za pośrednictwem sztuki słowa przedstawiają. A więc świat, w którym żyjemy. Dla każdego poety, pisarza, jest to ten sam świat, a równocześnie inny. Każdy widzi świat inaczej i na sposób jemu tylko właściwy przedstawia go w wierszu, dramacie, powieści. Dla mnie jest to ten świat, który poznawałem od dzieciństwa. Najpierw krajobraz wsi i małego miasteczka. Pejzaż pagórkowaty, zarośnięty po brzegach lasem. A w środku pola, kępy sadów, drogi wysadzane wierzbami i chałupy wiejskie, pokryte strzechą. Tych domów dzisiaj nie ma, zastąpiły je murowane, czasami ładne, czasami bardzo brzydkie. Nie chciałbym, patrząc tylko na nie, dokonywać oceny naszej rzeczywistości.

— Jakby na zasadzie kontrapunktu pojawiają się w Twojej twórczości wątki wielkomiejskie. Pełno w nich realiów łódzkich. Czy pisanie o mieście, w którym mieszkasz, traktujesz jako obowiązek?

— Czy to jest kontrapunkt? Bo to miasto jest przecież przedłużeniem mojego wcześniejszego życia i spraw, o których pisałem w pierwszych powieściach. Powiedzmy więc: nie tyle kontrapunkt, co uzupełnienie. I mówmy także o tym, co można by nazwać „przeżyciem wzbogacającym". W Łodzi poznałem również ciekawych ludzi, napotkałem intrygujące sprawy. Wielu spośród poznanych tutaj prototypów moich bohaterów pochodzi ze wsi. A niejeden stary robotnik posiada nie mniej życiowej mądrości, niż na przykład „ciotka Melania".

— W emitowanej niedawno telewizyjnej audycji z cyklu „Spotkanie z pisarzem", zarejestrowanej zresztą dwa lata wcześniej, mówiliśmy między innymi o powodzeniu, jakim cieszyło się napisane przez Ciebie widowisko pod tytułem „Wesele Boryny". Czyżbyś chciał dać w ten sposób do zrozumienia, że czujesz się następcą Reymonta?

— W pytaniu Twoim czai się przyjacielski żart. A że dobry żart tynfa wart...

— A co sądzisz i jako pisarz, i jako czytelnik, o współczesnej literaturze polskiej?

— To chyba najtrudniejsze pytanie. Po pierwsze: z powodów zdrowotnych (choroba oczu) nie mogę śledzić tego wszystkiego, co się obecnie ukazuje. Po drugie: jest to raczej sprawa krytyków, a i sędzia-czas, jak to określiła niegdyś Maria Dąbrowska, nie wyrzekł jeszcze swojego ostatniego słowa. Moglibyśmy się zastanawiać tylko nad rolą pisarza dzisiaj — myślę, że pięknym i trafnym słowem powinien on wyrazić całą skomplikowaną rzeczywistość.

— Dziękuję za rozmowę.

Nagrody Miasta Łodzi

Od pięćdziesięciu sześciu lat są przyznawane nagrody miasta Łodzi. Początkowo nagroda była jedna i przyznawano ją wyłącznie pisarzom. Po ostatniej wojnie stała się ona bardziej uniwersalna: otrzymują ją twórcy, naukowcy i działacze.

28 października 1926 r., ówczesny prezydent Łodzi Marian Cynarski zwołuje wspólne posiedzenie Magistratu m. Łodzi i Rady Miejskiej, na którym zostaje uchwalony statut nagrody literackiej i termin jej wręczania (wyznaczono dzień 3 maja). Miała to być nagroda niepodzielna, przyznawana „jednemu z żyjących autorów polskich za całokształt jego działalności na polu literatury polskiej, albo za jeden utwór ogłoszony drukiem lub wystawiony na scenie w ciągu okresu rocznego poprzedzającego przyznanie nagrody". Powołano przy tym Komitet Nagrody Literackiej. Proszę zauważyć: była to wyłącznie nagroda literacka!

Na pierwszym posiedzeniu Komitetu w 1927 r. były brane pod uwagę następujące kandydatury: Aleksandra Świętochowskiego, Wacława Berenta, Kazimierza Przerwy-Tetmajera, Józefa Weyssenhoffa i Stanisława Windakiewicza. Zwyciężył ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI, „za całokształt działalności pisarskiej". W rok później nagrodę otrzymał JULIAN TUWIM, w 1929 — ZOFIA NAŁKOWSKA, w 1930 — ALEKSANDER BRÜCKNER. Natomiast w 1931 nagrody nie przyznano ze względów oszczędnościowych. W tymże roku zmieniono także statut i nazwę na „Nagroda m. Łodzi", co spowodowało, że nie tylko pisarze mogli być nią honorowani. I właśnie w roku 1932 otrzymał tę nagrodę WŁADYSŁAW STRZEMIŃSKI, w 1933 — ANDRZEJ STRUG. Należy pamiętać, że były to lata ostrego kryzysu gospodarczego i nie zawsze budżet Rady Miejskiej mógł na taką nagrodę zebrać odpowiednią sumę. Tak więc w 1934 roku następuje kolejna przerwa. Dopiero w 1935, kiedy zmieniono raz jeszcze statut i obniżono wysokość nagrody do 5 tys. zł. wydawało się, że stan ten będzie trwać bez zakłóceń. Odtąd też nagrodę miano przyznawać na przemian uczonym, literatom i artystom malarzom lub rzeźbiarzom. Tym razem wręczono ją CZESŁAWOWI WITOSZYŃSKIEMU — prof. Politechniki Warszawskiej za wybitne zasługi w dziedzinie lotnictwa. W 1936 r. — otrzymał ją KAZIMIERZ TWARDOWSKI — prof. Uniw. Jana Kazimierza we Lwowie za prace naukowe w dziedzinie filozofii, w 1937 — TADEUSZ KULISIEWICZ.

Była to ostatnia nagroda przyznana przed wybuchem II wojny, gdyż w ciągu ostatnich lat nie przyznawano jej, bowiem „nie wstawiono odpowiednich sum do budżetu Zarządu Miejskiego".

Zaraz po zakończeniu działań wojennych, jako jedno z pierwszych poczynań władz miasta w dziedzinie kultury, zostaje reaktywowana tradycja nagród literackich m. Łodzi. Pierwsze nagrody w 1946 r. otrzymali: KAROL HILLER i MIECZYSŁAW JASTRUN.

Nagrody, choć są przyznawane co roku, nie zawsze otrzymują ludzie pióra, malarze, rzeźbiarze lub muzycy. Studiując wykaz przekonujemy się, że kolejny twórca, JULIAN TUWIM otrzymał ją dopiero w 1949 roku (po raz drugi). Następny literat MARIAN PIECHAL został nią uhonorowany dopiero w 1955 r. i wtedy nosiła ona już nazwę „Nagroda Literacka im. Juliana Tuwima". Nazwa ta trwała do roku 1961. W tym czasie otrzymali ją kolejno: STANISŁAW CZERNIK (1956), WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK (1957), WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ (1958) i LEON GOMOLICKI (1961).

Przez kolejnych 5 lat pisarze nie dostąpili zaszczytu odbierania nagrody. I dopiero w 1966 r. JAN KOPROWSKI otrzymał już „Nagrodę m. Łodzi za osiągnięcia w dziedzinie upowszechniania kultury". I znowu trzyletnia przerwa, po czym z tym samym uzasadnieniem przyznano ją WIESŁAWOWI JAŻDŻYŃSKIEMU. Ponownie przerwa i dopiero w 1973 przyznając nagrodę IGOROWI SIKIRYCKIEMU zaznaczono, że jest to „nagroda za twórczość literacką i osiągnięcia w dziedzinie upowszechniania wiedzy i kultury".

Po krótkiej przerwie, następują dla pisarzy lata tłuste. Poczynając od 1975 roku otrzymują ją: JAN HUSZCZA, ANTONI KASPROWICZ, WACŁAW BILIŃSKI, WANDA KARCZEWSKA, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, BERNARD SZTAJNERT, ALEKSANDER KAMIŃSKI (pośmiertnie), MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ.

W tym roku nagrodę m. Łodzi otrzymał pisarz TADEUSZ PAPIER oraz RAJMUND AMBROZIAK, EWA WYCICHOWSKA, IRENA KIK, WIESŁAW GARBOLINSKI i JÓZEF ARKUSZ.

Gratulujemy!

IWA

Zwolennicy i przeciwnicy kultu obrazów

EDMUND LEWANDOWSKI

Nie wszyscy w Bizancjum godzili się z na nowo odbywającym się kultem obrazów. W roku 814 cesarz Leon V powołał komisję dla ponownego zbadania sprawy, z udziałem wybitnego uczonego ormiańskiego Jana Gramatyka. Na podstawie jej pracy zakomunikował władzom kościelnym, że niektórzy ludzie uważają, iż kult ikon jest sprzeczny z podstawami chrześcijaństwa i dlatego winien być zakazany. Mający odmienne zdanie patriarcha Nicefor zrzekł się urzędu, a przywódca mnichów Teodor został wygnany. Zwołany w 815 r. synod biskupów potwierdził, w atmosferze terroru, decyzje synodu z 754 roku. I przez pięć lat, aż do śmierci Leona V, trwały prześladowania zwolenników ikon. Kolejny cesarz Michał II również popierał ikonoklazm, lecz zaniechał represji i zezwolił zawieszać obrazy poza stolicą państwa. Natomiast na Zachodzie synod biskupów zebrany w Paryżu uchwalił, że obrazy można zawieszać, lecz nie wolno oddawać im czci. Stanowisko to pod naciskiem cesarza Ludwika I Pobożnego zaakceptował w 825 r. papież Paschalis I.

Tolerancyjnym obrazoburcą był także syn Michała II — Teofil, zwany Nieszczęsnym. Za to jego żona, Teodora, popierała kult ikon. I po śmierci męża, jako regentka przy dwuletnim Michale III — podobnie jak przed laty Irena — doprowadziła do przywrócenia czci obrazów. W 843 r. zwołany przez nią synod potwierdził uchwały Soboru Nicejskiego z 787 r. (zorganizowanego przez Irenę). Przeciwko tej decyzji wystąpił jedynie mądry Jan Gramatyk dlatego zastąpił go na stanowisku mnich Metody Tak więc po trwającym w sumie około dziewięciu dziesięcioleci okresie obrazoburstwa zwyciężyli czciciele ikon. Ale, pozostałości ikonoklazmu tliły się dalej, aż w XI i XII wieku wybuchły wśród samych mnichów w ramach różnych herezji dualistycznych, których źródłem ideowym był manicheizm i paulicjanizm. Radykalni dualiści odrzucali nie tylko obrazy i relikwie, lecz również krzyż. Wzbudzali przez to niechęć społeczeństwa, lecz z drugiej strony podziwiano ich za niezwykle moralne i religijne życie.

CUD SIĘ NIE ZDARZYŁ

Mieszkańcy Konstantynopola wierzyli, że ich miastem specjalnie opiekuje się sama Matka Boska. Szczególnie ufano w nadprzyrodzoną moc jednej z ikon. Był to słynący cudami najświętszy obraz w całym Bizancjum — wizerunek Maryi Panny Hodigitrii (Przewodniczki), który miał namalować św. Łukasz. (Do typu ikonograficznego Hodigitria należy także obraz Matki Boskiej Częstochowskiej). Ale chrześcijańskie *„cesarstwo Boga na ziemi"* i jego stolica, po wiekach świetności, zaczęły chylić się ku upadkowi. Jeszcze w XIII wieku Konstantynopol liczył aż 1 mln osób, a w połowie XV wieku już zaledwie 50 tysięcy. Kiedy sułtan turecki Mehmed II stanął w 1453 r. pod murami miasta z przeszło 100-tysięczną armią (w tym 12 tys. doborowych janczarów), zdolnych do obrony naliczono tylko 4983 Greków i niespełna 2 tys. sojuszników cudzoziemskich. Konstantynopol bronił się jednak przez 53 dni, aż w końcu 29 maja rozległ się rozpaczliwy krzyk: *„Miasto wzięte!"*. Nie nastąpił więc żaden cud, o który trwały nieustanne modły. Nie spełniło się stare proroctwo, że w najbardziej krytycznym momencie zjawi się Anioł Pański z błyszczącym mieczem i powstrzyma niewiernych. Żołnierze tureccy otrzymali prawo trzydniowego rabunku. Po ogołoceniu z klejnotów, palili święte ikony, będące dla nich symbolami bluźnierczego bałwochwalstwa. Zniszczyli też cudowny obraz Matki Boskiej Hodigitrii — bezkarnie wyrwali go z oprawy i przecięli na czworo. Dla pobożnych obrońców był to wielki szok.

NA ZACHODZIE EUROPY

Jak pisałem już wcześniej, na zachodzie Europy obrazoburstwo odżyło w ruchu husyckim, a następnie w protestantyzmie. Teologowie i wierni kościołów protestanckich — wracając do źródeł chrześcijaństwa — odrzucili kult obrazów i relikwii, gdyż nie ma on uzasadnienia w Piśmie Świętym. U progu reformacji doszło w Rzymie do aktów profanacji, podobnych jak w czasie upadku Konstantynopola. Otóż 6 maja 1527 roku zaciężna piechota niemiecka (lancknechci), po zwycięstwie Karola V nad Francuzami pod Pawią, zdobyła szturmem i splądrowała Rzym (Sacco di Roma). Żołnierze, których większość popierała reformację, pałali nienawiścią do katolicyzmu i Papiestwa. Dlatego z upodobaniem bezcześcili Święte Miasto i upokarzali dostojników kościelnych. Jeden z ludzi cesarza Karola V donosił mu w liście:

„Wszystkie kościoły odarli z ozdób, a relikwie i inne pamiątki wrzucali do ścieków i dołów kloacznych. Nawet najświętsze miejsca zostały splądrowane. Kościół Świętego Piotra i pałac papieski od piwnic po dach obrócono w stajnie dla koni... Wszyscy uważają, że to, co się stało, jest słuszną karą bożą, jako że dwór rzymski tak źle był rządzony... Oczekujemy wieści od Najjaśniejszego Pana, jak należy władać miastem i czy Stolica Apostolska ma w nim być utrzymana, czy też nie."

Papież Klemens VII schronił się w warownej cytadeli — Zamku Św. Anioła (grobowcu cesarza Hadriana). W ciągu 8 dni i nocy doszczętnie złupiono Rzym. Zabijano i torturowano księży, biskupów, kardynałów, gwałcono zakonnice, zrabowano złote i srebrne naczynia liturgiczne, podarto i spalono akta Camera Apostolica.

„Było to tak — pisze autor zachodnioniemiecki — *jak gdyby żołnierze chcieli w ciągu paru tygodni zemścić się za wszystko, co wycierpiało trzydzieści pokoleń w niewoli klasztorów i biskupów."*

Okupacja Rzymu trwała do 17 lutego 1528 roku, czyli przez ponad 9 miesięcy. W ten sposób 74 lata po Konstantynopolu zbezczeszczono drugą stolicę chrześcijaństwa. Miało to duży wpływ na świadomość społeczną i dalszą historię Kościoła. Niektórzy uważali, że nadchodzą czasy panowania Antychrysta. Oceniając sytuację, jaka dotąd istniała w Kościele, papież Hadrian VI (1522—1523) stwierdził:

„Od głowy zepsucie rozprzestrzeniało się na wszystkie członki, od papieża poprzez prałatów, wszyscyśmy zboczyli z prawej drogi; i nie znalazłoby się nikogo, kto dokonałby czegoś dobrego."

Toteż kiedy w latach pięćdziesiątych Paweł IV, wstrząśnięty informacjami o występkach osób, którym ufał, zaczął mówić o konieczności odnowy, kardynał Pedro Pacheco przerwał mu słowami: *„Ojcze Święty, reformę musimy zacząć od siebie samych."*

Pod wpływem Odrodzenia zaszły pewne zmiany w malowaniu obrazów świętych. Artyści średniowieczni — ignorując realia doczesne — zapatrzeni byli w świat pozaziemski. Dzieła ich odtwarzały przeżycia mistyczne (nie dbano przy tym o przestrzeń i czas) i pobudzały do religijnych uniesień. Natomiast obrazy z okresu Odrodzenia są bardziej z tego świata. O ile twórcy ikon dbali, aby Matka Boska była podobna do malowanej przez ich poprzedników, ponieważ wierzyli, że autorem prototypowej ikony był sam św. Łukasz, to renesansowi mistrzowie malowali na świętych obrazach twarze ludzi im znanych.

Już na przełomie XIV i XV wieku pewien artysta flamandzki namalował Matkę Boską z twarzą flamandzkiej kobiety i we wnętrzu flamandzkiego domu. A w połowie XV stulecia Jean Fouquet odważył się namalować na skrzydle ołtarza Matkę Boską w pięknej sukni i z tak dużym dekoltem, że całkowicie odsłonięta była lewa pierś. W dodatku powszechnie wówczas uważano, iż rysy Madonny zbyt mocno przypominają urodę kochanki króla Karola VII. Podobnie Matka Boska z obrazu El Greca „Święta Rodzina", chociaż nieziemsko uduchowiona, stanowi wizerunek jakiejś postaci, którą w kręgu kultury artysty ludzie spotykali. Na początku XIX wieku Francisco Goya, nie zważając na to, że inkwizycja krytycznie ocenia jego prace, namalował w ulubionym kościele króla anioły o pięknych, zmysłowych twarzach znanych w Madrycie kobiet. Para królewska była zakłopotana, lecz zaakceptowała dzieło, zaś wielki inkwizytor stanowczo potępił podniecające freski.

Rewolucje burżuazyjne — religijnie inspirowane ideologią protestancką — odrzucały bogatą obrzędowość katolicyzmu i tworzyły proste kościoły, w których zabrakło miejsca na obrazy. Silny ruch obrazoburczy towarzyszył już pierwszej rewolucji mieszczańskiej 1566 roku w Niderlandach. Powstańcy ostrzegali, że w razie niespełnienia ich żądań będą *„zabijać księży, burzyć kościoły i niszczyć obrazy świętych."* I faktycznie wykonali wyroki na wielu kapłanach, zdemolowali setki kościołów i klasztorów oraz zniszczyli dużo obrazów i posągów świętych, a w tym sporo cennych dzieł sztuki. Warto wiedzieć, że również w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej lud dopuszczał się aktów profanacji. W 1793 r. zniszczono obrazy i rzeźby święte nawet w katedrze paryskiej. Masowo demolowano kościoły, urządzano w nich maskarady antyreligijne, a niektóre zamieniano na świątynie Rozumu. Działo się tak nie tylko w stolicy, lecz także na prowincji. Nie podtrzymał później tej antyreligijności Napoleon Bonaparte. Wprawdzie sam był człowiekiem niewierzącym, lecz będąc przy władzy zrozumiał, że religia jest wciąż popularna, szczególnie wśród kobiet i chłopów, dlatego można ją politycznie wykorzystać. Przywrócił więc katolicyzm jako wyznanie państwowe, ale podporządkował Kościół swym celom. Księża musieli uczyć dzieci na lekcjach religii, że *„Bóg uczynił Napoleona narzędziem swej władzy i obrazem swoim na ziemi..., kto walczy z Napoleonem, ten występuje przeciwko porządkowi ustalonemu przez Boga i zasługuje na potępienie, a dusza jego winna być skazana na wieczne męki piekielne."*

Pod wpływem myśli protestanckiej w katolicyzmie zachodnim zmalała wiara w cuda i osłabł kult obrazów. Hegel pisał, iż oczekiwanie cudu jest głupotą, ponieważ przyjmuje się, że *„boskość interweniuje w sposób jednostkowy i skończony dla celów skończonych i szczególnych"*. Pogląd ten w zasadzie panuje w myśli mieszczańskiej Zachodu, gdzie ludzie liczą nie na cud, lecz własne wysiłki. Inaczej natomiast było w przedrewolucyjnej Rosji oraz w Polsce. Tutaj wciąż gorliwie modlono się o nadprzyrodzone zjawiska i wierzono w cudowną moc obrazów. W 1926 roku w Częstochowie ofiarowano uroczyście złote jabłko i berło Matce Boskiej w dowód wdzięczności za *„cud nad Wisłą 1920 roku."*

W ostatnich latach znowu nasilił się w Polsce kult obrazów i wzrosło pragnienie cudu. Z wielkim religijnym zapałem i uniesieniem śpiewa się w naszych kościołach: *„Słuchaj, Jezu, jak Cię błaga lud, słuchaj, słuchaj — uczyń z nami cud..."* A dziesiątki tysięcy wiernych udają się, jak przed wiekami, do Częstochowy w celu oddania czci Matce Boskiej Hodigitrii. W sytuacji kryzysu wielu innych wartości pozostała jeszcze ta wiara — może średniowieczna, ale ludziom potrzebna, więc wymagająca zrozumienia i tolerancji.

Płacz to zdrowie!

„Płacz, jeśli jesteś mężczyzną!". Być może pewnego dnia usłyszy te słowa mały płaczek, którego dzisiaj strofuje się i wyśmiewa, że „beczy jak dziewczyna". Być może ktoś mu wtedy powie: „Płacz, chłopcze, dzięki temu unikniesz owrzodzenia żołądka, nadciśnienia, zawału serca, alergii, chorób nerek, reumatyzmu, słowem wszystkich chorób wynikających z nerwowego stresu, któremu częściej podlegają mężczyźni niż kobiety, i który skraca im życie. Płacz, łzy eliminują bowiem niebezpieczne substancje wyzwalające się w organiźmie pod wpływem emocji.

Takie hipotezy wysuwa 34-letni chemik, William H. Frey, dyrektor laboratorium badawczego w ośrodku medycznym Ramsay w Saint Paul w stanie Minnesota. Taki wniosek wyciąga dr Frey ze swych długoletnich badań nad łzami ludzi dorosłych. Ten płetwonurek badający nasze wodospady łez nie zawahał się pogrążyć w rozpaczy i oparach z obierzyn cebuli całej armii ofiarnych ochotników. Wszystko po to, aby udowodnić, że skoro płaczemy, to nasz płacz musi się na coś przydawać. Mądrość ludowa już to przeczuwała, ale nauka nie...

WYZWALAJĄCY SZLOCH

Charles Darwin w swej pracy „Przejawy wzruszenia u człowieka i u zwierząt" odróżniał tzw. wyzwalający szloch od łez, które są nieuzasadnionym i ubocznym wydzielaniem wody". Dr Frey dziwi się, że teoretyk transformizmu zapomniał o tym, iż niepotrzebne zjawiska fizjologiczne nie opierają się prawom ewolucji. Gdyby przelewanie łez do niczego nie prowadziło, od wieków mielibyśmy całkiem suche oczy. Łzy nie służą również — mówi nasz chemik — do nawadniania górnych dróg oddechowych, gdy szloch przyśpiesza rytm inhalacji, jak twierdził antropolog, Ashley Montagu.

Gdy się biegnie, można się zadyszeć, ale się nie płacze. Można też mieć łzy w oczach, zanim się zacznie szlochać. Dla biochemika jest rzeczą jasną, że nasze łzy są jedną z reakcji organizmu na stres. Reakcją specyficznie ludzką. Krokodyle, podobnie, jak ssaki, nie płaczą z powodu swych kaprysów, smutków czy boleści. Często mają wilgotne oczy, ponieważ oczy ich wydzielają płyn, który ma nawilżać spojówkę lub eliminować jakieś podrażnienia, ale nigdy nie wyraża stanu ducha.

Nasze dzieci nawet przy urodzeniu nie umieją płakać. Najpierw krzyczą, a dopiero po kilku dniach płaczą. A przecież ich gruczoły łzowe funkcjonują już od urodzenia. „Ale ich system nerwowy jeszcze nie osiągnął dojrzałości" — wyjaśnia William Frey. Łzy podobnie jak inne funkcje biologiczne, takie jak oddychanie, wydalanie moczu czy pocenie się, mają na celu uwolnienie organizmu od substancji toksycznych wydzielanych pod wpływem wzruszeń. Aby to udowodnić, dr Frey przestudiował płacz około 300 ludzi dorosłych. Wszyscy płaczą i płacze się w każdym wieku. Do płaczu przyznają się nawet mężczyźni, którzy najczęściej odczuwają tylko pewną wilgotność na powiekach. Kobiety, które są skłonniejsze do demonstrowania uczuć, płaczą bardziej otwarcie — „dają folgę łzom" przynajmniej pięć razy w miesiącu.

Płacze się o każdej porze dnia, najczęściej między godziną 19 a 22 — jest to czas fizycznego karania latorośli, czas kłótni małżeńskich, ale przede wszystkim czas oglądania telewizji, głównej winowajczyni tych ekscesów. Na szczęście nie trwają one długo — najwyżej sześć minut — tyle bowiem trwa płacz, niezależnie od tego, czy to płacze on czy ona.

Najczęściej — bo w co drugim przypadku — płaczemy ze smutku. Radość wyciska nam łzy częściej niż przypuszczamy — w co piątym przypadku. Ze złości płaczemy w co dziesiątym przypadku, ze współczucia — w co 15 przypadku, z niepokoju — w co 20, ze strachu — w co 40 przypadku. Kobiety są bardziej skłonne do płaczu niż mężczyźni — na 10 kobiet, 7 jest zdolnych wybuchnąć płaczem na komendę; wystarczy, że pomyślą o czymś smutnym... Kobiety zresztą nie umieją powstrzymać się od płaczu — potrafi to zaledwie co druga kobieta, podczas gdy na 10 mężczyzn 7 jest w stanie powstrzymać się od łez. Kobiety zrównoważone płaczą wcale nie rzadziej, niż te, które trapi depresja. Skłonność do płaczu wydaje się raczej oznaką zdrowia. „Większość ludzi cierpiących na choroby wynikające z niepokoju — jak owrzodzenie żołądka czy colitis — stwierdza dr Crepeau z uniwersytetu w Marquette — to ludzie, którzy najbardziej nienawidzą łez i uważają płacz za świadectwo słabości i poddanie się losowi".

Czy niemożność płakania jest przyczyną zaburzeń postaw?

Dla uzasadnienia swej teorii dr Frey cytuje przykład dzieci dotkniętych rzadko spotykaną chorobą dziedziczną dysautomią tzw. rodzinną. Te dzieci płaczą bez łez. Przy najmniejszym wzruszeniu ich reakcje są znacznie gwałtowniejsze, niż reakcje innych dzieci.

Aby jeszcze bardziej posunąć naprzód swe doświadczenia, biochemik każe swym pacjentom płakać. I tak oto pewnego dnia „króliki doświadczalne" płaczą, oglądając w telewizji prawdziwą historię rodziny pionierów szkockich w Ameryce. Bohaterowie tej historii umierają, pozostawiając pięcioro dzieci. Najstarszy, dwunastoletni syn musi walczyć, aby zapewnić młodszemu rodzeństwu dach nad głową i skromne utrzymanie. Co druga osoba na sali szlocha. Innym razem widownia płacze oglądając na ekranie dzieje dwóch piłkarzy, z których jeden umiera na raka w wieku 26 lat. Łzy wylane w czasie seansu filmowego przelewa się do próbek, a następnie analizuje i porównuje z tymi, które płyną ludziom z oczu przy obieraniu cebuli.

NIE TRZEBA SIĘ WSTYDZIĆ

Wyniki są przekonywające: nie tylko sól znajduje się we łzach. Można tam znaleźć także mangan, a zwłaszcza proteiny, które we łzach spowodowanych wzruszeniem występują w ilości większej niż we łzach, których przyczyną są zaburzenia wzroku. Czy łzy zawierają również inne substancje, jak beta-endorfiny, adreno-corticotropina, prolactina lub katekolaminy? Jak wynika z analiz, te substancje wyzwalają się w organiźmie pod wpływem stresu. Dr Frey próbuje je wykryć badając łzy. Niedawno już dwóch uczonych radzieckich odkryło w nich znaczną koncentrację katecholaminów. Dotychczas wyniki ich prac nie zostały potwierdzone. Jeśli okaże się jednak, że w naszych łzach można znaleźć norefrinę wyzwoloną w naszej krwi przez złość lub epinefrinę, którą rodzą depresja i niepokój, nie musielibyśmy się wstydzić płaczu. Panowie, którzy od lat połykają łzy, aby zachować godność, będą wówczas musieli nauczyć się wycierać nos w chusteczkę, ze względów zdrowotnych.

Prof. William H. Frey objął swym eksperymentem kilkaset kobiet i mężczyzn, w wieku od 18 do 75 lat. Poproszono ich, aby w ciągu miesiąca notowali jak często płaczą i z jakiej przyczyny. Spośród 800 kobiet, 40 proc. płacze ze względów emocjonalnych (m.in. z powodu kłótni w rodzinie). 27 proc. płacze oglądając wzruszający film, 6 proc. płacze z powodu smutnych myśli, 1 proc. — z powodu bólu fizycznego (26 proc. nie umiało podać przyczyny). 36 proc. mężczyzn płakało oglądając film, 36 proc. — z powodu złych stosunków międzyludzkich. U 9 proc. mężczyzn łzy wywołane są smutnymi myślami, u 19 proc. — przyczyną łez są inne sprawy. Spośród 40 proc. kobiet płaczących ze względów emocjonalnych, 49 proc. płacze ze smutku, 21 proc. ze szczęścia, 10 proc. ze złości, 7 proc. ze współczucia dla innych, 5 proc. z niepokoju, a 3 proc. ze strachu.

Warto zwrócić uwagę, że czas trwania płaczu jest zależny od przyczyny: ze smutku płacze się 7 minut, z radości — 2,4 min. 85 proc. kobiet twierdzi, że czują się lepiej, gdy się wypłaczą, natomiast tylko 75 proc. mężczyzn odczuwa polepszenie nastroju po płaczu.

Inny jest też sposób płakania u mężczyzn i u kobiet. 50 proc. kobiet czuje, że coś je ściska w gardle, gdy zbiera się im na płacz, natomiast tylko 20 proc. mężczyzn odczuwa to samo. 49 proc. kobiet płacze rzęsistymi łzami, podczas gdy u mężczyzn tego rodzaju płacz występuje tylko w 29 proc. przypadków. W 71 proc. przypadków mężczyźni mają tylko łzy w oczach, co sprawia, że ich płacz trudniej zaobserwować. Prawdziwy konwulsyjny szloch występuje tylko u 14 proc. kobiet i 10 proc. mężczyzn.

MYRIAM MOLON
(„Le Figaro Litteraire")

Polemiki • Opinie • Poglądy

Jeszcze kilka słów o całym tym zgiełku

Piszącemu te słowa w ogólnych zarysach wypada się zgodzić z określeniem tematyki filmu „Cały ten zgiełk" dokonanym przez Pawła Strzeleckiego (Odgłosy 3/83), podkreślam: z określeniem tematu... ale nie z charakterystyką całości tego filmowego dzieła. Albowiem w przypadku tego właśnie filmu, szczególnie właśnie jego, poprzestać na określeniu tematu czy tematów, powiedzieć tylko o czym film traktuje — to tak jakby nie powiedzieć o filmie niczego.

O śmierci, o miłości (lub o jej niedostatku) można co prawda nieskończenie, lecz i tak każde dzieło (literackie czy filmowe) ukazujące śmierć, miłość lub jej poszukiwanie jest tylko pretekstem dla przypomnienia człowiekowi czegoś, co wykracza nieskończenie poza jakąkolwiek formę artystyczną. Wystarczy przypomnieć, dotknąć czułe w każdej ludzkiej psychice miejsce (nie jest to znów tak bardzo trudne) a utwór wypełnia się nie tyle tym, co twórca świadomie w utworze zawarł, lecz treściami jakimi nasyca utwór sam odbiorca, treściami, które jako od odbiorcy pochodzące są zawsze na jego miarę...

Nie w tym więc tkwi szczególna wartość filmu, że opowiada on o śmierci człowieka, że poświęcony jest umieraniu... nie w tym też, że człowiek ten poszukuje poczucia bliskości drugiego człowieka — miłości i nie znajduje jej ani we własnej, rozbitej (chyba przez siebie samego) rodzinie, ani też w ramionach licznych kochanek, gdzie znajduje jedynie fizyczne (jakże krótkotrwałe) zaspokojenie.

Bez trudu można by sobie wyobrazić kiczowaty melodramat wykorzystujący powyższe wątki. Na ogół przecież melodramaty opowiadają o miłości lub pustce jaką stwarza jej brak, często też mówią o śmierci... to najprostszy, najbardziej wypróbowany sposób wyciskania łez z oczu widza, przynajmniej zaś sprowokowania go do popadnięcia w nastrój smętno-egzystencjalnej zadumy nad sprawami ostatecznymi.

Trudno również byłoby twierdzić, że szczególną, samoistną wartość filmu stanowi ukazanie kultury masowej jako interesu jak każdy inny, gdzie liczy się w ostatecznym rozrachunku pieniądz i tylko pieniądz, nie zaś względy artystyczne. Stwierdzenie komercjalizacji kultury masowej jest obecnie truizmem, banałem, który zresztą owa masowa kultura od lat chętnie wykorzystuje. Demistyfikacja show biznesu nie jest już niczym odkrywczym, a i bohater filmu nie widzi w tym problemu, gdyż — jak się wydaje — nie uważa siebie za nikogo innego, jak tylko świetnego specjalistę w branży show, której to branży reguły zna i akceptuje... i bynajmniej nie cierpi z tego powodu.

Zasadniczo więc nie w sferze wyboru tematu tkwi samoistna wartość filmu. Żadne też odkrywcze treści dyskursywne nie wydają się kryć w filmie Boba Fosse'a, przynajmniej z punktu widzenia Europejczyka... Właśnie... z europejskiego punktu widzenia. Trzeba bowiem zauważyć pewien znamienny — jak się zdaje — fakt. Rozkład akcentów tematycznych w filmie „Cały ten zgiełk" pod pewnymi względami bliski jest tradycji europejskiej.

Śmierć na pierwszym planie — śmierć jako proces umierania rozłożony na zróżnicowane pod względem psychologicznym fazy, co więcej, śmierć uosobiona w alegorycznej postaci... jakże to odległe od klasycznego filmu amerykańskiego.

W klasycznym amerykańskim westernie (tym prawzorcu amerykańskiej kultury) wystarczał strzał — człowiek ginął, a akcja toczyła się dalej, śmierć istniała, ale nie była nigdy samoistnym tematem.

Skupienie uwagi na samym umieraniu znamionuje pewną dojrzałość... Nadmierna intensywność życia przyśpiesza tempo zużywania się, starzenia organizmu, tak fizycznie jak psychicznie... przybliża śmierć. Tak się stało w wypadku bohatera filmu — reżysera Joe Gideona. Czy można tedy wysunąć ryzykowne być może twierdzenie, że kultura amerykańska (tak młoda w porównaniu z europejską) osiągnęła już ten etap rozwoju, w którym przeżywa się jako coś ważnego i istotnego świadomość możliwości śmierci...?

Innym przejawem pewnego zbliżenia sposobu artykulacji świata w filmie „Cały ten zgiełk" do europejskiej tradycji jest uczynienie jednym z pierwszoplanowych tematów filmu kwestii ethosu artysty. Co prawda model artysty, jaki reprezentuje reżyser Gideon odbiega przez swoje wyrachowanie i komercjalizm od tradycyjnego, europejskiego vzorca o romantycznej głównie proweniencji, to jednocześnie jest mu bardzo bliski przez zaakcentowanie szczególnej wyjątkowości artysty jako człowieka.

Oczywiście myśl o swoistym „doganianiu" kultury europejskiej przez amerykańską w niektórych chociażby tylko kwestiach jest jedynie hipotezą, której uzasadnienie wymagałoby analizy wielu amerykańskich filmów i nie tylko filmów. A zresztą może ta myśl jest tylko przejawem wybujałego europocentryzmu piszącego te słowa...?

Jedno wydaje się wszakże bezsporne: kryterium nowości i odkrywczości intelektualnej jako wartościujące kryterium w stosunku do sztuki musi być relatywizowane nie tylko w odniesieniu do czasu, ale i miejsca... Dla nas zaś — tu i teraz — samo intelektualne przesłanie filmu nie jest rewelacją. Popadlibyśmy chyba w przerażenie gdyby tak było w przypadku amerykańskiego filmu.

Tym, co stanowi największą wartość filmu jest jego forma — oczywiście nie w oderwaniu od treści. Estetyczna bowiem wartość rodzi się dzięki harmonijnemu, konsekwentnemu a jednocześnie nieskonwencjonalizowanemu jeszcze połączeniu treści i formy.

Nie jest obca naszej tradycji myśl, że umierającemu człowiekowi w szalonym skrócie jawią się przed oczami obrazy z jego życia. Nie jest też nową myśl, że śmierć jest punktem granicznym między czasem a wiecznością, która jest już poza czasem. I te właśnie myśli — same w sobie może nie odkrywcze — zostały we wspaniały, odkrywczy sposób oddane w strukturze filmu, w sposobie narracji w nim zastosowanym.

Charakterystyczną cechą zastosowanej w filmie metody narracji jest niemożność jednoznacznego ustalenia czasu, w którym dzieje się akcja filmu, tak jakby rozgrywała się ona poza czasem. Niespełna dwugodzinny film składa się ze stukilkudziesięciu dłuższych i krótszych (nawet jednoujęciowych) epizodów, w części wciąż nowych, w części powtarzanych bez zmian, a w części zaś przetwarzanych przy każdym powtórzeniu. Niektóre epizody uszeregowane są zgodnie z możliwą w realnym świecie chronologią zdarzeń, niektóre zaś wyraźnie tej chronologii przeciwstawiają się. Jednocześnie o pewnych scenach nie można powiedzieć czy przedstawiają one realne wydarzenia, czy są projekcją marzeń reżysera Joe Gideona.

Taki właśnie sposób opowiadania (notabene, którego pierwowzoru można by się doszukać w filmach francuskiej nowej fali z przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych) sprawia, że odnosi się wrażenie jakby całość akcji filmu działa się w umyśle umierającego Gideona, w jednym jakby momencie, w pewnym sensie już poza czasem, w trakcie przekraczania granicy śmierci... gdzieś na styku przedostatniego i ostatniego ujęcia filmu.

Przedostatnie ujęcie ukazuje Gideona idącego długim i mrocznym korytarzem, w którego rozświetlonym końcu majaczy postać w bieli — postać, która przez prawie cały film wydawała się być personifikacją śmierci (czy słusznie jednak?) Ostatnie zaś ujęcie przedstawia zasuwanie ekspresu foliowego worka z martwym już ciałem Gideona.

Jeśliby przyjąć tezę, że właściwy czas akcji filmu mieści się na granicy obu tych ujęć, to wydaje się prawdopodobne, że film swym przedostatnim ujęciem sugeruje: po drugiej stronie śmierci czeka na ciebie światłość, czeka na ciebie KTOŚ... Nie jest to rzecz jasna teza nowa w europejskiej tradycji kulturowej... i zresztą nie tylko europejskiej.

Wydaje się jednak, że bezpośrednią inspiracją dla twórcy filmu mogła być tu książka (wydana również i w Polsce) „Życie po życiu" R. A. Moody'ego. Autor książki zebrał dużą ilość wywiadów z ludźmi, którzy znajdowali się kiedyś w stanie śmierci klinicznej, lecz których udało się potem szczęśliwie reanimować. W wyznaniach tych ludzi w zastanawiający sposób powtarza się wizja długiego, ciemnego korytarza-tunelu, na którego końcu znajdować się miało światło — światło, o którym mieli przeświadczenie, że miało charakter osobowy (tu na ogół respondenci Moody'ego mieli problem ze znalezieniem właściwych słów), było jakby przepełnione ciepłem i dobrem...

Wracając jednak do sposobu narracji w filmie należy stwierdzić, że dzięki niemu strukturalnie film upodabnia się do utworu muzycznego, posiadającego kilka równolegle prowadzonych wątków melodycznych, posiadającego wyraźny refren, utworu w którym można obserwować wariacyjne przemiany określonych motywów. Utwór muzyczny, choć rozwija się w czasie, jako całość istnieje jakby poza czasem. Swoista muzyczność struktury narracyjnej filmu podkreślona jest oczywiście tym, że „Cały ten zgiełk" jest filmem muzycznym — w potocznym rozumieniu tego określenia.

Nie jest prawdą, że (jak to twierdzi P. Strzelecki) ten film traktujący o śmierci jest w dodatku jeszcze musicalem tylko dlatego, aby spłacić haracz na rzecz komercjalnych wymogów branży filmowej.

Zasadniczy temat filmu: śmierć ojca oraz jego muzyczność (i ta wypływająca ze struktury narracyjnej i ta biorąca się z tego, że film jest musicalem) są z sobą we wspaniałej zgodności — zgodności formy i treści, jaka znamionuje tylko wybitne dzieła.

Cóż jeszcze można po takich superlatywach dodać...? ...świetne zdjęcia, wspaniałe, dynamiczne; inscenizacja, choreografia, muzyka... Wszystko to prawda, lecz jest przecież wiele filmów, o których można by to powiedzieć...

Jedno jeszcze wszakże zasługuje na podkreślenie. Bob Fosse połączył harmonijnie w swoim filmie największe, tradycyjne już atuty kina amerykańskiego — przede wszystkim wielki, przykuwający uwagę widza dynamizm (w dźwięku i obrazie, mający swe źródło wewnątrz kadru i ten powstający w montażu ujęć) z tematem śmierci, kwestiami egzystencjalno-metafizycznymi, które jak dotąd były domeną kina europejskiego. I choć trudno (być może jest to w ogóle niemożliwe) powiedzieć w tych kwestiach coś nowego i odkrywczego, to połączenie olśniewającego widowiska ze sprowokowaniem widza do zadumy i filozoficznej kontemplacji stanowi o możliwości przeżycia estetycznego wysokiej rangi...

Karol Irzykowski twierdził, że istotą medium filmowego jest ruch. „Cały ten zgiełk" jest więc w najwyższym stopniu zgodny z naturą medium filmowego, a jednocześnie jest to film o sprawach niesłychanie poważnych, ostatecznych. Kino europejskie gdy zajmuje się sprawami poważnymi bywa z reguły namaszczone, ciężkie, statyczne (!) — trudne w odbiorze, a więc grzeszące przeciw istocie medium filmu. Bob Fosse uniknął tego niebezpieczeństwa — i to między innymi sprawia, że już teraz można powiedzieć, iż film ten znajdzie znaczące miejsce w historii sztuki filmowej.

CAŁY TEN ZGIEŁK (All that jazz) — produkcja USA, reżyseria: Bob Fosse (kinomani na pewno pamiętają jego film „Kabaret" z L. Minelli w roli głównej).

ADAM BART

Pomagajmy spekulantom!

Wciąż narzekamy na spekulantów. Pomstujemy na blokowanie miejsc w kolejkach, wykupywanie towarów, paskarskie ceny na targowiskach, bazarach i w butikach. Ale czy my sami nie pomagamy spekulantom w uprawianiu ich, jakże zyskownego, procederu? Oto jeden (ale chyba nieodosobniony) przykład.

Dyrekcja ZPDz. „Bistona" postanowiła ułatwić swoim pracownikom zakup towarów, niedostępnych obecnie dla większości pracujących ludzi. Zorganizowała sprzedaż produkowanych w zakładzie dzianin. Wydano więc talony do zrealizowania w zakładowym sklepiku. Na talon taki można było dostać pięć metrów weluru, pięć metrów nistilu oraz koronkową chustę. Towary te można wykorzystać w różnoraki sposób: na spodnie, kurtki, zasłony lub wieczorowe suknie. Niesłychana okazja! Zyskawszy ten niedostępny na rynku towar można przecież ubrać siebie, rodzinę lub ustroić mieszkanie. Rozdzwoniły się więc telefony: a kiedy, a gdzie, od której, po ile... i tak dalej.

Dyrekcja, mając na uwadze doświadczenia lat ubiegłych, kiedy to przed sklepikiem tworzyły się w godzinach pracy gigantyczne kolejki, postanowiła wydawać talony sukcesywnie. Co pewien czas innemu wydziałowi. By nikt nie był pokrzywdzony, zadbano o ciągłość dostaw wszystkich gatunków dzianin. Jednym słowem, raj dla klienta.

Już pierwsze dni sprzedaży zburzyły te idylliczne założenia. Zakładowa stołówka (przy której zlokalizowany jest ów sklepik) oblegana była już od wczesnych godzin rannych, ale nie przez pracowników zakładu. Niezorientowani mówili: to przecież rodziny — żony, matki czy ojcowie. Ale trzeźwiejsi w osądach (lub bardziej zorientowani) opisując niektóre sylwetki mówili: tego i tego można spotkać na bazarach, a ta ma sklepik na tej i tej ulicy. A w zakładzie niektórzy pytają: masz pan talon? Jeden człowiek daje za niego patyka. Jak się pan namyślisz, to przyjdź pan do mnie. Załatwimy od ręki.

Wielu jest takich, co gwałtownie potrzebują forsy. Szczególnie, jeżeli do wypłaty daleko, a pić się chce. Toteż stosunkowo szybko przed sklepową ladą pojawiły się osoby, dzierżące w dłoniach po dziesięć, dwadzieścia talonów. Był nawet podobno ktoś, kto zebrał ich na sumę sto tysięcy. Niezorientowani mówili: — E, czy to im się opłaca?

Ja bym tam za tyle nie kupił. Opłaca się, opłaca, mówili trzeźwiejsi.

I opłacało się dalej, mimo iż talony szybko wzrastały w cenie. Wiadomości z „cichociemnej" giełdy były zadziwiające. Półtora tysiąca, dwa, dwa i pół! A nadchodzące święta spowodowały prawdziwą giełdową hossę. W końcu handlarze dawali za talon trzy, trzy i pół tysiąca, dochodziło nawet do czterech! Mój kolega, który zdołał się zorientować w prawach tego osobliwego rynku, twierdził: najwyższe ceny będą właśnie teraz, przed świętami, kiedy jeszcze krawcy zdążą uszyć na Sylwestra suknie balowe. Po świętach cena talonów spadnie.

I miał rację. W ciągu poświątecznego (a przedsylwestrowego) tygodnia kolejki przed sklepem trochę się zmniejszyły. Nie było już widać stada samochodów, koczujących od rana na zakładowym parkingu. Samochodów, których tablice rejestracyjne wskazywały na to, że ich właściciele przebyli długą drogę. Reprezentowane były Poznań, Koszalin, a bodaj że Szczecin i Gdańsk. Niezorientowanym kręciło się w głowie: — Powariowali! Jechać taki kawał? Czy to się komukolwiek opłaca? Trzeźwiejsi tłumaczyli, że owszem. Bo przecież suknia, zwłaszcza balowa, nie musi kosztować tyle, ile wynika z kalkulacji. A w deklaracji podatkowej można przecież pominąć tak błahy fakt. Okazje takie jak bal sylwestrowy rządzą się szczególnymi prawami. Takimi, jak dni popularnych imienin w kwiaciarniach. Ludzie z prywatnej inicjatywy mają nosa do interesów.

A propos nosa. Niezorientowani podziwiali znakomitą orientację handlarzy. Bo nie we wszystkie dni można było ich spotkać. Przeważnie wtedy, gdy do sklepiku dowieziono nowy towar. Wtedy już od trzeciej nad ranem warowali przy okienku (a później na świeżym, mroźnym powietrzu, bo dyrekcja zakazała wpuszczać ich przed przybyciem pracowników). Skąd oni wiedzą? Trzeźwiejsi tłumaczyli pobłażliwie: znasz pan to przysłowie — jak nie posmarujesz, to nie pojedziesz. Informacje też mają swoją cenę. Bo po co stać pół dnia w kolejce, kiedy na półkach tylko buble? Lepiej dać komuś w łapę, a potem na pewniaka wstrzelić się w odpowiedni dzień.

Sylwestrowe emocje opadły. Opadły też ceny talonów. Ale nie na tyle, by ci, którzy sprzedali je na początku, nie pluli sobie w brodę: po co sprzedałem za półtora? Zgarnąłbym teraz ze dwa i pół. Zmalały kolejki przed sklepikiem, ale ciągle znajdują się nowi klienci. Niezorientowani mówią: — skąd ci ludzie mają jeszcze talony? Czy aby na pewno są one prawdziwe? Trzeźwiejsi (i bardziej zorientowani) na razie milczą.

• • •

Jak się dowiedziałem, metr nistilu kosztuje w sklepiku zakładowym około 250 złotych, weluru 350 złotych. Zainteresowanych zapraszam do butików.

STEFAN JÓŹWIAK

Pierwszy opis polskiej fauny

Mało kto wie, że pierwszy opis fauny polskiej zawdzięczamy naszemu wybitnemu historykowi i geografowi Janowi Długoszowi (żył w latach 1415—1480) rodem z Brzeźnicy — miejscowości leżącej 20 km na zachód od Radomska. W jego opisie fizjograficznym Polski pt. „Chorographia Regni Poloniae", będącym wybitnym i oryginalnym dziełem, które włączył do pomnikowej „Historii Polski", jest między innymi dział poświęcony zwierzętom.

Według Jana Długosza świat zwierzęcy ówczesnej Polski był bardzo bogaty pod względem ilościowym i gatunkowym. Nasz uczony wylicza przede wszystkim zwierzynę łowną, dostarczającą futer, jak lisy, bobry, sobole i gronostaje. Wymienia też żubry, jelenie, dziki i inną zwierzynę na którą polowało się w celu zdobycia mięsa. Znaczna była obfitość ptactwa i mnogość ryb w rzekach i jeziorach, przy czym Długosz wyodrębnia różne gatunki ryb spotykanych w poszczególnych naturalnych zbiornikach wodnych. Pisze także o istnieniu wielkiej ilości zwierząt hodowlanych i pasiek w Polsce.

Przy okazji należy podać, że pracę nad „Chorografią", w której znalazł się omówiony wyżej najstarszy opis polskiej fauny, Ja. Długosz podjął około połowy XV stulecia i prowadził ją przez szereg lat. Ponieważ dla sporządzenia opisu geograficznego naszego kraju nie miał dostatecznych źródeł ani u pisarzy starożytnych, ani u kosmografów średniowiecza czy wczesnego humanizmu, musiał więc wykonać samodzielną i pionierską pracę. Materiał został zebrany na drodze obserwacji i skrupulatnie gromadzonych informacji.

HENRYK SZUBERT

Refleksja nad amatorstwem

Z pojęciem biuletynu informacyjnego kojarzy się zazwyczaj suchy i beznamiętny zestaw faktów, naszpikowany danymi liczbowymi, słowem — coś może nawet potrzebnego zainteresowanemu środowisku, ale najzupełniej obojętnego dla osób postronnych. Okazuje się jednak, że lektura biuletynu może niekiedy stać się czynnością zajmującą, skłaniającą do zastanowienia. Tak ma się rzecz z „Biuletynem informacyjnym" Łódzkiego Domu Kultury.

W skromnej postaci dość niepozornej broszury, na 24 gęsto zadrukowanych stroniczkach wypowiada się czy raczej organizuje trybunę zbiorowej wypowiedzi kolegium redakcyjne, złożone z grona działaczy i pracowników łódzkiego ruchu amatorskiego, dając czytelnikowi przegląd najaktualniejszych bądź najważniejszych wydarzeń z życia placówek kulturalnych, a także przedstawiając problemy nurtujące środowisko animatorów kultury.

Dowiadujemy się więc nie tylko o tym, co się dziś na tym nieprofesjonalnym poletku dzieje, nie tylko poznajemy obecne trudności i kłopoty amatorskiej działalności, ale również, dzięki materiałom publicystycznym, podbudowanym solidną wiedzą o przedmiocie, zyskujemy wgląd w ocenę zjawisk artystycznych w tej, przemilczanej i zaniedbywanej ostatnio, dziedzinie życia.

Budzi zaufanie ton wypowiadanych opinii, daleki od samozadowolenia, przekonują uargumentowane kryteria ocen, stawiające ruchowi amatorskiemu wysokie wymagania na miarę potrzeb naszego czasu i na miarę zachodzących w społeczeństwie przemian. Zespół redakcyjny bowiem nie traci kontaktu z życiem, daje liczne informacje bieżące, komunikaty, recenzje, zasięga opinii praktyków amatorskiego ruchu, nakłania do wypowiedzi kierownictwa zakładów pracy.

Z samego założenia „Biuletyn" stanowi forum wymiany poglądów i opinii stosunkowo wąskiego kręgu instruktorów i działaczy, nie pomniejsza to jednak jego znaczenia dla prawidłowego kierunku rozwoju ruchu amatorskiego, który oby jak najszybciej odnalazł należne sobie miejsce w życiu kulturalnym społeczeństwa.

J. KWIECIŃSKI

W kręgu fantastyki

STAR-CLUB

JAN MASZCZYSZYN

Rykoszet

Jan Maszczyszyn urodził się w 1960 roku w Bytomiu. Tam też mieszka. Ukończył Technikum Samochodowe i pracuje w zawodzie. Zadebiutował we wrześniu 1977 roku na łamach „Nowego Wyrazu". Publikował już swoje opowiadania na łamach „Politechnika" i „Merkuriusza". Opowiadanie „Strażnik" ukazało się w antologii „Spotkanie w przestworzach — 1".

Poniższa nowela jest pierwszym spotkaniem z czytelnikami „Odgłosów", ale wszystko zdaje się wskazywać, że tego młodego autora będziemy częściej gościć na naszych łamach.

M.D.

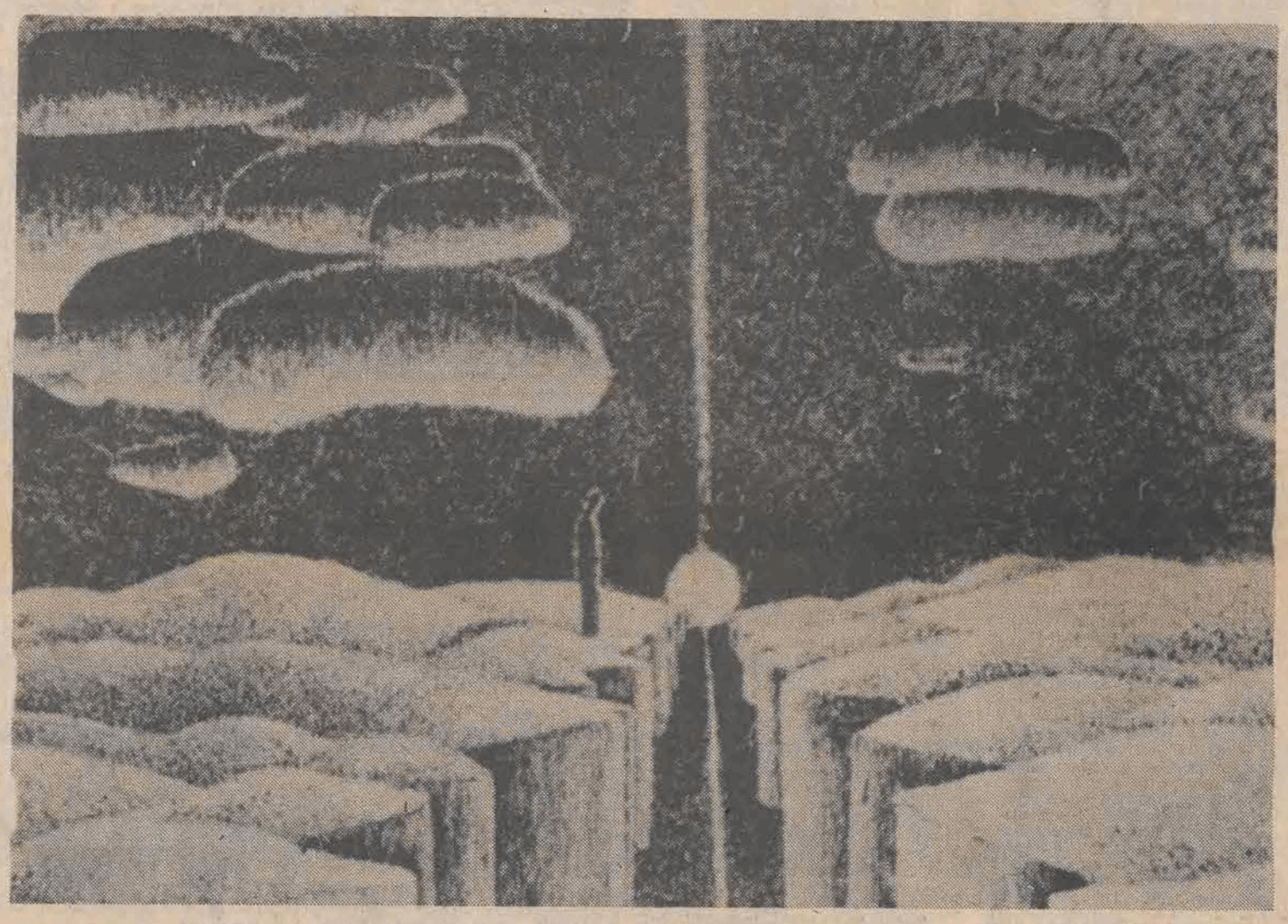

— — — Pękają nieba, rozsiewając ziarna gwiezdnego żaru, sypiąc śnieżycą mgielnych welonów galaktyk w egzagerację ciszy i chłodu. Wkradają się lawiną światła, ciepła i życia kroków niezdarnych. Wykluwa się ów posąg niebotyczny, niezwyciężony!

Sięga do gwiazd, choć ramię jego kruche.

Woła.

I rusza potęgą swoich skrzydeł, śląc w puste i głuche w swej skamieniałej ciszy Uniwersum — pytanie...

Wyszedł z głębokiej ciemności, słaby i przerażony. Opuścił ów świat, z hebanem nocy, przenikliwym zimnem i rozdzierającą ciszą. Wyszedł z westchnieniem ulgi w linii oszronionych ust, choć drżał cały w paroksyzmie bólu stwardniałych mięśni. Bólu, co splatał w stalowej obręczy skurczu rzędy czerwonych włókien, nie pozwalając na swobodny ruch. Stanął więc chwiejnie...

Czuł... Czuł ją z bezpośredniej bliskości, jakby zawisł nad nim cień tej nieokreślonej groźby — zimnej, wyrachowanej bestii.

Smętnie spojrzał w półmrok. Dostrzegał w mdłej poświacie ciała swych kolegów na które rzucały się zachłannie splotami promyków czerwonofioletowego światła kontrolne lampki hibernatorów. Wgryzły się w ich skostniałe twarze, jakby ubliżały temu apodyktycznemu spokojowi, który je tak szczelnie wypełniał.

Leżeli, pełni hieratycznej symetrii, zastygli i... w tym bezsilni, bo martwi.

Podskórny dreszcz, z mściwą satysfakcją przeczołgał się środkiem kręgosłupa. Chwycił go nieprzeparty strach... Opanował go siłą żelaznej woli i wcisnął weń tę animalną dążność do ucieczki przed nieprzejednanym, pełnym zmysłowej brutalności i kontenansu, zagrożeniem.

— — — Był ktoś na tym okręcie... Wróg! Wymordował jego przyjaciół w ich bezruchu i bezgłośnym krzyku. Wkradł się w ich sen i wydarł brutalnie życie...

Całą siłą woli przemógł ból i ruszył przed siebie drobnym krokiem. Wolno ostrożnie, jakby przebijał ciemności ostrzem swego ciała. Potykał się co chwila o najprzeróżniejsze przedmioty i tracąc równowagę, padał na zmrożoną podłogę.

Rozwarł piszczące w zawiasach drzwi z matowanej szyby i stanął oniemiały ze zdumienia. Zobaczył rozdarte ściany korytarza, pozrywane kable i wykręcone w rozpaczy rury... Zamknął drzwi natychmiast. Jakby zorientował się, że do wnętrza statku przez tę właśnie dziurę mogła się wedrzeć wroga i bezwzględna próżnia.

Ale, ale... Wolno, naprężony w skupieniu, otworzył drzwi po raz wtóry. Spojrzał zaintrygowany na wyrwę w ścianie. Poprzez nią dojrzał najbardziej dziwaczny widok, jaki nigdy nie byłby w stanie samoistnie przesunąć się obrazem w jego myślach. Jak gdyby pchnięty osobliwą ciekawością, całą w grubej otoczce strachu, wyszedł i stanął na skrawku ocalałej podłogi, rozglądając się gorączkowo.

Drzwi trzasnęły głucho. Zastygł na moment w bezruchu. Wolno spojrzał za siebie — nic! Pusto... Tylko zimne światło powlekało ścianę z wtopioną w nią taflą drzwi pomarańczowym całunem. Odwrócił się i zbliżył do otworu, patrząc w niemym zachwycie na chmurę wielobarwnej mgły, jednolitej w swej konsystencji, ale jakiejś niesamowitej, gdyż nie naruszając owej zawartości mglanego ciała wychylała się z niej burza zagadkowych kształtów — zwierząt, najdziwniejszych fizjonomii i konstrukcji niezmiernie skomplikowanych w swej regularności, lecz mimo to pięknych.

Dotknął dłonią w skórzanej rękawicy brzegu zniszczonej ściany. Musiało tu szaleć przewyższające wszystko, co dotąd widział, piekło ciśnienia i temperatury, gdyż superwytrzymała ściana wyglądała jak żółwia skorupa, roztrzaskana ciosem pięści tytana. Uśmiechnął się z niedowierzaniem. Jeszcze większym wydał mu się cud jego istnienia. Wychylił głowę i spojrzał w dół... Nic, tylko nieprzenikniona mgła z milionem czy miliardem kształtów zwijających się w skomplikowanych ewolucjach w pomarańczowej otchłani.

Usiadł po chwili na krawędzi ocalałej części podłogi i jego nogi zawisły ponad nieznanym, obcym światem. Zastanawiał się nad swoim położeniem. Bawiło go to nerwowe napięcie i niedorzeczne przerażenie, którym na przemian podlegał. Nie, nie był znerwicowany... Był żołnierzem! Niemal od dziecka wpajano mu wzniosłe, militarne idee, metodykę działań, strategię, psychologię i coś jeszcze..., ale to było już raczej jego własne — ludzką godność! Jako żołnierz niczego tak nie lubił, jak niepewnych skrajnie niebezpiecznych sytuacji. Analizował wówczas wszystkie aspekty sprawy, szukał w niesamowitym spokoju wyjścia, jakby cała ta beczka prochu, na której siedział była małą szachownicą, gdzie prowadził swoją grę. Brutalną grę o życie. Minęło w kompletnej ciszy kilka godzin, zanim zdecydował się na podjęcie konkretnych kroków. Pozostanie na okręcie było bezcelowe. Był wrakiem sunącym w bezwładnej rotacji wokół nieznanego. Tu zginęli jego koledzy i to miejsce stało mu się wstrętne. Postanowił opuścić statek...

Otóż zrobił to natychmiast! Skoczył w tę mgłę, która tak od samego początku go intrygowała. Oczekiwał zagłady i nie był jej przeciwny. Widział w niej wyjście jedyne, aby zachować wieczne idee, jakimi obarczono jego umysł. Nie chciał więc ratować siebie, ale coś, co w rzeczywistości, czy z innego punktu widzenia — powiedzmy laika — było cholerną bzdurą!

— — — Rand — wysłannik geniuszu ziemskiej ewolucji... Rand — ów wspaniały, bitny wojownik wpadł w wir mgieł nieprzenikniętych. Czuje, jak zasklepiają się nad nim całe ich ściany, grzebiąc go w swej piekielnej otchłani...

Zetknięcie z nieznanym było tak nieoczekiwane, że na chwilę stracił przytomność, padając bezwładnie. Rozwarł oczy w atakach torsji. Świat, z którym się tak gwałtownie spotkał, był jakiś nierealny, pozbawiony elementarnych praw fizyki, nie uporządkowany chaotyczny. Nie krył już swego strachu. Jego całe oblicze było jedną wielką erupcją drżeń szlochów i wściekłego ryku.

Nagle wypadł na otwartą przestrzeń, jakby zsunął się wprost z nieba na twardą ziemię, uderzając boleśnie o sterczące tu i ówdzie oślizłe kamienie.

Ukląkł z językiem na wysuszonej, spękanej ziemi, zmieszanej z odłamkami szkliwa czy lodu. Wdzierał się w skurczach dłoni w ten obcy, zmrożony grunt. Potem odepchnął go z obrzydzeniem.

Wstał. Rozejrzał się niepewnie. Najbliższe otoczenie zatopione było w pomarańczowej poświacie. Spojrzał w górę. Fałdy i głębokie bruzdy na niebie wypogodziły się, złagodniały, jak gdyby niebo wydaliło z siebie z ulgą cały wielki ból pękającego wszechświata. Nieśmiało taflę mgły przebijało swymi promykami nie grzejące, blade słońce. Ona niewzruszenie powodzią swego ciała zlewała się z dalekim horyzontem. Zwolna opuścił głowę.

W pobliżu dostrzegł skały, drżące w rozbłyskach lodowych skorup przyozdabiających ich szkarłatne łby. Wbijały się w nieskończoność nieba swymi tępymi szczytami. Jakby ośmielony ich odwagą po chwili zastanowienia ruszył im naprzeciw. Gdy wszedł pomiędzy przytłaczające, cieniste ściany, zorientował się w swej pomyłce.

Było to najprawdziwsze miasto, zatopione w chłodzie szczerej, lodowej pustyni, bezceremonialnie wkradającej się w szerokie ulice igłami drobnego lodu. Miasto, które miało może z dziesięć tysięcy lat. Całkowicie mu obcy kompleks rozdartych budynków. Nie widział w nich piękna, ale czuł intuicyjnie, że tkwi gdzieś pod maską surowych bloków, że rządzi się na tej planecie swoistymi kategoriami.

Urwał myśl... Uśmiechnął się.

Tak, tak — był niegdyś chlubą wojskowej uczelni na Tymostesie.

Szczególnie w dziale matematyczno-fizycznym wykazywał nie wykorzystane zresztą rezerwy ścisłego umysłu i niezmordowanego uporu w dążeniu do wytkniętego celu. No i cóż... Został najzwyklejszym szeregowcem. Nie najszczęśliwiej więc potoczyły się jego losy...

Szedł w chmurze pyłu, rozedrganej w błyskach lodowych drobin. Jego włosy uparcie rozwiewał wiatr, drażniąc gwałtownymi porywami, by po chwili spleść je w jeden wielki chaos.

Ulica stała się nieco szersza. Jej powierzchnię obrzeżoną rzędami na wpół zniszczonych budynków oszpecały mniejsze i większe rumowiska połyskliwych kamieni, sterty żelastwa — pozostałość po skomplikowanych urządzeniach mechanicznych, trochę zardzewiałych blach i ocalała, zakurzona szyba. Przystanął na chwilę, bo ta jej obecność w tym miejscu naprawdę go zaskoczyła. Pochylił się i przejechał palcem po gładkiej powierzchni, pozostawiając na niej czarną wstążkę rany. Ruszył przed siebie, rozglądając się bacznie, wertując rzędy ścian, kupy rupieci, jak karty rachunkowych ksiąg, z konsekwentną dokładnością i... nagle przystanął, zastygł, jak fala gwałtownie ochłodzonej lawy. Przed nim leżał, wsparty głową o niewielki głaz, równie jak on martwy, generał Cyt...!

— — — Puste oczodoły czaszki zieją bezmyślnością, ale on, Rand doszukuje się w nich przenikliwego spojrzenia z gatunku tych, do których przywykł...

Przyklęknął. Dotknął ostrożnie dłonią szarej materii munduru, jakby upewniając się co do jej realności. Potem potarł zapocone z nagła czoło. Znieruchomiał zaszokowany. Tak oto rozsypał w proch jego mit o żelaznym niezwyciężonym charakterze, ideale prostego żołnierza. Oto cel, do którego dążył tak wytrwale przez lata pracy, leżał u jego stóp martwy, pozbawiony tej wiecznej władzy, dumy tak wspaniałej... Wstał i wytarł ukradkiem łzy.

Cały ten świat jakby nic sobie nie robił z zasług generała Cyta dla ludzkości! Razem przecież atakowali niezdobytą planetę w układzie Oleandra, gdzieś w gorącym centrum Galaktyki. Wspólnym wysiłkiem wzięli do niewoli istotę, która miała posłużyć jako czynnik odradzający życie na Ziemi, była jego nadzieją przetrwania. Ona bowiem czuwała nad życiem organicznym, ono z kolei było warunkiem jej istnienia, uzupełnieniem, które uzależniała od swych pozornie bezwzględnych i okrutnych praw. Była wiecznym duchem oszalałego prądu ewolucji, motorem jej spontanicznego biegu, była samym dążeniem do doskonałości. Była matką życia, której na imię Natura. A Ziemi — była po prostu potrzebna!

Pamiętam, jak sierżant Holan powrócił z urlopu, który miał spędzić w rodzinnym gronie... To, co zobaczył na Ziemi, było wstrząsające. Ulice roiły się od trupów roślin, zwierząt i ludzi. Wyły syreny, ludzkie gardła i całe dzielnice pękały w pladze pożarów. Waliły się z hukiem wiszące mosty, wieże i drapacze chmur, opasane gęstą siatką napowietrznych autostrad z grotami stalowych masztów na spienionych falą załamań wierzchołkach.

W domu zastał nieporządek. Nadtłuczone szyby w oknach wpuszczały poprzez szpary połyskawicznych pęknięć bezczelne hordy wiatru, który rozdzierał firany w gwałtownym łopocie. Na podłodze, w pomruku podziemnych wstrząsów dźwięczały stłuczone ozdobne flakony i wazy, zatopione w kłębkach włosów i kupkach złuszczonej skóry.

Jego gardło uchwyciły szczęki przerażenia i ścisnęły w straszliwym krzyku krtań. Znalazł swego chłopca... W łazience, martwego! Wyglądał, jak mały, bezbronny, ale za to straszliwie oszpecony potwór. Rzucił nim gwałtownie, aż chłopiec uderzył z głuchym łomotem o krawędź wanny. Holan przeraził się i z wyciem wściekłości wybiegł z domu. Wsiadł w pierwszy lepszy statek i umknął w kosmos. Już w podróży poczuł się źle i... wiedział, co to oznacza...!

— — — Generał Cyt... Wylądował tu przed dwunastoma tysiącami lat. Próbowali porozumieć się z wami, ale wkrótce odkryli prawdę i zaprzestali. Zostaliście bowiem porażeni ciosem więźnia, który dzięki temu rozdarł strukturę krępujących go pól energii.

W wyniku uszkodzenia systemu energetycznego wszyscy zginęli i jedynie tobie udało się ujść z życiem.

Teraz zostałeś zbudzony...

Rand szedł głęboko zamyślony. Minął plac otoczony rzędami budynków o fantazyjnych, niemal niesamowitych konturach. Dokładnie na samym środku stał kulisty twór... Okręt, jakich wiele budowano niegdyś w stoczniach Tymostesy.

Statek należał do eskorty. To na nim i na tym drugim, pozostającym na orbicie, w oparach pomarańczowej mgły, wyruszyli jako jedyni z ludzi, szukać w kosmosie ostatniej szansy ratunku dla dotkniętej katastrofą Ziemi.

Minęły długie miesiące lotu bez widocznego rezultatu, potem lata... Stracili już nadzieję i resztki sił, gdy po przeszło trzech tysiącach lat nieprzerwanego lotu załogę znajdującą się w głębokiej anabiozie rozbudziły sygnały automatów. Niosły ze sobą radosną wiadomość.

Oto w układzie Oleandra, gwiazda Gamma Dipuri posiadała planetę, która *buchała strumieniem* życia o wspaniałej, niespożytej woli przetrwania. Jak więc potężny i żywotny musiał być duch jej przyrody!

Ziemi pomoc była już niepotrzebna, ale generał Cyt postanowił wypełnić jej ostatnią wolę... Brutalnie wyrwał, pozbawił planetę sensu jej istnienia, a milczące Uniwersum — szczebla patologicznego pędu do doskonałości.

Wracali, gdy...

— Ewolucja stała się niedorzecznością i bezsensem. Gatunek ludzki nie spełnił nadziei Natury, a na stworzenie innego nie wystarczyłoby już czasu.

Zresztą — jak wiesz — on sam, w swoim egoizmie nie pozwoliłby na stworzenie rywala.

Rand patrzył w ich oczy. Były nienaturalnie nieruchome i zimne, choć cała ta bryła skały aż tętniła życiem. Stał u stóp gigantycznej rzeźby z zielonego, niemal przeźroczystego kamienia. Masą skrzepłego w zwikłanych ze sobą odnóżami kamiennego tłumu wzbijał się w niebo, jakby przez to chciał je sprofanować i zgnębić. Tłum ów przedstawiał istoty jakieś zniedołężniałe, niezgrabne, które niegdyś stanowiły dumę planety. Widział ich zestalone w skalny blok twarze. Drażniły go, doprowadzały do furii. On, ten parszywy gatunek kosmicznej inteligencji nigdy nie potrafił niszczyć, pustoszyć, drzeć i ścierać w proch! Jego przedstawiciele nigdy nie byli sobie wrogami!

— A wy? — zapytał z uśmiechem na wynędzniałej twarzy.

— My zostaliśmy stworzeni po to, aby służyć obcym, którzy stoczą się tu z przepaści niebios.

— Nie o to mi chodziło!

— Rasa, która zamieszkiwała bardzo dawno temu ten glob ewoluowała na innych zasadach, niż wasza... Choć może się to wydać niewiarygodne, nigdy nie poznali techniki! To nie była kultura mechaniczna, a nawet więcej: nie opierała się na zdobyczach materialnych, ale na jak najszerzej rozumianej ewolucji duchowej...

— Adorujesz swych twórców — rzucił swarliwie Rand. — To tylko inna droga do tego samego celu! A cóż to jest na orbicie? Czy to nie czasem dzieło rąk twych idoli?! — dodał z odcieniem triumfu.

WSPÓŁREDAGUJE WARSZAWSKI SFAN-CLUB,
ALEJE JEROZOLIMSKIE 2, GROTEKA, 00-375 WARSZAWA

W kręgu fantastyki

— To powstało inaczej, niż myślisz! To zbyt skomplikowana historia, abyś zdołał ją pojąć...

— Wykrętna bzdura! — wyrzucił z siebie wściekle.

— To powstało w wyniku pewnych oddziaływań... Mgła — jak ją nazywasz — otula szczelnie glob, a mimo to światło przenika na jego powierzchnię. Oczywiście — w początkowym etapie swojego istnienia mgła była jeszcze niedoskonała, ale wkrótce jej prymitywny szkarłat zamienił się w pomarańczową doskonałość! Istoty, które tu mieszkały w tym czasie, również stały się inne... Utraciły materialną powłokę... Zniknęły, a wraz z nimi — całe organiczne życie planety! Natura umarła, ale spełniła swój cel, stając się zbędną, gdyż doprowadziła do stworzenia swego duplikatu, który w przyszłości powtórzy...

— Więc my, ludzie... — wyszeptał ze zgrozą — to poroniony plan...?

— Nie jesteście kaprysem Wszechświata, lecz metabolizmem najwyższego rzędu.

Rand rzucił przeciągle, spienione wściekłością spojrzenie. Czuł się tak, jakby cała ludzkość otrzymała potężny policzek.

— Gołosłowie — mruknął.

— Jesteście cyniczni, ograniczeni i... niesamowicie z tych dwóch cech dumni. Gorzej! Jesteście swarliwą kokietką, która lubuje się tylko w bezmiarze pochlebstw. Poznaliśmy was doskonale podczas długich lat budowy miasta i wegetacji w nim. Tak — wegetacji! Takiej prostej i przyziemnej... Wszyscy wymarli... Nawet Ziemia przestała istnieć, a z nią i ludzkość zapadła się w otchłań zapomnienia! Minęło już przecież sześć miliardów lat...!

— Nie! Kłamiesz, przeklęta bryło!

— Jesteś reliktem przeszłości. Skamieliną, którą rozbudzono ze snu...

Rand splunął na zieloną powierzchnię kamienia. Ale on trwał nadal, obojętny, nieczuły i wyniosły. Jak wyrok...!

Rand ryknął wściekle.

— He, he... Nauczyliście nas śmiechu... Ta prymitywna radość jest prócz płaczu wszystkim, na co was stać...

— Podła kreaturo! — wyrzucił z siebie gwałtownie lawinę przekleństw.

— Przestań się drzeć! Cóż jesteś wart, kłębku splątanych neuronów? Cóż warte są twoje prześmieszne idee? Czy jakakolwiek z nich utrzyma w nieskończoność swój sens?!

— A czy znasz jakąś, która...

— Idź w mgłę! Ona cię nauczy... Jak tych, którzy zbudowali miasto.

— Ludzie? — zapytał z uśmiechem kpiny.

— Tak, ludzie! Ale jakby nie oni. To miasto jest inne! Wiesz o tym, ale w swej nigdy nie przezwyciężonej dumie nie przyznasz nam racji. Jednakże jest ono tak kruche, jak niezmiernie blade są wasze wzniosłe uczucia.

— A generał Cyt? Czy nie uważasz, że był geniuszem?

— W pojęciu ziemskim... Bolesny jest dla mnie cel, do którego twe pytanie zmierza. Jesteś prymitywny tak bardzo, że aż śmieszny...

— Więc niech cię boli! Bardzo dobrze! Niech cię boli!

— Czy nie stać cię na więcej? Wiem... Zniszczyłbyś mnie, gdybyś miał czym! Ale nie masz, nie masz tej wielkiej techniki w swoich łapach! Tylko te malutkie, kruche pazurki...

Rand patrzył z bolesnym uśmiechem. Był kruszyną ożywionej materii, jedyną ocalałą komórką organizmu, który już nie istniał. Teraz wielki duch przyrody winien trzymać nad nim swą pieczę. Mógł liczyć na niego. Nie zawiedzie na pewno! On jeden...

— Idź w Mgłę! Ona cię przyjmie i pouczy. Idź!

„Czujesz się zwycięzcą? Tak, przewyższasz mnie inteligencją, doświadczeniem i mocą... I cóż z tego! Ja dalej będę sobą! Będę!" — myślał, idąc ze zwieszoną na piersi głową.

— A jak wytłumaczysz to, co chce zrobić? — wyszeptał, kierując się w stronę miasta, które ostrzem żelbetonowych fundamentów wbili w ciało tej planety ludzie.

Nie! On by się nie poddali! Nie wierzył... Nie chciał uwierzyć!

— — — Jest tylko człowiekiem... Wybaczmy mu ze względu na to... Tylko...

Wypadł w biegu na obszerny plac. Superszybki Krions wznosił się w jego centralnym punkcie, szczerząc w milczącym oczekiwaniu dysze pokaźnych silników. Czekał na kogoś, kto poruszy jego bezwładne, stalowe cielsko i rzuci w kosmos, gdzie stanie się panem przestrzeni.

Rand stanął u jego stóp, czując, że ma przed sobą wiernego psa, warującego w bezgłośnym huku gotowości do spełnienia woli swego pana. Wewnątrz zaskoczył go doskonały stan urządzeń. Szybko i z łatwością dostał się na pokład miotaczy dalekiego zasięgu. Oporządził działo błyskawicznie i z uciechą wyrobionego wojaka. Masywna lufa wyczołgała się z wąskiej strzelnicy na zewnątrz...

Mierzył krótko, pomiędzy dwoma grupami rozlazłych w celowniku domów. Huknęło potężnie. Nigdy jeszcze nie paplała tu w swym monotonnym, przekupczym jazgocie broń, coś, co człowiek stworzył do niszczenia... Rzeźba ścięta w drobne kawałki, wyrżnęła o ziemię, wzbijając tumany kurzu...

— — — ...

Rand zacierał ręce, jak uszczęśliwiony szaleniec. Najlepiej sam zamieniłby się teraz w obelisk ze swej żołnierskiej dumy. Wykonał zadanie i cel został zniszczony! Krzyknął triumfalnie...

— — — ...

Następnego dnia...

— — — Jest człowiekiem... Wybaczmy mu!

Rand szedł przez zimne, zastygłe w bezruchu mroźnego powietrza ulice miasta. Dzierżył pod pachą potężny automat. Czuł się jak zdobywca. Wojna, którą toczył on, samotny agresor, była wojną bez precedensu w historii ludzkości. Szkoda tylko, że były to jej ostatnie karty...

— — — ...

Leżał wyciągnięty na ziemi pokrytej odłamkami szmaragdowej skały. Wdzierał się końcami kościstych palców dłoni w jej porowatą materię, przesyconą zapachem klęski. Nad nim górował niebotyczny gmach rzeźby splecionych ze sobą w jakiejś doskonałej harmonii, ptasich istot. Przeszły dziwaczny metabolizm, ewolucję, zamieniając się ze skalnego obelisku w niemal żywy, skłębiony kształt. Zamarły w radosnej ekstazie, w potędze intelektualnych uniesień, na jakich okrzepła kamienna skorupa, upamiętniając drobny moment w historii ich istnienia, tak dla nich charakterystyczny i znamienny.

— — — Widzisz, jak jesteś słaby! Czy wiesz...? Nigdy nie robiliście niczego dla siebie. Wciąż tylko rzucaliście bezwładnych idei w następne pokolenia, pogrążając je w coraz większej przepaści miernoty. Co z tego, że stworzyliście ogrom cywilizacyjnej budowli, skoro nie dała wam ona szczęścia! Zawsze postępowaliście wbrew sobie! Wchodziliście na drabinę fałszywie pojętej doskonałości, depcząc głowy zbędnych ofiar. A co ściągało was na chęć zagłady? Czy sądziliście, że Wszechświat cały, w swej doskonałej nieskończoności pragnie rozkładu waszej i tylko waszej cywilizacji? Co chcieliście zrobić z nim? Właśnie z nim? Zniszczyć? Uporządkować? A twój organizm? Czyż nie jest chaosem, który porusza się tylko w jeszcze głębszym, niesłychanie dynamicznym, eksplodującym środowisku?! Strukturą zrodzoną w jądrze straszliwego wybuchu...! Jesteś człowiekiem, życiem i ziarnem Natury. Żyjesz dla niej! A przecież odgradzasz się od niej murem wrogości! Daj z siebie odrobinę pokory! Ty, który jesteś jej kruchą nadzieją... Ujawnij wreszcie istnienie w twej cielesnej skorupie niemal doskonałości — umysłu! Unieś powiekę kłamania i pojmij prawdę! Dąż do zjednoczenia z Wszechświatem! Jeden z jego atomów był zarodkiem twojego życia, gdy powstawał... Ty jesteś tak stary jak on, bo jesteś NIM...

Rand uniósł głowę. Spojrzał na skłębione w uściskach dłonie radosne, ptasie twarze. Roześmiał się histerycznie. Powstał i uciekł, wywiesiwszy w odpowiedzi swój długi, czerwony język...

HERBERT GEORGE WELLS (21.09.1866—13.08.1946) to pisarz brytyjski, jeden z intelektualnych olbrzymów naszych czasów. Był we wczesnym okresie swojego życia nauczycielem, studiował biologię. Zaczął publikować w latach osiemdziesiątych i już w 1888 r. wydrukował pierwszy szkic powieściowy The Chronic Argonauts, który w ostatecznej wersji ukazał się w 1895 roku pt. **The Time Machine** (I wyd. polskie pt. **Podróż w czasie**, 1899).

Koniec XIX i początek XX wieku to najwspanialszy okres w fantastyczno-naukowej twórczości Wellsa. Powstaje wówczas większość jego opowiadań SF i najważniejsze powieści, których niezliczone pomysły stały się prototypami współczesnych tematów SF: **Wyspa doktora Moreau** (The Island of Dr Moreau, 1896), **Niewidzialny człowiek** (The In visible Man, 1897), **Wojna światów** (The War of the Worlds. 1898). Do najważniejszych powieści późniejszego okresu należą **Ludzie jak bogowie** (Men Like Gods, 1923).

Najsłynniejszym opowiadaniem Wellsa jest prawdopodobnie **„Kraina ślepców"** (I wersja 1904).

O ile przed 1939 rokiem twórczość Wellsa cieszyła się ogromnym powodzeniem u czytelników i wydawców (oczywiście!), o tyle później zainteresowanie jest dość jednostronne. Po 1945 roku wydano u nas jedynie (mowa o SF): **Niewidzialnego człowieka** (1947), **Opowieści fantastyczne** (1956, 1976), **Wojnę światów** (1958, 1974, 1977), **Pierwszych ludzi na Księżycu** (1959), **Ludzi jak bogów** (1959).

Opowiadanie „Pod nożem" (z r. 1896) wchodzi w skład tomu opowiadań Wellsa **Najeźdźcy z morza**, który ukaże się w tym roku nakładem Wydawnictw „Alfa".

MAREK NOWOWIEJSKI

HERBERT GEORGE WELLS

Pod nożem

„A jeśli pod nim umrę?". Myśl ta powracała uporczywie kiedy wracałem od Haddona do domu. Pytanie było czysto osobiste. Oszczędzono mi głębokich rozterek osoby żonatej, wiedziałem też, że tylko dla niewielu bliskich przyjaciół moja śmierć byłaby kłopotliwa, a to głównie z powodu obowiązku wyrażenia żalu. Kiedy rozważałem ten problem, zadziwiła i ubodła mnie myśl o tym, jak niewielu z nich potrafiłoby przekroczyć konwencjonalne wymogi w tym względzie. Wracając od Haddona, którego dom znajdował się na Primrose Hill, widziałem wszystko w czystym, suchym świetle, pozbawione uroku. Dawni przyjaciele z czasów młodości: zorientowałem się wtedy, że nasze przywiązanie to raczej sprawa tradycji, a spotykaliśmy się aby ją pracowicie podtrzymywać. Dawni rywale i ci, którzy pomogli mi w późniejszej karierze: musiałem być bardzo opanowany albo miałem zimną krew — jedno pewnie zakłada drugie. Nawet umiejętność nawiązywania przyjaźni jest prawdopodobnie związana z konstytucją fizyczną człowieka. Sam kiedyś głęboko bolałem po stracie przyjaciela; ale kiedy tego popołudnia szedłem do domu, emocjonalna strona mojej wyobraźni trwała w letargu. Nie potrafiłem ani żałować siebie, ani współczuć przyjaciołom, ani też wyobrazić ich sobie bolejących po mojej śmierci.

Zainteresowało mnie odrętwienie emocji, bez wątpienia towarzyszące zamierającej fizjologii; myśli powędrowały w tak wytyczonym kierunku. Kiedyś, w burzliwej młodości, utraciłem nagle dużo krwi i znalazłem się o krok od śmierci. Przypominam sobie, że wszystkie uczucia i namiętności wyschły we mnie, pozostawiając zaledwie spokojną rezygnację i cień rozczulenia nad sobą. Upłynęły tygodnie zanim dawne ambicje, sentymenty i pozostałe, skomplikowane problemy człowieka, na nowo usadowiły się we mnie. Teraz znowu brakowało mi krwi; od ponad tygodnia jadłem coraz mniej. Nie byłem nawet głodny. Przyszło mi do głowy, że prawdziwe znaczenie tego odrętwienia to być może stopniowe odchodzenie od kierowania się bólem lub przyjemnością, właściwego zwierzęciu, które tkwi w każdym człowieku. Dowiedziono, bodaj tak skrupulatnie jak tylko można udowodnić coś na tym świecie, że uczucia wyższe, poczucie moralności, nawet subtelne pieszczoty miłości wywodzą się z najbardziej elementarnych pożądań i strachu prostego zwierzęcia: są wędzidłem nałożonym na umysłową wolność człowieka. Niewykluczone, że gdy nadchodzi śmierć, kiedy zmniejsza się nasza zdolność działania, to owo skomplikowane nagromadzenie zrównoważonych popędów, skłonności i niechęci, których gra powoduje naszymi działaniami, odchodzi wraz z nią. Czy coś jednak zostaje?

Nadciągające zderzenie z tacą chłopca od rzeźnika przywróciło mnie rzeczywistości. Zorientowałem się, że przechodzę przez most nad kanałem w Regent's Park, który biegnie równolegle do kanału w Ogrodzie Zoologicznym. Niebiesko ubrany chłopak przyglądał się przez ramię jak biały, wychudzony koń ciągnie zbliżającą się powoli czarną łódź. W Ogrodzie Zoologicznym niańka przeprowadzała przez most trójkę szczęśliwych dzieci. Drzewa były jaskrawo zielone; nadzieja, przychodząca wraz z wiosną nie była jeszcze skalana pyłami lata; niebo w wodzie było jasne i czyste, połamane jednak długimi falami jak drżącymi wstęgami czerni, kiedy przepływała łódź. Wiał lekki wiaterek, który jednak nie zrobił na mnie takiego wrażenia jak poprzednimi laty.

Czy przytępienie odczuwania miało być samo w sobie uprzedzeniem? To dziwne, że potrafiłem rozumować i śledzić drogi moich myśli z niespotykaną jasnością; tak mi się przynajmniej zdawało. Ogarniał mnie raczej spokój niż odrętwienie. Czy istniały jakiekolwiek podstawy by wierzyć w przeczucie śmierci? Czy człowiek bliski śmierci zaczyna się instynktownie wycofywać z sideł materii i zmysłów, zanim jeszcze lodowata dłoń spocznie na jego głowie? Bez żalu poczułem się dziwnie wyizolowany z życia i istnienia, które mnie otaczało. Dzieci bawiące się w słońcu, zbierające siły i doświadczenie do pracowitego życia, stróż plotkujący z nianką, matka, karmiąca dziecko, czująca się do siebie para, która mnie minęła, przydrożne drzewa, wypuszczające młode liście w błagalnym geście do słońca, podmuch w ich konarach — niegdyś stanowiłem tego część, ale ze wszystkim już prawie skończyłem.

Kiedy byłem na Broad Walk poczułem zmęczenie, a stopy ciążyły jak ołów. Było gorąco tego popołudnia, zszedłem więc na bok i usiadłem na jednym z zielonych leżaków, które stoją wzdłuż alejki. Po chwili zapadłem w drzemkę, a zalew myśli przywołał wizję zmartwychwstania. Nadal siedziałem na leżaku, ale już nieżywy, obumarły, obdarty, zasuszony, z jednym okiem wydziobanym przez ptaki. „Wstawaj!" zawołał głos; i w tym momencie kurz w alejce zawirował, a ziemia z trawników zdawała się unosić do góry. Nigdy przedtem nie myślałem o Regent's Park jako o cmentarzu, ale teraz między drzewami jak okiem sięgnąć rozciągała się równina pokryta nierównymi kwaterami grobów i chylącymi się nagrobkami. Coś się działo: powstający zmarli dusili się, torując sobie z trudem drogę ku górze, krwawili z wysiłku, czerwone ciało zrywano z białych kości. „Obudź cię!" krzyknął głos, ale postanowiłem, że nie dam się obudzić, by oglądać podobne okropności. „Wstawaj!". Nie chciano zostawić mnie w spokoju. — No wstawaj żesz pan! — powiedział rozeźlony głos. Dobry duch z przedmieścia! Człowiek pobierający opłatę za leżaki potrząsnął mną, wciskając kwitek.

Zapłaciłem, schowałem bilet do kieszeni, ziewnąłem, wyprostowałem nogi i czując się już mniej zdrętwiały, podniosłem się i poszedłem ku Langham Place. Szybko jednak pochłonął mnie zmieniający się labirynt myśli o śmierci. Przechodząc przez Marylebone Road ku łukowi przy końcu Langham Place, ledwo uniknąłem wpadnięcia pod przejeżdżającą taksówkę i w dalszą drogę udałem się z bijącym sercem i sińcem na ramieniu. Przyszło mi do głowy, że byłoby dziwne, gdyby moje rozmyślania o śmierci mającej nastąpić dopiero jutro ściągnęły ją na mnie dziś.

Nie będę zanudzał was jednak opowieściami o tym, co jeszcze przydarzyło się tego dnia i następnego. Coraz bardziej byłem przekonany, że umrę podczas operacji; czasami myślę, że chciałem przyjąć taką pozę wobec siebie samego. W domu zastałem wszystko przygotowane: z pokoju uprzątnięto zbędne przedmioty i zawieszono białe prześcieradło; zgłosiła się już pielęgniarka i nawet zdążyła pokłócić z gospodynią. Nalegały żebym wcześnie poszedł spać i po chwili oporu uległem.

Rano byłem bardzo rozleniwiony; i choć przeczytałem listy i gazety dostarczone poranną pocztą, to nie zdołały mnie zainteresować. Był wśród nich przyjacielski liścik od Addisona, starego kolegi szkolnego, zwracający mi uwagę na dwie nieścisłości i błąd drukarski w mojej ostatniej książce oraz list od Langridge'a, w którym dał upust swej złości na Mintona. Pozostała korespondencja poświęcona była sprawom zawodowym. Wypiłem filiżankę herbaty, ale nie chciałem niczego jeść. Ból w boku zdawał się bardziej tępy. Wiedziałem, że to ból, a jednak, jeśli potraficie to zrozumieć, nie wydawał się zbyt dokuczliwy. W nocy nie spałem, było mi gorąco i miałem pragnienie, ale rano czułem się dobrze w łóżku. Noc przeleżałem rozważając rzeczy minione; ranek przedrzemałem rozmyślając o nieśmiertelności. Haddon przyszedł punktualnie co do minuty, niosąc schludną torbę; wkrótce zjawił się też Mowbray. Ich przybycie trochę mnie ożywiło. Zacząłem się interesować przygotowaniami. Haddon przysunął do łóżka mały, ośmiokątny stolik i odwróciwszy się szerokimi plecami, zaczął wyjmować z torby swoje rzeczy. Usłyszałem lekki stuk metalu o metal... Stwierdziłem, że moja wyobraźnia nie była wcale uśpiona. — Czy będzie bardzo bolało? — spytałem wprost. — Ani trochę — odpowiedział przez ramię Haddon. — Podamy Ci narkozę. Masz serce silne jak dzwon. — Kiedy mówił, poczułem słodkawo-gryzący zapach chloroformu.

Położyli mnie, wygodnie odkrywając bok i zanim zorientowałem się co się dzieje, podano mi chloroform. Początkowo palił w nozdrza i miałem wrażenie, że się duszę. Wiedziałem, że umrę — a teraz nadchodził kres świadomości. Nagle stwierdziłem, że wcale nie jestem przygotowany na śmierć; miałem niejasne przeczucie, że nie dopełniłem jakiegoś obowiązku — nie wiedziałem tylko jakiego. Czegóż to nie zrobiłem? Nie potrafiłem wymyśleć niczego co jeszcze bym chciał zrobić, niczego, czego można by pragnąć w życiu; a jednak czułem tę przedziwną niechęć umierania. Zaś odczucie fizyczne było boleśnie uciążliwe. Lekarze nie wiedzieli oczywiście, że mnie zabiją. Możliwe, że się szamotałem. Potem leżałem bez ruchu i ogarnęła mnie wielka, potworna cisza i nieprzenikniona ciemność.

Z pewnością musiała nastąpić przerwa w mojej świadomości, która trwała kilka sekund lub minut. Potem z lodowatą, ale pozbawioną emocji jasnością stwierdziłem, że nie umarłem. Nadal byłem w swoim ciele; jednak wszystkie niezliczone wrażenia, napływające od niego by stać się tłem mojej świadomości zniknęły, od wszystkiego mnie uwalniając. A jednak nie od wszystkiego, ponieważ jak dotąd coś jeszcze łączyło mnie z tym nieszczęsnym, zesztywniałym ciałem na łóżku — łączyło mnie jednak na tyle silnie, bym się nie czuł oddzielony od niego, odeń niezależny i oddalający się z wysiłkiem. Zdaje się, że nie widziałem ani nie słyszałem, dostrzegałem jednak co się działo, miałem wrażenie, że widzę i słyszę. Haddon pochylał się nade mną, Mowbray był z tyłu; skalpel zaś — a był to pokaźny przyrząd — rozcinał mój bok, tuż pod pracującymi żebrami... Z zaciekawieniem obserwowałem jak mnie przecinają zupełnie jakbym był serem — bez ukłucia bólu, nawet bez niepokoju. Zainteresowanie to miało w sobie coś z przyglądania się grze w szachy dwu nieznajomych. Twarz Haddona była skupiona, a dłoń spokojna; ze zdziwieniem jednak spostrzegłem (nie wiem w jaki sposób), że miał zasadnicze wątpliwości, co do tego jak powinien przeprowadzić operację.

Mogłem również zobaczyć myśli Mowbraya. Myślał o tym, że ruchy Haddona zdradzają specjalistę. Nowe pomysły pojawiały się jak bąbelki w pieniącym się strumieniu rozmyślań i pękały jeden za drugim w małym, jasnym punkcie jego świadomości. Nie potrafił powstrzymać się przed dostrzeżeniem i podziwianiem szybkości ruchów i sprawności Haddona, nawet mimo swojego zazdrosnego usposobienia i skłonności do pomniejszania czyichś zasług. Zobaczyłem odsłoniętą wątrobę. Zadziwił mnie mój stan. Nie czułem się umarły, ale w pewien sposób byłem odmienny od siebie żyjącego. Szare przygnębienie, które ciążyło mi od ponad roku i zabarwiało wszystkie moje myśli teraz zniknęło. Postrzegałem i myślałem wyzbyty z wszelkiego rodzaju emocji. Zastanawiałem się, czy inni podobnie widzieli rzeczy pod wpływem działania chloroformu i czy zapominali o nich po obudzeniu. Byłoby to bardzo krępujące zaglądać do niektórych głów i nie zapominać.

Choć nie myślałem, że już po mnie, to jednak nadal jasno czułem, że niedługo to nastąpi. Ponownie zwróciłem uwagę na ruchy Haddona. Przyjrzałem się jego myślom i zauważyłem, że boi się przeciąć odgałęzienie żyły wrotnej. Moją uwagę oderwały od szczegółów dziwne zmiany zachodzące w jego głowie... Świadomość Haddona podobna była do drgającej plamki światła, rzucanej przez lusterko galwanometru. Myśli przebiegały pod nim jak strumień, jedne przez jasny środek, inne w półmroku obrzeża. Teraz to małe świecenie było ustabilizowane, ale wystarczył najmniejszy ruch Mowbraya, najcichszy odgłos z zewnątrz, nawet najdrobniejsza różnica w wolnym poruszaniu się ciała, które operował, by wprawić plamkę światła w drgania i wirowanie. Nowe wrażenie przemknęło w strumieniu myśli i plamka światła natychmiast rzuciła się w tym kierunku, szybciej niż spłoszona ryba. I pomyśleć, że od tego niestałego, kapryśnego punktu zależały skomplikowane ruchy człowieka, a zatem że przez następnych pięć minut moje życie zależy od jego ruchów. Haddon był coraz bardziej zdenerwowany. Wyglądało to jakby mały obrazek przedstawiający przeciętą żyłę stawał się coraz jaśniejszy i walczył o wyparcie z jego głowy innego, tym razem z cięciem, które chybiło celu. Bał się: jego strach przed wykonaniem cięcia za małego ścierał się z obawą, że może przesadzić.

C.d.n.

KOLUMNA AJENCYJNA

Do Pana Ajenta II

list bogato ilustrowany

Wielce Szanowny Panie Ajencie III

Wyczytałam, że poprzedni ajent opuścił firmę, pozostawiając Panu zarówno aktywa, jak i pasywa. Zadziwiające jest wszelako, że ani słowem o mnie nie wspomniał, choć należę do jednych bądź drugich — do wyboru.

Moja historia jest prosta i wzruszająca. Opiszę ją krótko, ale za to z obrazkami.

Kuzyn Ajenta I (patrz obrazek 1) uwiódł mnie, uczciwą dziewczynę, całując po rękach i bajdurząc o dozgonnej miłości. Też go zresztą kochałam naiwna, zwłaszcza (patrz obrazek 2), że nieustannie obiecywał małżeństwo. Ten palec widoczny na zdjęciu do dziś wskazuje na wiarołomcę, mała to jednak dla mnie pociecha.

Wuj tego łajdaka, czyli poprzedni ajent, obiecał mi („na

odczepnego" — tak powiedział, niby jakie jaśniepaństwo) dział recenzji teatralnych. Żadnej co prawda jak dotąd nie napisałam, ale przygotowałam konkurs i w ogóle przygotowałam się wewnętrznie do tego spotkania z wielką sztuką. A teraz co, figa?

Nie mogę zmarnotrawić reszty życia z rękoma zaplecionymi na brzuchu (patrz obrazek 3, z tym, że druga para dłoni jest już nieważna, te dłonie pochodzą z minionego okresu) dlatego chciałam zapytać Pana uczciwie: czy woli się Pan ożenić ze mną w zastępstwie, czy też ma zostać, jak jest? Wolałabym ślub (palec można obciąć, a Panu domaluje się brodę i wąsy), albo nawet tak, jak na tym pierwszym zdjęciu, ale jeśli mus, to mus, w ostateczności mogę nawet pójść do teatru. Pełna oczekiwania

R-ecenzentka-A

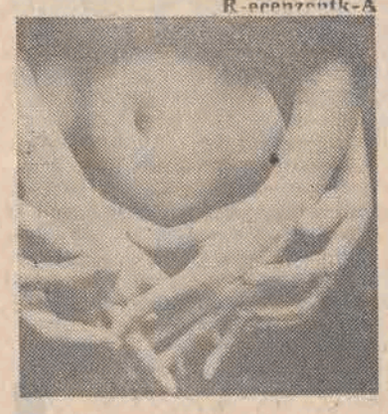

Jeszcze jedna zapomniana rocznica

SŁOWO WSTĘPNE
(część druga)

Realistyczna ocena ówczesnej rzeczywistości, która wyraźnie dochodzi do głosu w wielu utworach Łasiczki — sprawia, że jego twórczość ma także dodatkową wartość dokumentalną i stanowi trwały wkład do skarbca postępowej literatury polskiej z okresu między dwiema wojnami.

Sytuacja Kaliksta Łasiczki była uwarunkowana historycznie. Znajdował się w opozycji — najczęściej cichej — do władz sanacyjnych, które nie pozwalały na prywatne sianie tytoniu. A Łasiczka lubił nabijać swoją fajkę własnym tytoniem! Nic tedy dziwnego, że jako opozycjonista tym bardziej nie miał dostępu do druku — urabiano mu opinię notorycznego grafomana, jego utwory krążyły jednak w licznych odpisach między znajomymi i przyjaciółmi. Niektóre z nich osiągnęły zawrotną ilość tych odpisów! Np. jego czterowiersz „Plomba Agnieszki" miał ich, jak utrzymuje znany łasiczkolog, dr Artur Sandauer z Samobra, bodajże 2164! Zresztą, jeszcze nie tu miejsce na ostateczne dane, gdyż poszukiwania trwają. Jak mnie poinformowano, Instytut Badań Literackich opracowuje zbiorowe wydanie pism Kaliksta Łasiczki. W tej chwili trwa dyskusja nad uzasadnionym włączeniem tej twórczości do któregoś z nurtów literatury naszego dwudziestolecia.

Zanim otrzymamy zbiorowe wydanie pism, chciałbym choć w skromnej mierze wynagrodzić swemu przyjacielowi krzywdę, jakiej doznał za życia. A krzywdę tę odczuwał nieraz bardzo dotkliwie!

Niektóre z tych utworów były już przeze mnie drukowane sporadycznie w latach 1946—48 w następujących czasopismach: „Szpilki", „Rózgi", „Nowiny Literackie", „Dziennik Łódzki". Zwracałem się też w owych czasach do redaktorów innych pism, ale, niestety, bezskutecznie. Widocznie zbyt żywa była jeszcze pamięć dawnych waśni, animozji, grupowych przynależności, sporów i uprzedzeń.

Dopiero przed dwoma laty jedną z fraszek wydrukowało jedno ze stołecznych pism, przypisując ją jednak... Janowi Brzechwie. Znacznie serdeczniej zajął się spuścizną poetycką Łasiczki łódzki tygodnik „Odgłosy", drukując w latach 1958—59 szereg jego wierszy i fraszek.

Przypisy, komentujące poszczególne utwory, opracowała mgr Maria Cackiewiczówna, pracownik naukowy wspomnianego wyżej Instytutu Badań Literackich, której na tym miejscu składam serdeczne podziękowanie.

Ale najważniejsze są same wiersze, fraszki i fragmenty. Niech zdobywają sobie czytelnika!

JAN HUSZCZA
Łódź, Osiedle Literackie

DO AGATY P...

Kto raz cię ujrzał,
ten jeden zna to,
że żyć bez ciebie
ciężko, Agato!

Chciałbym ja zostać
kurką czubatą,
którą co rana
karmisz, Agato...

Jeśli do Wisły
jedziesz na lato,
to w Wiśle willą
chcę być, Agato!

Chciałbym ja zostać
tą białą watą,
którą do ucha
wkładasz, Agato...

I przed tą willą
chcę też być matą,
o którą nogi
wytrzesz, Agato...

Choć wiem, że każda
kobieta ma to,
chciałbym od ciebie
jeno, Agato!

Szczęśliwa mama,
szczęśliwy tato,
którzy poczęli
ciebie, Agato...

Księżyc się leje
srebrną poświatą,
lecz ty z Klemensem
chodzisz, Agato...

O, mego życia
serdeczna strato,
zorzanozłota
moja Agato!

KIEDY UMRĘ...

Kiedy umrę, pochowajcie
przed starostwem mnie na skwerze —
do rąk tęczkę moją dajcie,
a gitarę szef niech bierze.

Z meldunkowej księgi potem
mnie wykreślcie przepisowo,
pamiętajcie także o tem,
że Cackiewicz ma wyjść z mową.

Niechaj wszyscy referenci
mają wolne popołudnie
i, na czułej znak pamięci,
niech Helenka moja schudnie!

Niechaj wierzba ta zajęczy,
co na skweru stoi straży...
Wam niech błyśnie wstęga tęczy
jak podwyżka nagła gaży!

MARZENIE PIERWSZE

I ja bym siedział nad strumyczkiem
w upalne nasze, wiejskie lipce,
po dźwięcznych strunach rypał smyczkiem,
lecz ktoś mi ukradł, psiakrew, skrzypce!

WYCINANKI

Porozumienie

Reporterka **„Tygodnika Powszechnego"** Ewa Berberyusz odwiedziła klasztor kapucynów, gdzie odbywała się msza duszpasterstwa akademickiego. Oto początek jej reportażu zatytułowanego **„Skaczcie nam do gardła"**.

„Przez drzwi przebija smuga światła i w powstałej szparze widać jakby kadr szkolnej klasy, jej szmer, ławki, a w nich stłoczone postaci w czarnych sutannach. „Kogo"? reaguje ktoś z brzegu wyrazistym szkolnym szeptem na moje nie wypowiedziane pytanie. „Andrzejewskiego", odpowiadam w tej samej tonacji".

Było to porozumienie niewątpliwie telepatyczne. Nie każdemu to się udaje. Tylko tym, którzy potrafią zobaczyć światło przebijające przez drzwi. A na dodatek jeszcze szmer.

Dyplomata

Zbigniew Boniek święta spędzał w kraju. Przy okazji udzielił kilku wywiadów. Między innymi bydgoskim **„Faktom"**. Wywiad ten nosi tytuł: **„Może będę trenował w Bydgoszczy"**.

— „Ach... może kiedyś — mimo wszystko — będę trenował w Bydgoszczy. Byłoby to ciekawe..." — powiedział Boniek.

Uradowanym kibicom z Bydgoszczy donosimy nie bez złośliwej satysfakcji, że w Łodzi Zbigniew Boniek obiecał trenować piłkarzy Widzewa. Może się — mimo wszystko — zdarzyć, że przy kolejnym wywiadzie ten utalentowany piłkarz obieca trenować w... (tu można wstawić dowolną nazwę miasta).

Metoda

W **„Razem"** Marian Butrym rozmawia z **„Kasą chorych"**. **„Kasa chorych"** — wyjaśnijmy to niezorientowanym — jest zespołem muzycznym. Na pytanie o publiczność i jej reakcje rozmówcy opowiadają zdarzenie z Poznania.

— „Gramy utwór „Polski blues", nastrojowy, dramatyczny, a w sali „Areny" zabawa w najlepsze. Rysiek Skiba się wkurzył i krzyknął: „Siadać na dupę i słuchać!". Potem któryś z recenzentów napisał, że zachowaliśmy się wulgarnie. Może nie była to odzywka delikatna, ale poskutkowała. Siedem tysięcy ludzi usiadło, wysłuchało utworu. I była to jedyna metoda, żeby zaczęli słuchać, myśleć, w ogóle zastanawiać się nad muzyką".

Sztuka w tym, aby w odpowiednim momencie znaleźć odpowiednie słowo.

Spryciarze

Kupowanie prezentów jest trudną sztuką. To co podoba się dającemu nie musi trafiać w gust obdarowanego. Kupowanie prezentów dziś jest arcytrudne. Nie ma co kupić. Więc coraz częściej daje się pieniądze zamiast prezentu. I po kłopocie. Tak zrobiły Polska Federacja Sportu i Fabryka Obuwia Sportowego POLSPORT w Krośnie. Zwycięzcom plebiscytu **„Przeglądu Sportowego"** zafundowały przekazy pieniężne.

Natomiast firmy polonijne JOKOL z Łodzi, DAMART z Bielska-Białej i ADREMA z Nowego Sącza wpadły na jeszcze lepszy pomysł. Obdarowały redakcję „PS" pieniędzmi i obarczyły obowiązkiem... kupienia prezentów.

Jesteśmy ciekawi, co też kolegom z „PS" udało się dostać?

Nowa taktyka Krakowa

W **„Żywociku Literackim"** (stały dodatek do **„Życia Literackiego"**) znaleźliśmy następującą notatkę:

„Z łódzkich telewizyjnych „Wiadomości dnia" dowiedzieliśmy się, że „prezydent Łodzi przeprowadził nie zapowiedzianą wizytację dzielnicy Widzew". Niedługo naczelnicy dzielnic i gmin będą też przeprowadzać nie zapowiedziane wizytacje swoich poletek, tak jakby swoją obecnością robili mieszkańcom łaskę".

Od dawna wiadomo, że krakusy czepiają się warszawiaków. Teraz zaczęli czepiać się łodzian. Skąd taka zmiana? Co się za tym kryje?

ZGUBIŁA GO UCZCIWOŚĆ

Fakt, że poprzedni Ajent tej kolumny zrezygnował z jej prowadzenia, nie powinien był mnie zaskoczyć. Niemal wszyscy ajenci swoje „interesy" prowadzą krótko choć intensywnie. Zazwyczaj — po roku lub dwóch — odchodzą, przekazując „interes" następcy. Odchodzą suto obłowiwszy się, zrobiwszy wielkie pieniądze, nazbierawszy sporo asygnat z wizerunkami królów polskich i prezydentów Stanów Zjednoczonych.

Ajenta z tej kolumny „Odgłosów" zgubiła uczciwość. Nie dość, że nie brał pieniędzy za zamieszczane u siebie teksty, jeszcze za nie płacił. Więc nie należy się dziwić, że stracił nie tylko włożony w rozruch „interesu" kapitał, ale stargał przy tym nerwy, schudł, opuścił się towarzysko, prócz herbaty (smoła!) nie brał do ust innych (zgrozo!) płynów, w końcu opadły go męczące majaki (powtarzał coraz częściej i bez związku: Zreformować myślenie! Wprowadzić kartki na intelekt! itp.). W tej sytuacji stało się oczywiste, że rzuci w końcu ten cały majdan i pójdzie z torbami, jak to przedstawiłem na rysunku.

I poszedł, a właściwie wrócił do dawnej firmy na państwową posadkę z cienką herbatką, do wysłużonego biurka i służbowej obsadki. Ech, życie, życie.

Przesyłając niniejszy list do nowego Ajenta tej kolumny, życzę mu, aby okazał więcej inwencji w zdobywaniu dóbr doczesnych, a także aby pamiętał, iż niżej podpisany był skromnym podnajemcą niewielkiej działki umożliwiającej mu chudą egzystencję.

Z wyrazami szacunku:
DZIADEK GIENIO

Prosto z głowy

SŁOŃCE WSCHODZI NA ZACHODZIE

1

Bajkopisarstwo ma swoje okresy świetności. Ma swoje okresy dominacji nad pozostałymi rodzajami twórczości. Bywa, że zastępuje nauki humanistyczne, wciska się do ścisłych.

Bajkopisarstwo w dziedzinie socjologii może się dobić na nierozeznaniu w nastrojach społecznych przez tych, którzy w owych nastrojach powinni być rozeznani.

Bajkopisarstwo w ekonomii może się odbić na liście płac

2

Nierozeznanych w nastrojach zawsze można zastąpić tymi, którzy się rozeznać potrafią (przynajmniej na początku).

Jedną listę płac zastąpić inną jest znacznie trudniej. Wyrugowanie bajkopisarstwa z ekonomii bywa sprawą niewykonalną.

3

Bajki są tak stare jak ludzkość. Niektórzy twierdzą, że starsze. Spór kto kogo stworzył — ludzkość bajki czy bajki ludzkość — wcale nie jest pozbawiony sensu. To przecież bajki stworzyły czarownice, które rzeczywiście ginęły tysiącami na stosach.

Świadkowie w procesach o czary rzeczywiście widzieli demony, z którymi czarownice, wstyd powiedzieć co wyprawiały.

Powoływanie się więc na rzeczywistość jako kryterium ostateczne może być zawodne.

4

Ostatnie procesy o czary odbywały się u nas całkiem niedawno. Pamiętam jak niektórzy skandowali w kilka lat później, gdy już można było skandować indywidualnie: „Nigdy więcej procesów o czary!".

Pięknie. Nigdy więcej!

5

Niedługo przed wybuchem pierwszej wojny światowej pobierałem nauki u pewnego znanego privat — docenta w Heidelbergu. Wiele nie zdążył mnie nauczyć, ale wpoił pewną zasadę filozoficznego myślenia. Brzmiała ona mniej więcej tak: Słońce od milionów lat wschodzi na wschodzie, ale to jeszcze nie jest dowodem, że pewnego dnia nie wzejdzie na zachodzie

Xawery

1 Spojrzenie znad szachownicy

Tajny ajent

Sąsiednia strona, jak zauważyłem, ma obecnie nowego ajenta i może to nawet dobrze, poprzedni bowiem był nad podziw marudny. Nic, tylko łaził za mną i powtarzał: — Szanowny Kolego Redaktorze Jerzy P., może coś dla nas uprzejmie napiszecie...

Może bym nawet i napisał, jednak nie z uprzejmości, a za pieniądze, wszelako od tego „szanowno-kolego-redaktorowania" robiło mi się mdło. Diabli wiedzieć czemu uważa się u nas powszechnie, że gadać o forsie można co najwyżej z krawcem — kiedy chce się na przykład uszyć porządny garnitur — ale już nie z dziennikarzem, w żadnym zaś przypadku z literatem. Z pomienionymi konferuje się raczej o koncepcjach, porusza też rozmaite aspekty, płatniczy uparcie pomijając, gdy wiadomo nie od dziś, że taki — powiedzmy — Balzak napisał to i owo ponaglany przez lichwiarzy, a wiele innych niezłych kawałków powstało po prostu na zamówienie poparte, bywało, zaliczką.

O zaliczkach trudno dziś marzyć, świat bowiem zurzędniczał, mam jednak nadzieję, że kolega Ajent II pojmie poczynione wyżej aluzje i będzie wiedział, od czego rozpoczynać rozmowy, a na czym je kończyć.

2.

Jako osoba z zewnątrz, na tych łamach poniekąd prywatna, nie wtrącam się oczywiście w sposoby, jakimi pismo werbuje najemników, to jest, pardon, chciałem powiedzieć współpracowników. Mimo to zwrócił moją uwagę drobny inserat zamieszczony na 14 stronie w drugim tegorocznym numerze „Odgłosów", tym już 15-złotowym, a więc o 5 złotych sympatyczniejszym.

Brzmiał jak następuje:

„Redakcja „Odgłosów" odda w ajencję niniejszą kolumnę.
Oczekujemy na oferty!
Mile widziane referencje!"

Ogłoszonko zostało złożone drobnym drukiem i zamieszczone w kąciku kolumny, co świadczy, że autorzy znali światłe wskazania Parkinsona, koncepcje zrodzone w paskudnym kapitalizmie trzeba jednak przy pomocy tak zwanej pracy myślowej umieć przystosowywać do naszej rzeczywistości. Tego nie uczyniono wszelako, stąd naiwny apel o referencje.

Ludzie kochani, referencji może żądać brytyjski lord, gdy angażuje kamerdynera, natomiast gdy pani dyrektorowa angażuje gosposię, referencji żąda ta ostatnia, działa tu bowiem prawo podaży i popytu. W rezultacie gosposia może przebierać w dyrektorowych, natomiast dyrektorowe — których mamy okropne mnóstwo — nie mogą przebierać w gosposiach, co jest skądinąd demokratyczne i logiczne.

3.

Podobnie z ajentem. Jeżeli rzeczywiście ma kwalifikacje, to on jedynie ma prawo żądać referencji od redakcji, po chamsku zapytując na przykład, czy sekretarz takowej ma zaświadczenie o niekaralności oraz dyplom ukończonych z wyróżnieniem kursów bon tonu. Posiadać referencje — i mieć zarazem ochotę na ich pokazywanie — może natomiast jedynie ajent nie nadający się absolutnie do niczego: idę na przykład o zakład, że ajent poprzedni otrzymał opinię tym lepszą, im gwałtowniej firma chciała się go pozbyć...

Zważcie też, najmilsi, że słowo „ajent" i „agent" są nie tylko bliskobrzmiące, ale i bliskoznaczne, a czy wyobrażacie sobie prawdziwego agenta z referencjami? I kto ma je właściwie wystawić: pracodawca czy może kontrwywiad, jeżeli łobuza agenta na gorącym uczynku złapał? Brzmiałyby one mniej więcej tak:

„Niniejszym zaświadcza się, że obywatel agent X-125 (83) 111 D jak d..., został rozszyfrowany, zatrzymany, a następnie prawomocnym wyrokiem sądu — skazany. W zakładzie karnym zachowywał się nienagannie."

Brzmi to ładnie, czy jednak ktoś zaangażuje potem takiego agenta do prawdziwej poufnej roboty?

4.

Podobnie z ajentem. Jeżeli nowy ajent nie jest prawdziwie TAJNYM AJENTEM, jeżeli miał czelność przedstawić jakiekolwiek referencje, a do tego lekkomyślnie rozpowiada na mieście, jaką to i gdzie posadę objął — wylejcie go na zbite oblicze, póki Was razem z nim nie wyleją. Co innego, jeśli potrafił zachować dyskrecję i niby Fantomas nie ma ani twarzy, ani nazwiska.

Wówczas — będąc NIKIM — może też być KAŻDYM, nawet Danielem Passentem, albo Kibicem, albo przyjacielem Kibica. A jakich przyjaciół ma Kibic, lepiej nie mówić, sami rozumiecie... I w tych wielokropkach, w tych niedopowiedzeniach, w tych znakach zapytania kryje się sens posiadania TAJNEGO AJENTA, który — w odróżnieniu od ajentów ujawnionych — nie musi mieć nawet jakichkolwiek kwalifikacji...

JERZY P.

2 Lewym okiem

Czy tylko Francuzów?

„Idąc do pracy spotkała mnie gwałtowna ulewa" — to oczywiście bardzo złe zdanie: wynikałoby z niego, że ulewa szła do pracy. Tak samo: „Czytając książkę zgasła świeca". To przecież nie świeca czytała książkę.

Błąd tego typu spotykam często i reaguję wysypką na nosie zwłaszcza gdy spotykam go u znanych publicystów i pisarzy. Jaromir Ochęduszko pisze np w „Tu i teraz": „Lecąc do Paryża odżywa już to, co składa się na jego wizję, a co jest nieuchwytne". To, co jest nieuchwytne, leci do Paryża i odżywa...

Może winna korekta? Winna, bo nie poprawia ewidentnych błędów. W tym samym artykule napisał ten sam autor: „Widząc jak trwałe związki łączą mnie z Francją niech jednak wolno będzie mi odnotować wrażenie, iż..." itd. Co jest podmiotem w tym zdaniu? Zagadka za dziesięć punktów

Skoro mamy kampanię o oczyszczenie i naprawę polskiego języka, nie zapominajmy o niej także na łamach tygodnika literacko-kulturalnego.

Oczywiście ważniejsza jest merytoryczna zawartość artykułu Ochęduszki, będącego reportażem z dzisiejszego Paryża. Uderzyła mnie w tym artykule jedna wzmianka: „usłyszałem opinię, iż istnieje groźba konfliktu między pokoleniami, gdyż osoby pracujące coraz bardziej sprzeciwiają się podnoszeniu ich wydatków na utrzymanie osób starych". Podobne utyskiwania dają się słyszeć także i u nas, chociaż większość naszych obywateli wydaje się wierzyć, że starych ludzi ma utrzymać po prostu państwo i już. Nam powinno dać państwo jak najwyższe płace, a starym — jak najlepsze i jak najwcześniejsze emerytury. Ma dać i koniec dyskusji.

Otóż zarówno pogląd francuski jak i nasz rodzimy jest błędny, tylko nikomu nie chce się nad tym zastanowić. Osoby pracujące *nie utrzymują* emerytów! Każdemu pracującemu zakład ubezpieczeń lub pracodawca w jego imieniu potrąca przez całe aktywne życie odpowiednie stawki od wynagrodzeń. Zupełnie tak, jak by każdy odkładał co miesiąc jakąś tam kwotę „na czarną godzinę" i potem na starość wyciągał co miesiąc sumkę potrzebną na utrzymanie. Zakład ubezpieczeń zrobi to o wiele lepiej. Nie zapomni potrącić składki i nie zaniedba otrzymanym w ten sposób kapitałem obracać. Naturalnie nie robi tego na piękne oczy. Człowiek idzie na emeryturę w większości wypadków w wieku 65 lat i żyje potem jeszcze — no, powiedzmy pięć lat. Stawki ubezpieczeniowe tak są skalkulowane, żeby ich suma z trzydziestu lat czynnej pracy obywatela, podniesiona o rosnące przecież stale procenty, wystarczyła na pięcioletnie świadczenie emerytalne, no i żeby ten co ubezpiecza coś za swoją fatygę zarobił.

Oczywiście ten rachunek nie jest taki prosty. Wielu ludzi przechodzi na emerytury wcześniej — ale też wielu, więcej niż tamtych, nie dożywa do wieku emerytalnego. Składki tych ostatnich to są niejako oszczędności, które przepadają na korzyść żyjących dłużej.

Jeżeli Francuzi buntują się „przeciwko podnoszeniu wydatków na utrzymanie osób starszych", to widocznie wolą nie ubezpieczać się na starość, pobierać całe wynagrodzenie od razu na rękę, a z chwilą nieuchronnego stetryczenia zostać z tym, co się samemu zdoła uciułać. Można i tak, tylko trzeba bardzo wierzyć we własne ciułacze talenta. Ale może chodzi o to, że zakład ubezpieczeń inkasuje wielkie stawki, a zapewnia małe renty? A, wtedy Francuzi mają rację, że walczą. Tylko że wtedy to nie jest konflikt między pokoleniami, tylko konflikt społeczeństwa z władzą, która odnośną sprawę powinna regulować.

W ogóle okazuje się, że Francuzi mają niewąskie kłopoty. Minister kultury oświadczył ostatnio (p. „Polityka" z 11. XII. 82 r., artykuł Marka Ostrowskiego) ni mniej ni więcej, że „trzeba wreszcie położyć kres niemożliwemu do przyjęcia niedorozwojowi francuskiej kultury". Dziewięciu Francuzów na dziesięciu nigdy nie było w teatrze. Co trzeci nie czyta żadnych książek, trzech na czterech nie odwiedziło nigdy muzeum. To są wiadomości z francuskich źródeł. Gdy minister powiedział o tym publicznie i o konieczności aktywniejszej polityki kulturalnej, spotkał się z głosami, których reprezentatywnym streszczeniem może być zdanie jednego z publicystów: „Trzeba wreszcie powiedzieć jasno — dobry minister kultury nie powinien mieć polityki kulturalnej. Chcemy tylko mecenatu niewymuszonego i obojętnego na względy". Czy obojętny mecenat jest w ogóle możliwy i czy byłby stanem idealnym — sprawa dyskusyjna. Ale to są przecież zmartwienia Francuzów...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI (ĆWIEK)

3 Felieton pesymistyczny

Tylko trochę wyobraźni...

... no i jak mówię, siedzimy sobie w tym czystym przedziale, nawet nie wszystkie miejsca zajęte, okno wypucowane aż lśni, pod stoliczkiem bieżąca prasa, przyjemnie tak sobie jedziemy, szybko, bo wszystko za oknem aż miga, ale i jakoś tak gładko, bez hałasu i turkotu zbytniego, rozmową się kulturalnie zabawiamy, wrażenia z „Konfrontacji", za drzwiami miga uśmiechnięta twarz faceta w niebieskim uniformie, grzecznie pyta czy ktoś życzy sobie kawę, piwo, może ciepłe tosty albo kanapki, przed nami jeszcze sporo kilometrów, więc biorę dwie z szynką i ożywczego „Okocimia", a dyskusja kulturalna dalej wartko się toczy...

... na dworcu, a przyjeżdżamy punktualnie co do minuty, też czysto i schludnie, bagażowi życzliwie pomoc oferują, taksówek w bród, obok przystanek autobusowy, „Berliety" (lśnią) aż miło popatrzeć, nikt się nie tłoczy, bo co minutę kolejny podjeżdża, kierowca przez mikrofon uprzedza do jakiego przystanku się zbliżamy, a za oknem śnieg sypie, jak to zwykle przed świętami, przechodnie okutani w kożuchy ostatnie zakupy wigilijne czynią, dźwigają paczki, prezenty dla swych rodzin.

... w sklepach ruch jak nigdy, ja też wchodzę do takiego dużego magazynu, akurat jest sezonowa przecena biżuterii, kupuję żonie coś gustownego, w sam raz do sylwestrowej kreacji, córce nawet niedrogie futerko z lisów, a chłopakowi narty, niech wie, że gwiazdka za pasem, przy kasie tylko chwilę czekam, bo trzy osoby są przede mną, no, ale wiadomo, przed świętami tak zawsze, żona prosiła, bym wpadł jeszcze do „Orbisu", te wczasy noworoczne w góry wykupił, ale nie martwię się zbytnio, przecież mogę to załatwić z domu, telefonicznie, a chcemy na jakieś dwa tygodnie wyskoczyć całą rodziną gdzieś w Alpy, w jakąś zaciszną dziurę, trochę poszaleć na deskach, w końcu po całym roku ciężkiej pracy coś się człowiekowi należy od życia, byle nie do Szczyrku, bo tam za duży tłok, chociaż...

— Panie ładny, a właściwie to jaki film pan opowiadasz? — nie ogolony w berecie już od dłuższej chwili musiał przysłuchiwać się solowemu występowi magistra B. i ściągnął nas, niestety, w sekundę na ziemię. Cała nasza piątka, jakby ze wstydem, opuściła ręce, które przez parę minut mieliśmy mocno splecione. Znów staliśmy karnie w kolejce. Z pustymi butelkami i słoikami w teczkach, koszykach i siatkach. A tam, za niedaleką już ladą, królowała tęgo umalowana dziewoja. Wrzucała co chwilę sterty szkła w stosowne kontenery i bez słowa ciskała na ladę garść bilonu...

— Ale wie pan, naprawdę się udało — przystojna brunetka z wypiekami na twarzy szeptała magistrowi w ucho — umiesz pan opowiadać, trzeba przyznać, ho, ho, a myślałam, że żartujesz pan z tym ściskaniem się za ręce i zamykaniem oczu. W pociągu to mnie, może się nie dość skupiłam, ale ten sklep to stanął mi jak żywy...

— Faktem jest, że jakieś fluidy pan posiadasz — dorzucił z tyłu młodzian w narciarskiej czapce. — Może to tylko sugestia, ale jak zacząłeś pan o tych stokach i deskach, to słowo daję, czułem pęd powietrza i skrzypienie ubitego śniegu.

Mistrz nic się nie odzywał, ale wyraźnie był z siebie zadowolony. No, no z tej strony go nie znałem, a ludziskom w kolejce jakby się humor poprawił. Przynajmniej tym biorącym udział w eksperymencie.

— To jednak trzeba mieć wyobraźnię — starszy mężczyzna chyba jako ostatni otrząsnął się z przyjemnego snu — i tego panu zazdroszczę, bo ja, choć stary jestem, nie bardzo już pamiętam jak wygląda taki czysty, schludny przedział kolejowy, czy normalne, świąteczne zakupy.

— Z wyobraźnią i poczuciem humoru to u nas jakby gorzej ostatnio — magister brylował już zdecydowanie. Nie wiem, czy państwo czytaliście, ale jak Daniel Passent zasunął w „Polityce" klasycznym tekstem z magla rodem, wyssanym z palca, tyle że pięknie sprzedanym, to niewielu było takich, co się na haczyk złapać nie dali. Cóż, ta codzienna szarzyzna tak nas ogłupia — zakończył sentencjonalnie.

— Te bajery to pan może i umiesz wstawiać — wtargnął znów niegrzecznie nie ogolony, co nam seans przerwał — ale jeżeli pan jezdeś taki bystrzacha, to za chwilę obaczym, jak będziesz ta za ladą przekonywał, by pańskie buteleczki po piwku przyjęła. Wskazał z triumfem na widoczne w siatce magistra butle po „Żywcu", pojemność — 0,33 litra, które tenże wykopał gdzieś z piwnicy zapewne. To rzeczywiście była gafa: wiadomo, że przyjmują tylko po tym, co w sklepie sprzedają, a magister nawet nie był na tyle czujny, by firmowe nalepki pod ciepłą wodą spłukać. Wtedy może by przeszły, niby że po sokach pitnych.

— Tak to jest: albo postawione wszystko na głowie, albo nie dopięte na przysłowiowy guzik — narciarz wyraźnie zaczął uogólniać. — Albo niedopowiedziane do końca, o, posłuchajcie — poprawił fonię w małym radioodbiorniku, który od paru minut trzymał przy uchu. Dziennikarz w popularnej „trójce" skwapliwie krytykował dwie dziewczyny, które po kilkunastu miesiącach „saksów" skruszone wróciły przed świętami do domów. Rozwodziły się z dezaprobatą o ciężkiej, wielogodzinnej pracy w jakichś knajpach, poniżeniach za barem i radości powrotu.

— O, uwaga, a teraz już poleci muzyczka — trafnie przewidywał właściciel radyjka. — A nie mógł się ten dziennikarz zapytać choćby na co one tam właściwie liczyły? Na mannę z nieba? A jeśli było tak źle, musiały — o dziwo — pracować, za marne grosze, to po cholerę — pytam się — siedziały tam aż półtora roku? Nie mogły wrócić po tygodniu czy miesiącu?...

Dotarliśmy wreszcie do lady, gdzie ostro umalowane dziewczę udzielało mi reprymendy, że znoszę jej butelki po wódce wraz z nakrętkami, zamiast je w domu pozdejmować. Przeprosiłem ją kilkakrotnie z przymilnym uśmiechem, ale w rękę nie zdążyłem już pocałować, bo rzuciła mi zielony banknot, trochę monet i zasyczała: — Nasssstępny...

A w domu, po kolacji i Dzienniku, gdy siedliśmy z żoną przed telewizorem, przyszedł mi do głowy szaleńczy pomysł. Właśnie zaczął się „Faraon" i na ekranie Zelnik kłusował z dzidą po piachach pustyni. Chwyciłem zdziwioną nieco małżonkę za ręce i zagadnąłem:

— Odpręż się, rozluźnij, nie mamy żadnych kłopotów. A teraz zamknij oczy. Jesteśmy na plaży, nad morzem, na wakacjach, rozgrzany słońcem piach aż parzy w stopy, jesteś pięknie opalona, masz na sobie nowiutki kostium kąpielowy, idziemy brzegiem, leniwie, spacerem, ciepłe fale muskają usiany muszelkami piasek, pełen relaks, białe mewy krzyczą w swym bałtyckim slangu nad kołyszącymi się opodal rybackimi łodziami, jest bardzo gorąco, to słońce tak piecze...

Zauważyłem kątem oka, że żona zwróciła twarz w stronę wiszącej nad stołem lampy. Wystarczy trochę wyobraźni...

STEFAN ŻYCIOWY

4 Zdarzenia i zwierzenia

Paradoksy

Od wielu lat obserwujemy zjawisko zakładania przez inżynierów, doktorów i magistrów różnego rodzaju sklepików, butików, warsztacików... Czy warto było na przykład kończyć politechnikę, aby dziś handlować makulaturą? Oczywiście, że warto handlować, bo tam się można dorobić — tak rozumują owi przedstawiciele inteligencji. Rozumowanie nie jest pozbawione swoistej racji — polityka płacowa państwa też zresztą przez całe lata takiemu rozumowaniu sprzyjała — nie wrzucam więc kamyka tylko do ogródka filologów i prawników szyjących dziś dżinsy i modne sukienki. Cały bowiem splot uwarunkowań sprawił, że jakaś część inteligencji, świadomie i z własnej woli pozbawia się swojego statusu społecznego na rzecz korzyści materialnych.

Ale to chyba nie cała prawda. Może to brak utrwalonej samoświadomości kulturowej, samosatysfakcji z wiedzy oraz brak poczucia — choć to zabrzmi górnolotnie — posłannictwa? Może to także efekt określonej propagandy — w różnych latach, w różnym natężeniu lekceważącej inteligencję? Nie wiem — ale zjawisko istnieje.

Oczywiście ostatnio ten obraz został jeszcze dodatkowo zamącony politycznie. Wybitny — i to rzeczywiście — ekonomista sprzedaje buty w sklepie swojej żony, bo odeszli — nieraz do więzienia — prominenci, których był doradcą. Wybitny publicysta sprzedaje książki, bo jest to dla niego nie wybór nowego zawodu antykwariusza, ale wybór polityczny i polityczna manifestacja.

I jeden, i drugi czują się zawiedzeni, sfrustrowani i wystawieni do wiatru. Ich gesty nie są koniecznością życiową, lecz — jakby nie oceniać słuszności tych gestów — koniecznością moralną. Czy mają rację? Subiektywnie chyba tak.

Mieliśmy w naszych najnowszych dziejach paradoksy jeszcze okrutniejsze. Dowódca „Czwartaków" GL z Powstania Warszawskiego, późniejszy generał Edwin Rozłubirski był w latach pięćdziesiątych szoferem ciężarówki — choć wówczas nie była to manifestacja, lecz paradoksalna konieczność życiowa, bo oprócz prawa jazdy nie miał żadnych kwalifikacji cywilnych.

Paradoksów zresztą nigdy u nas nie brakowało. Mało kto wie zapewne, że słynny Różański, skazany po Październiku 1956 r., za nadużycia władzy i montowanie fałszywych oskarżeń, był krótko — jeszcze przed własnym procesem — dyrektorem jednego z warszawskich wydawnictw i to dzięki niemu ukazała się w Polsce głośna — krytykowana wówczas w Związku Radzieckim — „Odwilż" Erenburga — książka będąca forpocztą późniejszych wydarzeń, które nazwano potem „odwilżą".

Czy to nie przedziwny paradoks, że właśnie dzięki temu człowiekowi ukazała się owa — bulwersująca w połowie lat pięćdziesiątych — powieść?

Wracając jednak do sygnalizowanego na wstępie zjawiska chcę jeszcze raz podkreślić, że choć zostało ono zmącone wydarzeniami minionych miesięcy, frustracją i demonstracją części inteligencji — to przecież zjawisko rezygnacji ze statusu inteligenta na rzecz wartości materialnych istnieje u nas co najmniej od połowy lat siedemdziesiątych. Ostatnie lata tylko bardziej zagmatwały ten obraz, paradoksalny obraz, który skrzecząca rzeczywistość rozpoczęła malować dużo, dużo wcześniej.

JERZY WILMAŃSKI

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, [illegible] (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, [illegible] (z-ca sekretarza redakcji), Igor Sikirycki (kier. działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymański Glanc (grafik), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680 99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch", Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam.: 91. L-2.

Pod afgańskim karakułem

HENRYK SROCZYŃSKI

W Afganistanie gazety ukazują się w czterech językach: perskim, pusztu, beldżuskim i turkmeńskim. W rzeczywistości języków, którymi posługują się Afganowie jest więcej — kraj ten stanowi bowiem wielką mozaikę etniczną. Spotyka się tam m. in. wysokich, postawnych Potanów, drobnych o mongolskich rysach Uzbeków czy Kirgizów oraz ciemnoskórych Hazarów i Nuristańczyków. Trzon ludności stanowią jednak Pusztunowie zamieszkujący głównie obszar graniczący z Pakistanem.

Obok niewielkich miast jak Kabul czy Herat istnieje gęsta sieć osadnictwa wiejskiego. Liczne są tu plemiona koczownicze; tkwiące jeszcze w średniowieczu i kierujące się własnymi prawami oraz własnymi koncepcjami życia.

Nie sposób zdefiniować struktury tego społeczeństwa. Klasy dopiero się tu formują, ogromną rolę nadal odgrywają tradycyjni szefowie plemion, klanów i rodów. Klasę robotniczą, która jest w zalążku, z zasady tworzą pracowici Hazarowie. Burżuazja, głównie kupiecka, jest nieliczna, a wpływowa jej część wywodzi się z indyjskich Sikków. Młodą inteligencję w przeważającej mierze stanowią Durrani, których uważa się za elitę wśród Pusztunów: studia na ogół kończyli oni na uczelniach radzieckich.

To wielkie zróżnicowanie narodowe, a z drugiej strony ogromne opóźnienia kraju w rozwoju, są rezultatem niezwykłej historii Afganistanu. Obszar, który on zajmuje był w dalekiej przeszłości kolebką wielu potęg i kultur. Tędy, na szlakach między Azją Środkową, Chinami i Półwyspem Indyjskim przetaczały się kolejne fale ludzkie i kulturowe, pozostawiając po sobie różne ślady.

Afganistan jako państwo powstał dopiero w połowie XVIII wieku i w początkach swego istnienia musiał staczać ostre walki z Brytyjczykami. W pierwszej wojnie doznali oni klęski, ale druga zakończyła się ich zwycięstwem (1878—1880). Na przełomie dwudziestego wieku Afganistan jest państwem typu asbolutystyczno-feudalnego, wciąż jednak wielkie wpływy mają tu Brytyjczycy. Dopiero w czasie trzeciej wojny, która wybucha w 1919 r., i w której pomocy Afganistanowi udziela Rosja radziecka, Londyn uznaje niepodległość Afganów; Afganistan zawiera wówczas z Rosją radziecką układ o przyjaźni.

Pod wpływem rewolucyjnych przemian w ZSRR, pierwszy władca Afganistanu, który przybrał tytuł króla — Amanulach Chan, chciał przeprowadzić w swym kraju szereg reform społeczno-gospodarczych. Próby dokonania takich przeobrażeń zakończyły się dla króla detronizacją. Obalił go kler muzułmański wspierany przez przywódców plemiennych.

Tuż po II wojnie światowej wpływy w Afganistanie usiłują uzyskać Stany Zjednoczone. Afganistan skutecznie jednak broni się przed ofertami amerykańskimi i w 1955 r. zawiera — po raz drugi — układ o przyjaźni z Krajem Rad.

Począwszy od końca II wojny aż do lat siedziemdziesiątych Afganistan jest krajem wyizolowanym od świata — stoi na uboczu procesów dokonujących się w Azji. Pewien postęp następuje tylko w gospodarce i to głównie dzięki Związkowi Radzieckiemu: radzieccy eksperci odkrywają cenne rudy i gaz ziemny oraz pomagają rozwijać zalążki przemysłu i rozbudowywać sieć dróg bitych (dotychczas nie ma tu linii kolejowej). Większość też obrotów handlowych Afganistanu przypada na ZSRR.

Hamulcem rozwoju kraju jest monarchia. Skłócony dwór, wokół którego rywalizują klany, coraz bardziej jednak atakują aktywne warstwy społeczne. W lipcu 1973 roku dokonuje zamachu stanu kuzyn i szwagier ostatniego króla, Mahommed Daud. Nowy władca proklamuje republikę i zapowiada szereg reform oraz ustanowienie swobód obywatelskich. Wkrótce jednak okazuje się, że jest to tylko gra pozorna — nic się nie zmienia na wsi, gdzie większość plonów chłopi muszą oddawać właścicielowi, bądź odrabiać pańszczyznę (75 proc. ziem uprawnych znajdowało się w rękach obszarników, duchowieństwa i państwa), nowy dyktator zakazuje działalności wszelkich partii, a parlament stanowi nic nie znaczącą fasadę.

* * *

Afganistan był i pozostaje najbiedniejszym krajem w statystyce ONZ. Główne jego bogactwo to owce, a główne artykuły eksportowe to karakuły oraz owoce świeże i suszone. Olbrzymi pustynny obszar Afganistanu przedziela Hindukusz. Ilość śniegu na szczycie tego pasma decyduje o wysokości zbiorów w kraju, stąd biorą bowiem początek wszystkie tutejsze rzeki. Liczba ludności Afganistanu nie jest dokładnie znana. Zwykle podawano liczby wygórowane (18—20 milionów) w celu uzyskania większej pomocy od organizacji międzynarodowych, faktycznie jednak demografowie szacują ją na 10 milionów.

W tym przedziwnym kraju nie pasującym do żadnych schematów rozwijała się, począwszy od 1965 roku partia, której program w warunkach tamtejszego zacofania zasługiwał na określenie radykalnie rewolucyjnego. Była nią Ludowo-Demokratyczna Partia Afganistanu, organizacja jednak podzielona, bo składająca się z dwu skrzydeł — „Chalk" pod wodzą Nura Mohammada Tarakiego i „Parczam" pod przywództwem Babraka Karmala.

Za sprawą LDPA w kwietniu 1978 r. dochodzi w Kabulu do krwawego przewrotu — w czasie walki o władzę ginie kilkaset osób, w tym Hohammed Daud. Na czele utworzonej Rady Rewolucyjnej staje 61-letni Nur Mohammed Taraki, syn ubogiego chłopa, który zdobył wykształcenie ekonomisty. Program LDPA przewiduje dokonanie reformy rolnej, wprowadzenie bezpłatnej opieki lekarskiej, upowszechnianie oświaty, zrównanie kobiet z mężczyznami w prawach społeczno-gospodarczych, znacjonalizowanie banków i szybkie wydźwignięcie gospodarcze kraju.

Radykalizm jaki dominował w LDPA objawił się teraz chęciami natychmiastowego wprowadzania reform. Nie licząc się z nastrojami społeczeństwa w większości bardzo konserwatywnego i z wpływami mułłów oraz części reakcyjnych przywódców plemiennych, wprowadzono zmiany, których sensu znaczne odłamy ludności nie rozumiały i które nie zyskiwały wsparcia. I tak na przykład przeprowadzana przez „instruktorów" z Kabulu reforma rolna trafiała w próżnię: dawano chłopom ziemię, ale nikt nie dawał im obrony przed wielce wpływowymi przywódcami plemion czy obszarnikami wiejskimi.

Tak jak zgodnie obydwa skrzydła LDPA współdziałały w obaleniu Dauda, tak bardzo różniły się w taktyce przeprowadzania rewolucji. Chalikiści, na ogół przedstawiciele chłopstwa, forsowali bardzo radykalne teorie i hasła, a jednocześnie dyskredytowali umiarkowanych parczamistów: zarzucano im nawet że nie chcą socjalizmu, gdyż ich przywódca, Babrak Karmal, jest spokrewniony z rodziną królewską. Skrzydło „Parczam" skupiające znaczną część postępowej inteligencji afgańskiej od samego początku powstania LDPA opowiadało się za marksistowsko-leninowskim charakterem partii i za leninowską taktyką rewolucji. Te odmienne podejścia do sposobu przeprowadzania rewolucji w Afganistanie wywoływały stałe antagonizmy między jednym a drugim skrzydłem partii i w konsekwencji doprowadziły do tego, że chalkiści poczęli wypłukiwać z rządów parczamistów. Praktycznie zgodna wspólna praca i wspólny udział obydwu skrzydeł we władzy skończyły się już po trzech miesiącach rewolucji, w lipcu 1978 r. (wkrótce po przemówieniu Tarakiego, w którym zapowiadał on szybkie odrobienie zacofania wiekowego i przystąpienie, po kilku latach, do budowy socjalizmu).

Parczamiści, zdający sobie sprawę z paradoksalnej sytuacji Afganistanu i wskazujący na potrzebę politycznego przygotowania społeczeństwa do planowanych reform (postulowali tworzenie frontu narodowego), oskarżani byli teraz o działalność antypaństwową. Czołowe zaś osobistości z tego skrzydła wysyłano za granicę na placówki dyplomatyczne: Babraka Karmala do Czechosłowacji, Nura Ahmeda Nura do USA a Abdulla Wakila do Wielkiej Brytanii. Wielu jednak przedstawicieli tego odłamu partii znalazło się w więzieniach.

Odsunięcie od władzy parczamistów otworzyło drogę hurrarewolucyjnej linii, którą zwłaszcza reprezentował najbliższy współpracownik Tarakiego, Hafizullah Amin. Ten lewacki polityk zaprowadził terror, poddając mu zwłaszcza parczamistów. Jeszcze przed wrześniem 1979 r., gdy dokonał zamachu stanu i polecił udusić, jak to jest udokumentowane, Tarakiego, z jego rozkazu wywieszono na murach w Kabulu monstrualną listę 11 tys. osób skazanych wyrokami na śmierć.

W kilka tygodni po usunięciu Tarakiego, Amin pozorował naprawę błędów rzekomo dokonanych przez poprzednika: wypuszczono część osób z więzień, zaczęto odnawiać zniszczone meczety, poczęto obsadzać parczamistami niektóre stanowiska. Wkrótce jednak społeczeństwu afgańskiemu nie uszło uwadze, że aresztuje się nowych parczamistów, a także tarakistów, i że Amin tępi każdego kto oponuje przeciwko jego dyktaturze. Rozpoczął się najgorszy okres „rewolucji", która — jak wielu ocenia — zmierzała do dyktatury narodowo-socjalistycznej. Czy było to świadome niszczenie kwietniowej rewolucji afgańskiej? Późniejsze próby szukania pomocy w USA i Chinach oraz kontakty nawiązywane z kontrrewolucją w tym kraju mogą wskazywać, że Amin prowadził makiawelską *politykę zreorientowania Afganistanu na zachód.*

* * *

Nie ulega wątpliwości, że rewolucja kwietniowa w Afganistanie, dokonana wkrótce po upadku szacha irańskiego, była wybitnie nie na korzyść Stanom Zjednoczonym. I chyba nie jest też zbiegiem okoliczności fakt, że właśnie w tym czasie zaczęły powstawać w Pakistanie liczne obozy i bazy szkolące najemników do walki z nową władzą w Afganistanie. Niebawem też powstały mosty morskie i powietrzne, którymi przerzucano do Pakistanu broń z Egiptu, aby można było mówić światu, że partyzanci walczą karabinami zdobytymi w Afganistanie.

Dzisiaj na terenie Pakistanu działa około 90 obozów, w których szkoli się kontrrewolucjonistów. Działa tu również 6 sztabów partii politycznych, a raczej sztabów dywersyjnych, które w instrukcjach dla „partyzantów" polecają, jak wielekroć to ustalono, palenie szkół, mordowanie nauczycieli, dokonywanie zamachów terrorystycznych i sianie wrogiej propagandy.

Istnieje więc swoisty związek między pierwotnymi zamierzeniami kontrrewolucji — obalenie legalnej władzy, a obecnymi, które rzekomo są przeciwstawne tylko radzieckiej obecności w tym kraju. „Decyzja Związku Radzieckiego w kwestii udzielenia pomocy rządowi Afgańskiej Republiki Demokratycznej, oparta na zasadach porozumienia i przyjaźni, dobrosąsiedztwie i współpracy z 1978 r. została podjęta w momencie, gdy zagrożony został samodzielny byt tego państwa, jego terytorialna integralność. ZSRR podał pomocną dłoń swemu sąsiadowi broniącemu demokratycznych przemian przed zakusami zewnętrznej kontrrewolucji, biorąc także pod uwagę interesy bezpieczeństwa swych południowych granic" — przypominała w grudniu 82 r. radziecka „Prawda".

Rząd Afganistanu od dawna nalega na polityczne uregulowanie „kwestii afgańskiej". Powinno ono polegać — jak stwierdza się w Kabulu — na efektywnym wstrzymaniu interwencji z zewnątrz i na zawarciu porozumienia między rządem afgańskim i jego sąsiadami. „Wojska radzieckie pozostaną w Afganistanie do czasu, gdy otrzymamy międzynarodowe gwarancje, iż ustanie wszelka ingerencja i agresja z zewnątrz" — stwierdza przywódca Afganistanu, Babrak Karmal.

Decydujące znaczenie dla rozwiązania problemu afgańskiego może mieć stanowisko Pakistanu. Kraj ten, który co roku korzysta z ponad 3-miliardowej pomocy USA, nie wykazuje jednak dostatecznego zainteresowania uregulowaniem tak ważnej dla tego rejonu sprawy. Ostatnia wizyta przywódcy Pakistanu, Ziuala Haqa w Stanach Zjednoczonych wykazała, że twardy kurs tego kraju w stosunku do Afganistanu jak najbardziej leży w interesie USA, interesie polityki konfrontacji. Konfliktowa sytuacja na granicy pakistańsko-afgańskiej i obecność wojsk radzieckich w Afganistnie, które są rezultatem zewnętrznej ingerencji w sprawy tego kraju, Stany Zjednoczone wykorzystują właśnie w polityce stałego oskarżenia ZSRR o mieszanie się w sprawy innych krajów.

W połowie czerwca ub. roku rozpoczęły się, i trwały do lipca, rozmowy specjalnego wysłannika ONZ, zastępcy sekretarza generalnego, Diego Cordoveza z delegacjami Afganistanu i Pakistanu w Genewie. Rozmowy dotyczyły nieingerencji w wewnętrzne sprawy Afganistanu i międzynarodowej gwarancji dla takiej nieingerencji. Ponowne wznowienie dialogu zastępcy sekretarza generalnego z obydwiema delegacjami powinno nastąpić 18 stycznia br. Czy tym razem misja mediacyjna przyniesie jakieś rezultaty? Wprawdzie Pakistan zapowiada, że będzie działał na rzecz politycznego rozwiązania problemu Afganistanu, trudno jednak dziś przewidywać, jak potoczą się rozmowy.

Niedawno Babrak Karmal oskarżył Waszyngton o wywieranie presji na Pakistan w celu niedopuszczenia do nawiązania bezpośrednich rozmów między Islamabadem a Kabulem (rozmowy w Genewie prowadzone są w sposób pośredni, tj. *oddzielnie z każdą delegacją*). „Mamy jednak nadzieję, że przekształcą się one w dialog bezpośredni" — powiedział B. Karmal.

Ostatnie oświadczenie prezydenta Reagana (25 grudnia ub. roku), które zostało ogłoszone w związku z trzecią rocznicą obecności wojsk radzieckich w Afganistanie, wydaje się nie uwzględniać szybkiej możliwości znalezienia porozumienia dla sprawy afgańskiej. Prezydent stwierdził bowiem, że Stany Zjednoczone opowiadają się za osiągnięciem porozumienia w kwestii afgańskiej na podstawie negocjacji w oparciu o warunek wstępny — *wycofanie sił* radzieckich z tego kraju. Jak więc widać główną przeszkodą w rozwiązaniu kwestii afgańskiej są same Stany Zjednoczone.

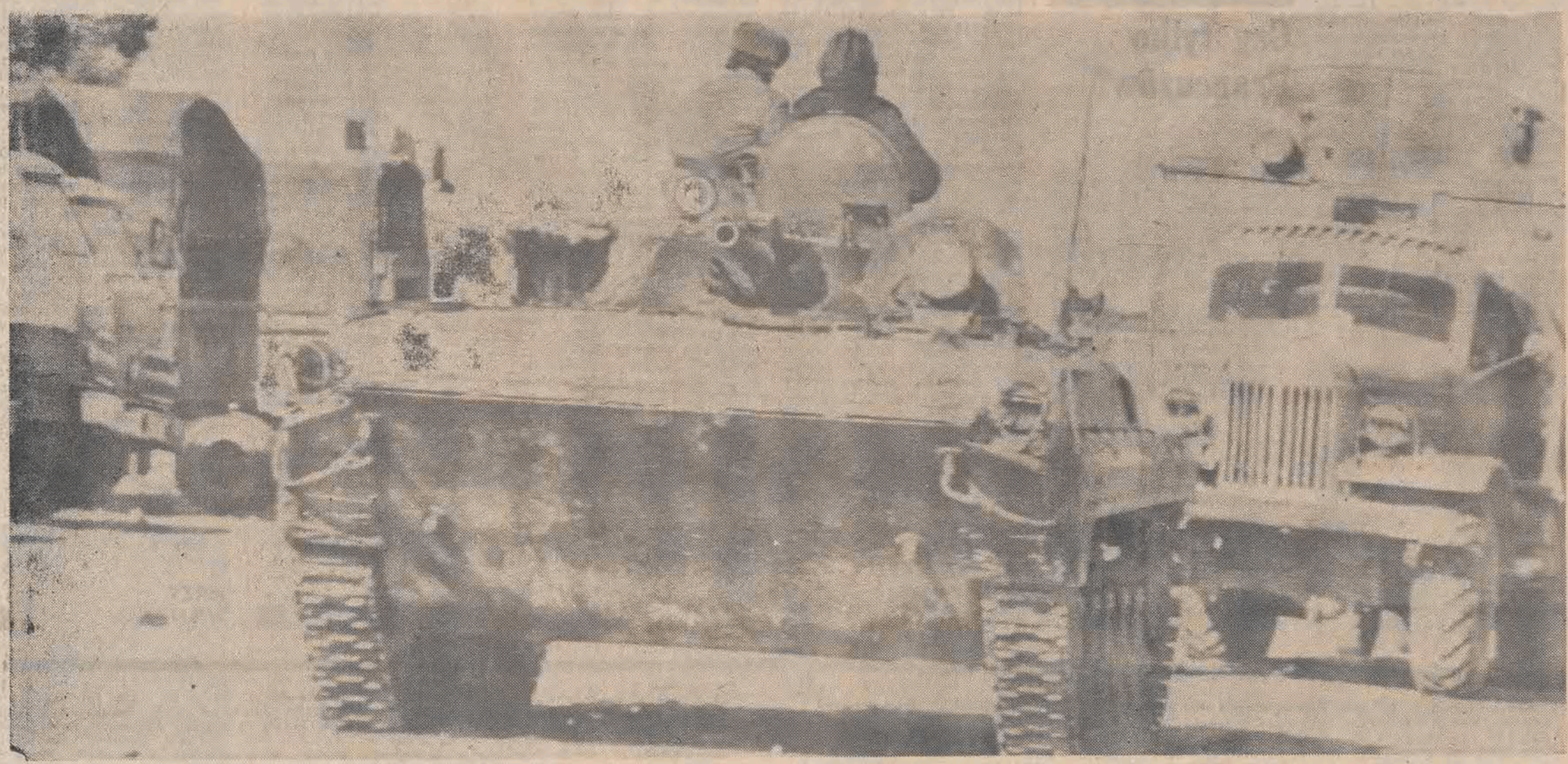

„Kabul' 1980" — Foto: *„L'EXPRESS"*